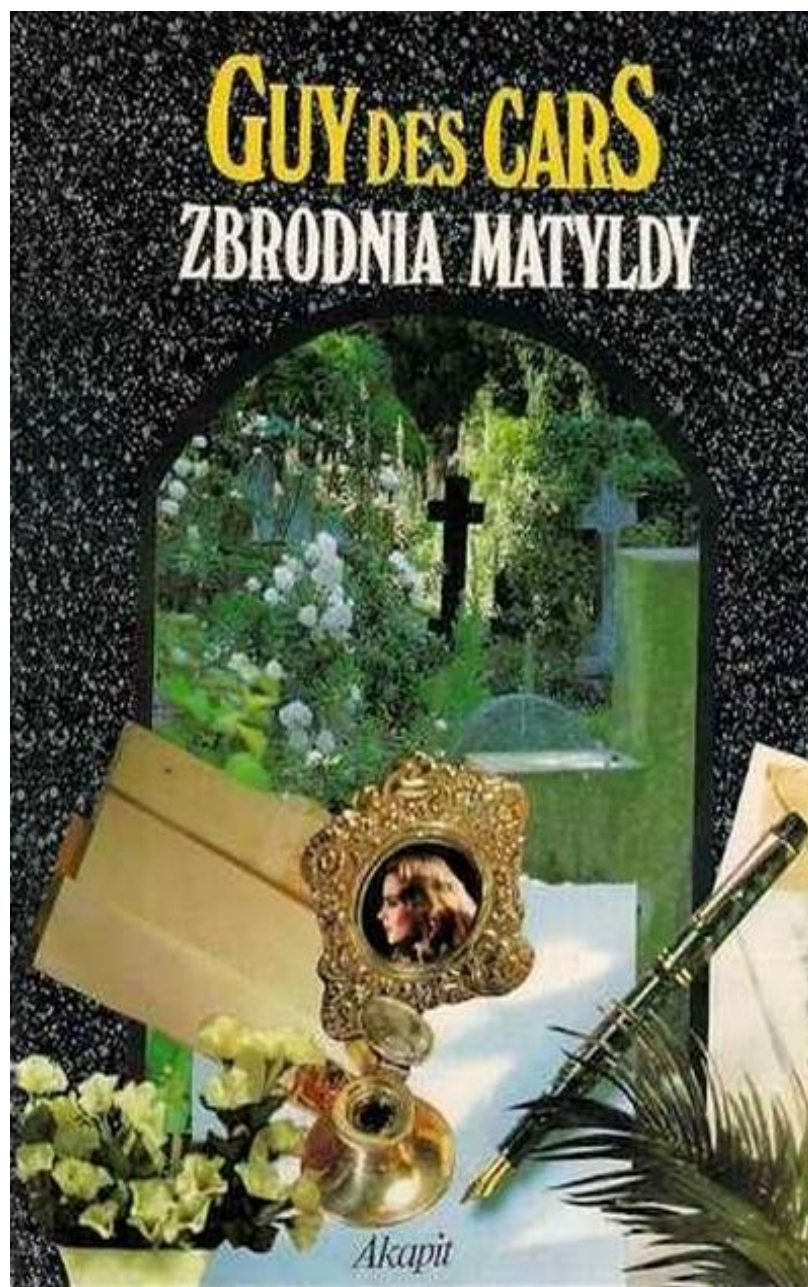




GUY DES CARS

ZBRODNIA MATYLDY

Przełożyła Jolanta Pjerończyk



Słowo wstępne

Książka ta jest powieścią, a zatem musiałem zmienić nazwiska postaci i nazwy niektórych miejsc, w których rozegrały się prawdziwe wydarzenia. Nie wszystkie jednak... Dla ubarwienia opowiadania pozwoliłem sobie także wtrącić kilka epizodów będących wytworem mojej fantazji, chociaż bogactwo zaskakujących sytuacji w materiale oryginalnym nie zostawiło wielkiego pola do popisu ludzkiej wyobraźni. Stąd też liczba zmyślonych scen jest minimalna.

Imię bohaterki jest natomiast autentycznym imieniem mojej kuzynki i właśnie jej pamięci poświęcam tę historię.

TESTAMENT

Jeśli nie liczyć niezbyt młodego księdza odprawiającego mszę, równego mu wiekiem poczciwca spełniającego potrójną rolę bedla, kościelnego i ministranta, starej panny usiłującej wydobyć z fisharmonii jakieś astmatyczne dźwięki i wreszcie przedstawiciela zakładu pogrzebowego, na ceremonii pogrzebowej zebrało się sześć osób. Po mszy trumna z doczesnymi szczątkami Matyldy miała spocząć w starej krypcie będącej grobowcem rodziny Raviroux-Luzensac.

Względem płci, sześcioro zgromadzonych można było podzielić na dwie równe części: trzy kobiety i trzech mężczyzn. Nie zjawił się nikt z mieszkańców miasteczka i nie było w tym nic dziwnego. Kogo mogła obchodzić śmierć Matyldy, skoro ją samą niewiele obchodziło Saint-Servat, mimo że od dwudziestu dwu lat spoczywał tu jej mąż, drogi Jean-Marie, obok którego zostanie pochowana? Ludzie z małych miasteczek są pamiętliwi. Ucieczka w świat jest niewybaczalnym afrontem. Wszystko wskazywało na to, że swoją nieobecnością na pogrzebie odpłacili Matyldzie pięknym za nadobne. Ale czy moja kuzynka zasłużyła sobie na taką zemstę pośmiertną? Co miała robić, kiedy pewnej jesiennej nocy przed piętnastu laty spłonął uroczy dworek w stylu Ludwika XIII, najokazalsza część rodowej spuścizny?

Dzisiaj ta wspaniała niegdyś posiadłość otoczona parkiem urządzonym na francuską modłę i tchnąca poezją, ten przepyszny Hautefeuille był tylko wypaloną ruiną wieńczącą długą topolową aleję. Matylda nie zdobyła się na odbudowę majątku. Z pewnością nie brak pieniędzy, lecz pytanie: dla kogo? przesądziło sprawę. Matylda nie miała dzieci. Kiedyś Hautefeuille przypadłby więc jednej z dwóch ciotecznych wnuczek z rodu La Rochejaquet, których nawet nie знаła. Wkrótce po pożarze zdecydowała się więc sprzedać Hautefeuille wraz z bezwartościowymi ruinami, ale nawet bez dworku ziemia przedstawiała dużą wartość i Matylda musiała zgarnąć sporą sumę.

Tego ranka w drodze do Saint-Servat mijalem te ruiny. Zdziwiłem się, że nowi właściciele pozostawili je nietknięte. Nie przedstawiały przecież żadnej wartości historycznej.

Wróćmy jednak do sześciu uczestników mszy żałobnej.

Pierwszą z trzech kobiet stojącą po lewej stronie trumny była moja kuzynka Stéphanie de La Rochejaquet, matka dwóch wspomnianych ciotecznych wnuczek Matyldy, z których każda była zameżna i miała własne dzieci. Żadna z nich nie zadała sobie trudu, by zjawić się na pogrzebie. Zresztą obecność Stéphanie, wdowy od dobrych dwudziestu lat, wystarczyła w zupełności dla reprezentacji tej gałęzi rodu, której pokrewieństwo z Matyldą było równie dalekie jak moje. Nie uznała nawet za stosowne zjawić się w czerni. Miała na sobie szary kostiumik firmy Chanel, w którym wyglądała przeuroczo. Wprawdzie przekroczyła już sześćdziesiąty rok życia, ale nadal tryskała energią, a złudzenie młodości pogłębiał zadziwiający w tym wieku naturalny jasny odcień jej włosów.

Stéphanie sprawiała na mnie wrażenie groźnej kobiety. Nawet za życia barona, jej męża, to ona była głową rodziny. Od pierwszej chwili jawiła się każdemu jako osoba nie znosząca mieszania się w jej sprawy. Sama jednak wtykała chętnie nos w sprawy innych, zwłaszcza gdy zwietrzyła w tym jakąś korzyść dla siebie. O chciwości Stéphanie, która weszła do rodziny poprzez małżeństwo z moim kuzynem, krążyły legendy.

Legendarna była też jej zalotność. Muszę przyznać, że przed dziesięciu laty Stéphanie była jeszcze całkiem pociągająca, przed ukończeniem czterdziestki uchodziła zaś za olśniewającą. Głośno mówiło się o jej licznych przygodach.

Chciwość Stéphanie nie wygasła z wiekiem. Najlepszym tego dowodem była jej obecność na pogrzebie, która miała dyskretnie przypomnieć o jej istnieniu przy podziale spadku po bogatej Matyldzie.

Kobieta stojąca obok Stéphanie to poczciwa Béatrice, czyli kuzyneczka Bea, niewątpliwie miła, ale niezbyt inteligentna i bardzo, bardzo brzydka. To z pewnością było główną przyczyną, że nie znalazła kandydata na męża, a dzisiaj była siedemdziesięcioletnią staruszką. Ta urodzona stara panna, oddana bez reszty akcjom dobroczynnym, nie miała absolutnie nic wspólnego ze swoją bratową Stéphanie.

Trzecia kobieta, mocno posunięta w latach, była zdecydowanie najbardziej pogrążona w żałobie. To zacna Honorine, stara pokojówka. Znała Matyldę od dziecka i służyła u niej począwszy od czasów jej małżeństwa, przez pierwsze lata wdowieństwa, aż do momentu, kiedy w życiu jej pani pojawiły się osoby nie mogące znieść obecności starej służącej. Została odprawiona. Droga Honorine... Wysiadając z samochodu zauważyłem ją w przedsionku kościoła. Bardzo ucieszyłem się na jej widok. Z radości pocałowałem ją w oba policzki. Jej oczy wypełniły się łzami.

— Pan Hughes! — szepnęła. — Pani byłaby taka zadowolona wiedząc, że zechciał pan przybyć.

— Nie wiadomo, droga Honorine, czy tego nie wie...

— Tak pana kochała! Często mówiła mi o panu...

Pierwszym z trzech mężczyzn — to znaczy tym, który stał najbliżej trumny po prawej stronie — byłem ja. Nie przedstawia się siebie samego, ale mogę zapewnić, że nie przybyłem na pogrzeb z myślą o ewentualnym udziale w spadku, lecz z prawdziwej sympatii dla zmarłej kuzynki. I jeśli podczas jej wdowieństwa spotykaliśmy się niezwykle rzadko, wynikało to z przyczyn niezależnych ode mnie. Podobnie jak Stéphanie, Bea i Honorine zostałem wyrzucony z jej życia przez tych, którzy objęli władzę nad jej egzystencją.

Zawsze szczerze lubiłem Matyldę. Najbardziej żalonym błędem rodziny było uznanie jej za opóźnioną w rozwoju. Nie mogę się z tym zgodzić i żywię nadzieję, że w dalszej części opowiadania udowodnię, iż Matylda nie była głupia, chociaż często wydawała się niezbyt bystra, a nawet sprawiała wrażenie, że buja w obłokach. Zdarzało się, że w jej szaroniebieskich oczach zapalały się błyski nieufności. Nieufność idąca może w parze z niespodziewanym u niej szelmostwem była z pewnością źródłem jej zaskakujących decyzji, podejmowanych nie tylko na przekór własnym interesom, ale też wbrew ustalonym od wieków regułom obowiązującym w środowisku, w którym wyrosła. Prawdziwym dramatem Matyldy nazwałbym to, że nigdy w życiu nie mogła działać wedle własnej woli. Z wyjątkiem kilku lat, które spędziła wyłącznie z mężem, miała zawsze obok siebie jakieś nieugięte kobiety o przytłaczającej osobowości i starannie skrywanym okrucieństwie, które skutecznie niszczyły jej wolę, aż w końcu udało się im wmówić, że brak jej umiejętności podejmowania decyzji. Można nawet zastanawiać się, czy sam Jean-Marie, jej ukochany mąż, był naprawdę mężczyzną, jakiego potrzebowała...

Drugi mężczyzna, mój sąsiad z prawej, trzymał się całkiem nieźle jak na swoje dziewięćdziesiąt lat. Wyróżniał się przede wszystkim wspaniałą czupryną okalającą łagodną, powściągliwą twarz. To poczciwy Alphonse, majordom i kamerdyner w jednej osobie, który służył u lady Wandish zajmującej się wychowaniem Matyldy. On też, podobnie jak Honorine, nie opuścił swojej pani po jej zamążpójściu, a potem po śmierci Jeana-Marie. Niestety, podzielił los Honorine, został, tak jak i ona, odprawiony.

Trzeci i ostatni mężczyzna, dużo młodszy od nas, był wysokim, łysiejącym już brunetem w okularach. Tuż przed rozpoczęciem mszy Stéphanie przedstawiła

mi go jako dependenta biura mecenasa Champenona de Viry. Na polecenie swojego szefa przybył z Paryża, by reprezentować go na pogrzebie swojej klientki. Ten dystyngowany młodzieniec w nienagannie czarnym stroju harmonizującym z atmosferą uroczystości zwierzył się Stéphanie — ta zaś nie omieszkała mi natychmiast przekazać tej nowiny — że po pogrzebie każdemu z nas, także Alphonse'owi i Honorine, wręczy list od mecenasa Champenona de Viry. A więc droga Matylda nie zapomniała o nas w swoim testamencie!

Podczas gdy modły księdza zmieszane z dymem kadzidła wznosiły się pod sklepienie sanktuarium, każde z nas pozwoliło sobie na odrobinę marzeń...

Przyznam, że nigdy nie oczekiwałem korzyści materialnych ze strony kuzynki, ale znając Stéphanie, założę się, że ta nowina przyniosła jej ulgę. Przyjęty na siebie obowiązek towarzyszenia Matyldzie w jej ostatniej drodze, miał się wkrótce sownie opłacić.

Ona właśnie zadzwoniła do mnie przed trzema dniami z wiadomością, że Matylda zmarła w swoim nowym domu na południowym zachodzie kraju. Ona też zawiadomiła mnie o dacie i godzinie pogrzebu w Saint-Servat.

— Wiem, że jesteś bardzo zajęty, a ten rodzaj uroczystości nie jest specjalnie przyjemny, ale byłoby mi przykro, gdybym znalazła się tam jako jedyna z całej rodziny. Moje córki i zięciowie mają to w nosie, dlatego właśnie dzwonię do ciebie... Ty zawsze miałeś trochę szacunku dla Matyldy...

— Możesz nawet powiedzieć: „prawdziwej sympatii”!... Pojadę do Saint-Servat!

— Spróbuję namówić też moją szwagierkę, Beę, żeby mi towarzyszyła. W końcu nie będzie to dla niej specjalna różnica: tu czy tam... Przecież i tak spędza życie w kościołach i zakrystiach. Zabiorę też Alphonse'a i Honorine. Już ich zawiadomiłam i zgodzili się. W ten sposób nabiera się trochę ludzi...

— Jak dowiedziałaś się o jej śmierci? —

— ONI wysłali mi telegram.—

— Mam nadzieję, że nie starczy im tupets, by zjawić się na pogrzebie.

— Nie ośmielą się ze względu na naszą obecność. Właśnie dlatego powinniśmy pojechać...

— Masz rację. Kto zajął się załatwieniem formalności?

— Mecenas Champenon de Viry, którego także ONI powiadomili. On właśnie zajął się sprowadzeniem zwłok, a ja, w porozumieniu z nim, wyznaczyłam datę pogrzebu.

— Doskonale! Zawsze byłaś mistrzynią w podejmowaniu szybkich decyzji.

— Ktoś musiał pomyśleć o szczegółach!... Będzie tam też przedstawiciel biura notarialnego. Mecenas Champenon de Viry to porządny człowiek. Od dawna był notariuszem Matyldy, a wcześniej ciotki Wandish.

— Wiem coś o tym. A więc: w sobotę o piętnastej w kościele w Saint-Servat... Dziękuję za telefon.

— Chociaż nie utrzymujemy bliskich kontaktów, to jednak jako kuzyni powinniśmy sobie pomagać.

— Tak, Stéphanie: jako kuzyni...

* *

*

Po mszy trumna, która przemierzyła około 800 km z południowego zachodu na północny zachód Francji, została wniesiona do krypty przez czterech pracowników zakładu pogrzebowego. W tę ostatnią drogę poprowadzili ją ksiądz i kościelny, a my zamykaliśmy kondukt. Po błogosławieństwie czarna, marmurowa płyta przykryła miejsce ostatniego spoczynku Matyldy. Nie było jeszcze na niej imion, nazwiska, dat urodzenia i śmierci.

Inskrypcja treści: *MATYLDA ADELAJDA BARDOR* z rodu *RAVIROUX-LUZENSAC* uzupełniona stosownymi datami pojawi się nieco później. Tymczasem na płytach otaczających kryptę można było jedynie przeczytać wyryte złotymi literami nazwiska, daty i zasługi wcześniej zmarłych.

Po lewej stronie Matyldy spoczywał jej mąż, drogi kuzyn Jean-Marie, którego dobrze znałem i zawsze uważałem za nieprzeciętnego człowieka. *JEAN-MARIE BARDOR*, przeczytałem na płycie. Pod nazwiskiem widniały dwie daty oraz miejsca urodzin i śmierci. Urodził się w Lyonie, a zmarł w Paryżu w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat. Te suche dane były na szczęście uzupełnione pięcioma złotymi wersami poświadczającymi wyjątkowe zasługi, które przydały blasku tak długiemu życiu: *KRZYŻ LEGII HONOROWEJ, HONOROWY PREZYDENT STOWARZYSZENIA AUTORÓW I KOMPOZYTORÓW, ORGANISTA W SAINT-SULPICE* i najważniejsza informacja, odpowiednio oddzielona od pozostałych: *DOŻYWOTNI SEKRETARZ INSTYTUTU FRANCUSKIEGO*. Chlubny tytuł należący do najrzadszych, gdyż dożywotni sekretarz sprawuje władzę nad pięcioma akademiami.

Powyżej grobu Matyldy znajdował się grób jej matki *MARGUERITE-MARIE, hrabiny de RAVIROUX-LUZENSAC z domu JUNIEGES*. Umarła młodo przy porodzie, jak wynikało ze zbieżności daty jej śmierci z datą narodzin córki.

Zasługi były tu znacznie skromniejsze: *FUNDATORKA OCHRONKI dla MAŁYCH ZWIERZĄT i CZŁONKINI TRZECIEGO ZAKONU św. FRANCISZKA*. Nie znałem jej ani jej męża, ojca Matyldy, spoczywającego powyżej grobu Jeana-Marie Bardora. *GONTRAN SIGISMOND de RAVIROUX-LUZENSAC*, przeczytałem na płycie i jeszcze: *KONTRADMIRAŁ MARYNARKI FRANCUSKIEJ, KOMENDANT TRZECIEJ ESKADRY REZERWY OCEANU INDYJSKIEGO, OFICER LEGII HONOROWEJ i KAWALER — nie wiadomo dlaczego — ORDERU KRÓLA LEOPOLDA*. Specjalna notka informowała, że zmarł trzy lata po śmierci żony na skutek upadku z konia w parku Hautefeuille. W przypadku kontradmirała podobna informacja nie była zbyt stosowna: jazda konna uchodziła bowiem za odwieczną piętę achillesową marynarzy...

Po prawej stronie matki Matyldy spoczywała niezwykła kobieta: wielka dama pod każdym względem. Znałem ją doskonale, mając zaszczyt wielokrotnie gościć u niej na herbatkach, które wydawała w salonie swojego osobliwego pałacu na placu Stanów Zjednoczonych w pierwszy i trzeci piątek miesiąca, z wyjątkiem świąt. Oczywiście, tylko w czasie jej pobytu w Paryżu, czyli od 15 listopada do 15 maja. Tej szlachetnej damie, starszej siostrze matki Matyldy, przypadł obowiązek zaopiekowania się i wychowania siostrzenicy, kiedy ta, mając trzy lata, została sama na świecie. *ELODIE EMELINE ISABELLE, lady WANDISH, z rodu JUNIEGES* — tak głosił napis na płycie. Urodziła się dziesięć lat po Jeanie-Marie Bardorze, mężu Matyldy, a zmarła siedem lat przed nim, mając lat siedemdziesiąt sześć.

Olśniewająco piękna w młodości, starzejąc się Elodie zachowała jednak swoją królewską postawę i grację. Ponoć sam król cenił wysoko jej inteligencję i urok. Nic dziwnego, że oczarowała lorda Wandisha. Lord też był urzekającym człowiekiem. Dzisiaj jego doczesne szczątki spoczywają powyżej grobu kontradmirała, co wydaje się trochę dziwne zważywszy, że lord zmarł wiele lat po śmierci szwagra. Można to tłumaczyć w dwojaki sposób: albo lady Wandish, której nigdy specjalnie nie zależało na swym angielskim małżonku wolała, by nie znalazł się zbyt blisko niej w grobowcu rodzinnym, albo sama Matylda życzyła sobie mieć wokół siebie tylko najbliższą rodzinę: ojca, matkę, ciotkę i męża.

Stryj Wandish był dla Matyldy kimś obcym, nawet jeśli nie brakowało mu zasług, by dorównać znamienitemu rodowi de Raviroux-Luzensac. *JAMES HENRY lord WANDISH* posiadał angielskie odznaczenia, a oprócz tego *ORDER za ZASŁUGI w SŁUŻBIE CESARZA*.

Płyta przykrywająca grób poniżej miejsca spoczynku ciotki Wandish była rozpaczliwie czarna, bez żadnych napisów. Nie widziałem ich też na innych, przeznaczonych dla przyszłych członków rodu. Niestety, na zawsze pozostaną puste, gdyż bezdzietna Matylda była ostatnim potomkiem sławnej linii, która umierała wraz z nią.

Oprócz tej ściślejszej, przedstawionej przeze mnie czołówki, nie brak było innych grobów dynastii Raviroux-Luzensac. Wraz z przedstawicielami linii bocznych doliczyłem się trzydziestu czterech. Na wszystkich błyszcząły długie, złote listy tytułów i odznaczeń. Serce ścisnęło mi się na myśl, że biedna Matylda będzie jedyną bez zasług w tym rodzinnym grobowcu. Uznałem to za wielce niesprawiedliwe. Czyż nie była jako jedyna ze wszystkich Raviroux-Luzensac towarzyszką życia dożywotniego sekretarza? Czy takie małżeństwo nie uchodziło za dostateczną zasługę?

Kiedy na powrót znaleźliśmy się w świecie żywych, dependent biura notarialnego mecenasa Champenona de Viry wręczył każdemu z nas kopertę opatrzoną nazwiskiem adresata. Było to eleganckie w formie wezwanie do stawienia się — w oznaczonym dniu i godzinie — w biurze mecenasa, gdzie zostanie otwarty i odczytany testament Matyldy.

A więc jednak droga nieboszczka, w swojej dobroci, pomyślała o nas... Pożegnaliśmy się umawiając na spotkanie u notariusza.

Testament Matyldy był dość niecodzienny. Napisała go własnoręcznie przed kilkoma miesiącami, co wskazywało, że znajdowała się wówczas w pełni władz umysłowych, chyba że treść została jej podyktowana...

Na przekór utartym regułom redagowania tego rodzaju dokumentów listę dawowizn otwierały nazwiska najmniej obdarowanych, a zamykały nazwiska tych, którzy dziedziczyli prawie wszystko.

Mecenas Champenon de Viry przyjął nas w czarnym ubraniu i takimż krawacie — czy otwarcie testamentu wymagało takiego właśnie stroju? — po czym monotonnym i wypranym z wszelkich emocji głosem przeczytał ostatnią wolę Matyldy. Powaga i dostojeństwo, które sobie narzucił, miały pomóc w opanowaniu ewentualnych reakcji słuchaczy, których zdumienie rosło w miarę czytania...

Zanim jeszcze zaczął, już wszyscy stanęliśmy przed pierwszą niespodzianką... Niespodzianką wielkiego rozmiaru! Otóż nie byliśmy jedynymi, których notariusz wezwał do siebie. Przybyły też dwie inne osoby, których nigdy w życiu nie widziałem, choć słyszałem o nich wiele zarówno od Stéphanie, jak też od Alphonse'a i Honorine.

Pierwszą była kobieta o nieszczególnej aparycji i nieokreślonym wieku, którą notariusz przedstawił jako pannę Rolande Granjo. Niemalże podskoczyłem na dźwięk tego nazwiska. Oczywiście nie było mowy o serdecznym powitaniu i jakiegokolwiek sympatii.

Drugą osobą był mężczyzna średniego wzrostu o rozbieganym wzroku, wyraźnie młodszy od kobiety. Na sobie miał mało elegancki, źle skrojony garnitur koloru antracytu, pod którym, zamiast koszuli, nosił biały pulower.

„Ksiądz proboszcz Lorat”, powiedział notariusz, co sprawiło nas w osłupienie. Osobnik wyglądał bardziej na dokera niż na duchownego, nie mówiąc już o tym, że nie miał ani sutanny, ani krzyża w klapie marynarki, ani nawet charakterystycznego kołnierzyka. Hołdował zapewne jakiemuś nowoczesnemu modelowi księdza. Z nim też nie wymieniliśmy uścisków dłoni.

Rzuciłem przelotne spojrzenie w stronę Stéphanie, a jej wymowny wzrok dał mi do zrozumienia, że to ONI, i jeśli są tutaj, to z pewnością dlatego, iż zostali wezwani. A zatem testament ich też dotyczy, a to nie mogło nam wróżyć nic dobrego.

Czytanie testamentu przebiegało w największym skupieniu. Zaczęło się ciekawie: moje nazwisko padło jako pierwsze. Lepiej będzie jednak, jeśli przytoczę tutaj w całości tekst spisany ręką Matyldy w dniu 21 czerwca 1981 roku:

Ja, niżej podpisana, Matylda Adelajda Bardor z domu de Raviroux-Luzensac, wdowa po Jeanie-Marie Bardorze, będąca w pełni sił i władz umysłowych, z własnej i nieprzymuszonej woli przedstawiam niniejszym swoją ostatnią wolę.

Mojemu kuzynowi, Hughesowi de Vaujours, który zawsze był tak wyrozumiały dla mnie, zapisuję coś, co — znając jego podziw dla przedstawionej osoby — sprawi mu z pewnością ogromną radość. Chodzi o portret mojej drogiej ciotki i chrzestnej matki, lady Wandish, namalowany przez Boldiniego.

Kuzynce Stéphanie, baronowej de La Rochejaquet, zapisuję grające pudelko znajdujące się na stoliczku w salonie paryskim. Zdawało mi się, że bardzo jej się podoba, gdyż przy każdej wizycie bawiło ją nakręcanie mechanizmu.

Kuzynce Béatrice de La Rochejaquet, którą wszyscy nazywaliśmy Bea, przekazuję książkę do nabożeństwa, pamiątkę pierwszej komunii, gdzie przechowuję wizerunki moich najbliższych zmarłych: ojca, matki, ciotki Wandish, jej małżonka, a zwłaszcza mojego ukochanego i męża, Jeana-Marie. Znając jej głęboką re-

ligijność jestem pewna, że w swoich modlitwach wspomni tych zmarłych, a może też i mnie.

Alphonse'owi Boutu oddaję na własność mieszkanie, które od lat bezpłatnie zajmuje w mojej kamienicy przy ulicy Dobroczynności Mieszkaniem tym może rozporządzać według własnej woli i nikt — ani moi spadkobiercy, ani ewentualni nabywcy — nie ma prawa pozbawić go tego lokalu. Ponadto aż do śmierci otrzymywać będzie miesięczną rentę wypłacaną przez pana Raynauda, zarządcę dóbr. Jest to dowód wdzięczności za długie lata oddania w służbie u mojej ciotki i u mnie.

Honorine Duchamp oddaję na własność mieszkanie, które bezpłatnie zajmuje przez tyle lat co Alphonse Boutu, w tym samym budynku na ulicy Dobroczynności Mieszkaniem tym może rozporządzać według własnej woli i nikt — ani moi spadkobiercy, ani ewentualni nabywcy — nie ma prawa jej go pozbawić. Aż do śmierci otrzymywać będzie miesięczną rentę wypłacaną przez pana Raynauda, zarządcę dóbr. Jest to dowód wdzięczności za długie lata oddanej służby w charakterze mojej pokojówki, a wcześniej mojej ciotki, lady Wandish.

Panu admirałowi Ducaze z Akademii Francuskiej, przyjacielowi mojego ojca, pragnęłam ofiarować jego portret, ale, niestety, drogi (admirał zmarł wcześniej, a zatem wspomniany portret przekazuję Instytutowi Francuskiemu, który znajdzie, mam nadzieję, miejsce, by go dobrze wyeksponować.

Księdzu proboszczowi Loratowi oddaję moją posiadłość w Tenelles (dom i zabudowania gospodarcze, park i przylegające doń ziemie, które były moją własnością) położoną w departamencie, Hautes-Pyrenees. Przekazuję mu także organy, które niegdyś podarowałam mojemu ukochanemu Jeanowi-Marie, a znajdujące się, za radą księdza proboszcza Lorata, w kościele parafialnym w Tenelles. Po mojej śmierci ksiądz Lorat zostanie właścicielem tych organów i, jeśli zechce, może je zostawić we wspomnianym kościele bądź też znaleźć dla nich inne miejsce.

Wyjąwszy wspomniane darowizny, jedyną spadkobierczynią pozostałego majątku ruchomego i nieruchomego ustanawiam pannę Rolande Granjo.

Matylda Bardor

Zapadła głęboka cisza. Mecenas Champenon de Viry był wyraźnie zażenowany. Zdjął okulary i zaczął je wycierać chusteczką, starając się nie patrzeć na osoby wspomniane w testamencie. Po raz drugi wymieniłem porozumiewawcze

spojrzenia ze Stéphanie: to „ich” sprawka... Alphonse i Honorine wpatrywali się uparcie w dywan i czubki własnych butów. Kuzynka Bea była jak zawsze spokojna, jakby zagubiona w swoich mistycznych imaginacjach, chyba że dziękowała Bogu za dar, jaki otrzymała. Proboszcz zacierał ręce z namaszczeniem nie mającym nic wspólnego z mszalnym obrzędem i jednoznacznie zdradzającym zadowolenie. Nieprzenikniona pozostała tylko Rolande Granjo, spadkobierczyni prawie całego majątku. Widać nie była zaskoczona treścią testamentu, a opanowanie pozwoliło jej ukryć satysfakcję.

Kres milczeniu położył notariusz:

— Panie i panowie, myślę, że możemy uznać nasze spotkanie za zakończone.

O wymianie uprzejmości wśród zebranych nie było mowy. Stanowiliśmy zdecydowanie dwa wrogie obozy. Z jednej strony my, prawowici spadkobiercy, do których zaliczyć też można wiernych służących, z drugiej — ONI, uzurpatorzy, beneficjanci ostatniej godziny, których całą zażyłość z Matyldą można było sprowadzić do chęci wykorzystania jej aż do ostatniego tchnienia. W myśl starego powiedzenia: „Nie wybiera się rodziny...”, Matylda nie wybrała ani Stéphanie, ani jej córek, ani Bei, ani mnie. Nie wybrała też Alphonse'a i Honorine. Lubiła nas... z daleka. I każdemu coś po sobie zostawiła. Mnie — portret jednej z metres Edwarda VII, Stéphanie — grające pudełko wydobywające z siebie chrapliwe dźwięki starej francuskiej piosenki, Bei — modlitewnik pełen zdjęć w żałobnej oprawie, Alphonse'owi i Honorine — spokojną, dostatnią starość. W gruncie rzeczy tylko oni coś zyskali. Sp. admirał Ducaze miał szczęście umrzeć, zanim obarczono go portretem kontradmirała.

Matylda wybrała „ich”: pannę Rolande Granjo i księdza w marynarce. Im zapisała wszystko to, po co warto było fatygować się tutaj: całą fortunę! Najwyraźniej ktoś przyłożył do tego rękę... Intryga była szyta tak grubymi nićmi, że nie mogłem się powstrzymać i poprosiłem o fotokopię testamentu. Miałem do tego pełne prawo, skoro moje nazwisko też w nim figurowało. Wywołało to jednak poruszenie w obozie przeciwnym.

Dwie godziny później delegacja poszkodowanych, czyli cała nasza piątka — zależało mi na obecności Alphonse'a i Honorine, którzy byli równie oburzeni jak my, mimo że o ich interesy jako tako zadbano — zapukała do drzwi skromnego mieszkania mojego starego przyjaciela, mecenasa Victora Deliota. Zanim wyszedłem z biura notarialnego, zadzwoniłem do niego, umawiając się niezwłocznie na spotkanie.

Wiedziałem, że nie lubi zbędnych słów, więc tuż po dokonaniu prezentacji podsunąłem mu fotokopię testamentu.

— Proszę to przeczytać, drogi przyjacielu, a natychmiast zrozumie pan powody, dla których tu jesteśmy.

Wziął dokument i dokładnie go przestudiował.

— No tak... — powiedział wreszcie. — Podejrzewam, że nie zgadzacie się z rozporządzeniami zawartymi w testamencie. Wprawdzie każde z was coś otrzymało, ale są to legaty wręcz śmieszne w porównaniu z częścią, jaka przypadła w udziale księdzu Loratowi, a zwłaszcza panie Rolande Granjo. Kim są te osoby? Czy to krewni pani Matyldy Bardor?

— Skądże! — zaprzeczyła Stéphanie.

— A więc dobrzy przyjaciele?

— Panie mecenasie — odezwała się znowu Stéphanie — słuszniej byłoby powiedzieć: wrogowie, którzy wmówili biednej Matyldzie, że są jej jedynymi przyjaciółmi. W rzeczywistości to zwykli łowcy spadków.

— W grę wchodzi duże pieniądze... — Ogromne, mecenasie!

— To zmienia postać rzeczy... Powiedziała pani: łowcy spadków? Ale mowa tu też o jakimś księdzu.

— Wystarczy na niego spojrzeć, by wiedzieć jaki z niego ksiądz! Taki z niego ksiądz, jak ze mnie zakonnica.

— A panna Granjo?

— To pielęgniarka. Pod pretekstem sprawowania opieki nad naszą kuzynką nie odstępowała jej podczas ostatnich jedenastu lat jej życia. Najwyraźniej współniczka owego księdza... Ona zresztą uczyniła go spowiednikiem i duchowym doradcą Matyldy. Rezultat sam pan widzi!

— Widzę! — potwierdził spokojnie Deliot. — A co pani o tym sądzi? — zwrócił się do Bei.—

— Podzielam zdanie kuzynów.

— Bea zawsze jest tego zdania co ja — oznajmiła Stéphanie.

— Widzę! — powtórzył Deliot. — A pan, Alphonsie?

— Osobiście nie mogę narzekać: mam przyzwoite zabezpieczenie na starość. Ale uważam, że pani baronowa, jej córki i panna Béatrice zostały głęboko skrzywdzone.—

— A pan de Vaujours

— On też, oczywiście... Ale myślę, że pan de Vaujours nie obrazi się jeśli dodam, że jego pokrewieństwo z panią Matyldą jest dalsze.

— A jakie jest pani zdanie, mademoiselle? — Deliot spojrział na Honorine.

— Madame! — poprawiła go. — Jestem wdową po Napoleonie Duchamp, który był szoferem lady Wandish, a potem pani Bardor. Niestety, nie żyje od dwudziestu jeden lat... Jako była pokojówka obu dam podzielałam zdanie Alphonse'a. Przybyłam tu tylko po to, by wyrazić swoje oburzenie z powodu krzywdy wyrządzonej prawowitym spadkobiercom. Może gdybyśmy, Alphonse i ja, pozostali w służbie pani Bardor, wszystko potoczyłoby się inaczej...

— Kiedy odeszła pani ze służby?

— Zostaliśmy zwolnieni tego samego dnia — pospieszył z odpowiedzią Alphonse. — Dokładnie w tydzień po pojawieniu się pielęgniarki, która zajęła u boku pani miejsce zmarłej zakonnicy.

— Jakiej zakonnicy? — spytał Deliot.

— Później to panu wytłumaczę—wtrąciłam się. — To nie była byle jaka zakonnica, ale sama przełożona nowicjuszek w klasztorze karmelitanek. Bardzo niebezpieczna osoba... Wraz z innymi wywierała duży wpływ na kuzynkę Matyldę. Na razie, jeśli pan pozwoli, nie będziemy się nią zajmować. Szybkie ustalenie planu batalii wydaje się w tej chwili znacznie ważniejsze. Oczywiście liczymy na pańskie mądre rady... Naszym celem jest ocalenie jeśli nie całego spadku, to chociaż jego części dla córek kuzynki Stéphanie. Są one obarczone liczną rodziną, więc pomoc przydałaby się im bardziej niż nam.

— Nie żąda pan niczego dla siebie?

— Portret lady Wandish wydaje mi się dostatecznie hojnym darem. To była piękna kobieta.

Deliot spojrział na mnie z szelmowskim błyskiem w oku, po czym znów zabrał głos:

— Drogi przyjacielu, ma pan rację mówiąc o batalii... Obawiam się jednak, że będzie bardzo trudno ją wygrać, gdyż testament napisany ręką testatora jest praktycznie niepodważalny. Kto z państwa najlepiej zna charakter pisma pani Bardor?

— Chyba ja — odezwał się nieśmiało Alphonse. — Zawsze odnosiłem na pocztę listy pani.

— Dużo pisała?

— Nie za życia lady Wandish, ale po jej śmierci pisała trochę więcej.

— Proszę więc obejrzyć tę fotokopię! Czy to jej pismo?

— Bez wątpienia, jak również jej charakterystyczny, ozdobny podpis. Zaw-
sze wydawał mi się bardzo skomplikowany.

— Ma pan rację, panie Boutu. Nie jestem grafologiem, ale te arabeski w
podpisie zdają się zdradzać pragnienie dodania sobie prestiżu. To typowe dla lu-
dzi miernych...

— Pani Bardor nie była taka — zaprotestował Alphonse. — Była bardzo mi-
ła i bardzo szczerą... Jest jednak coś, co mnie zaskakuje w tym testamencie...

— Słucham pana...

— Otóż... na obu stronach nie widzę ani jednego błędu ortograficznego,
choćby najmniejszego skreślenia. Mimo całego mojego szacunku dla pani Bardor
mogę zaświadczyć, a Honorine to potwierdzi, że nie była zdolna do napisania
jednej linijki nie popełniając jednego lub dwóch błędów ortograficznych. Jej mę-
ża doprowadzało to do wściekłości. To był wykształcony człowiek, członek In-
stytutu! A poza tym... nigdy nie umiałaby wyrazić swojej woli w sposób tak ja-
sny i precyzyjny. Ktoś musiał jej pomóc.

— Albo nawet napisać wszystko na brudno i zmusić panią Bardor, by to
przepisała — zasugerował Deliot. — Jest to całkiem możliwe. Przyzna pan, drogi
przyjacielu — tu znów zwrócił się do mnie — że pańska kuzynka nie była osobą
zbyt wykształconą?

— Należała do tego pokolenia, w którym szczytem wykształcenia dziewcząt
z dobrych domów była znajomość kilku dat historycznych: 1515, 1789, 1870 itd.,
nazw departamentów wraz z prefekturami i podprefektu- rami oraz tabliczki
mnożenia. Jeśli dodamy do tego jeszcze podstawy angielskiego i solfeżu, mgliste
pojęcie o kuchni i operowaniu igłą, uzyskamy pełny obraz ówczesnej edukacji...

— Szczęśliwe to czasy dla dziewcząt! — westchnął Deliot.

— Jeśli chodzi o autentyczność pisma Matyldy, to ja też mogę ją potwier-
dzić. Mam szczęście być w posiadaniu sześciu zeszytów, które moja droga ku-
zynka przekazała mi w kilka dni po śmierci jej ukochanego męża, kiedy zjawi-
łem się w jej mieszkaniu na placu Stanów Zjednoczonych, pragnąc złożyć kon-
dolencje. W uszach brzmia mi jeszcze jej słowa, które wypowiedziała, wręczając
mi te zeszyty:

— To największy sekret mojego życia. Przekazuję ci go, gdyż ty jeden z ca-
łej rodziny potrafisz mnie zrozumieć. Jako wydawca przyzwyczajony jesteś do
czytania opowieści o miłości. W tych zeszytach znajdziesz coś w tym rodzaju...
To historia godzin, dni i nocy oraz całych lat oczekiwania na spełnienie marzeń i

wreszcie, historia dwudziestu lat wspólnie przeżytej ekstazy... Napisałam to po kryjomu. Nikt o tym nie wie. Nie wiedział też Jean-Marie ani ciotka Wandish. Zabierz je! Teraz, kiedy odeszła jedyna miłość mojego życia, niech odejdzie i historia spisana w tych zeszytach. Nie chcę ich mieć u siebie. Gdyby wpadły w ręce kogoś z rodziny lub służby, stałabym się obiektem kpin. Weź je! O jedno tylko proszę: nie wspominaj mi o nich. Gdy znów się spotkamy, zachowuj się tak, jakbyś ich w ogóle nie czytał! Proszę też o wyrozumiałość dla mojego pisma. Nigdy nie było zbyt piękne. Jean-Marie uważał je nawet za dziecinne. Miał chęć tak mówić, chociaż sam pisał jak kura pazurem! Zupełnie nieczytelnie! Nigdy też nie byłam mocna w ortografii. Ufam, że wybaczysz mi te niedoskonałości...

— Do diabła z ortografią! — powiedziałem. — Sam Napoleon miał z nią poważne kłopoty!

— A mimo to został Napoleonem...

— A ty — panią Bardor!... Robisz mi niezwykle wzruszający prezent. Przeczytam te wyznania w taki sam sposób, jak je napisałaś: po kryjomu...

I tak też zrobiłem, mecenasie.

— Czy były chociaż interesujące?

— Pozwoliły mi lepiej zrozumieć Matyldę... W normalnych okolicznościach podobna treść testamentu nie zdziwiłaby mnie absolutnie.

— Wrócimy jeszcze do tego, a teraz chciałbym państwa prosić o pozostawienie mi nocy na przemyślenie całej sprawy. Zamierzam raz jeszcze przestudiować ten dokument.

Tli potrząsnął fotokopią.

— Jestem przekonany, że przy odrobinie szczęścia, odkryję w tych zdaniach źródło argumentów przemawiających na waszą korzyść lub uda mi się przynajmniej znaleźć jakieś godne wyjście. Proszę jednak nie robić sobie wielkich nadziei!

Po czym rzekł do Stéphanie:

— Mogę sobie wyobrazić, jak trudno byłoby pani znieść myśl, że para oszustów pozbawiła panią wszelkich praw do spadku.

— Czy to oznacza, że zgadza się pan nas bronić, mecenasie?

— Tak, proszę pani! I to z dwóch powodów: po pierwsze, nie mógłbym odmówić pomocy staremu przyjacielowi, a po drugie i najważniejsze, podobnie jak pani, wietrzę w tej sprawie nadzwyczajne oszustwo. Niestety, nie pierwszy i nie ostatni raz takie rzeczy zdarzają się w wypadku sukcesji. Amatorów łatwego grosza nigdy dość... Zanim przejdziemy do konkretów, chciałbym spotkać się z każ-

dym z państwa w cztery oczy. I tak, począwszy od jutra, co wieczór po kolacji — dla mnie to najwygodniejsza pora — będę przyjmował państwa w następującej kolejności: najpierw mój przyjaciel Vaujours, potem pani de La Rochejaquet, trzeciego dnia — panna Béatrice de La Rochejaquet i, na koniec, pan Alphonse Boutu wraz z panią Honorine Duchamp, ponieważ pytania, jakie pragnę im zadać, są identyczne. Czy państwo wyrażają zgodę?

— Oczywiście, mecenasie!

— Myślę, że te rozmowy pozwolą mi na rozpoznanie „terenu”, a potem znowu zbierzemy się na ogólną naradę. Będzie to w przyszły poniedziałek o godzinie siedemnastej. Ustalimy wówczas plan działania.

— Ma pan już jakiś pomysł?

— Rozważam możliwość wystąpienia do sądu z wnioskiem o unieważnienie testamentu.

— Mecenasie — odezwał się Alphonse prawie szeptem. — Czy nasz udział jest konieczny? Czy Honorine i ja mamy prawo występować w tej sprawie wraz z członkami rodziny pani Matyldy?

— To nawet wasz obowiązek! Wasza obecność, jako wsparcie moralne dla prawowitych spadkobierców, może być dodatkowym atutem w naszej sprawie. Proszę nie zapominać, że w gromadzie siła, zwłaszcza gdy przeciwnik działa z taką determinacją, o czym świadczyć może to, że posunięto się aż do wywarcia presji na osobę sporządzającą testament. Oni, podobnie jak pan i pani Duchamp, też nie są członkami rodziny, a mimo to nie mieli skrupułów zagarniając cały majątek. A teraz już, panie i panowie, drogi przyjacielu, nie zatrzymuję państwa dłużej.

— A... pańskie honorarium? — zainteresowała się Stéphanie.

— Kuzyn wyjaśni pani, że podczas całej mojej praktyki prawniczej kwestie materialne stawiałem zawsze na drugim planie. Liczyło się wyłącznie pragnienie znalezienia sprawiedliwości dla tych, którzy zechcieli mi zaufać.

Tak brzmiały ostatnie słowa Victora Deliota. Kiedy schodziliśmy po zakurzonych schodach starego, poczerńiałego budynku, pomyślałem sobie, że ten człowiek nigdy się nie zmieni. Byłem przekonany, że nasza sprawa jest we właściwych rękach.

ŁAWKA MIŁOŚCI

TLR

Nazajutrz Victor Deliot zaczął rozmowę ze mną od następującego pytania:

— Wie pan, że jestem starym zwolennikiem prawdy, dlatego nie mogę uwierzyć, że tylko względy rodzinne kazały takiemu człowiekowi jak pan zmierzyć się z jakimiś oszustami. Czy naprawdę pragnie pan, by ten majątek stał się własnością dalekich, ciotecznych wnuczek, czyli córek tej Stéphanie?... A tak na marginesie: nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek pan o niej wspominał.

— Dotąd nie wspominałem też i o Matyldzie, mimo że widywałem się z nią częściej niż ze Stéphanie. A ponieważ lubi pan szczerość, więc powiem panu, że nigdy nie pałałem do niej szczególną sympatią. Według mnie to karierowiczka, nie gardząca żadnym środkiem dla osiągnięcia zamierzonego celu. Mogę pana zapewnić, że Matylda nie ceniła jej zbyt wysoko. Kilkakrotnie dała mi to do zrozumienia.

— Czy często widywał pan Stéphanie po śmierci pana Bardora?

— Rzadko. Na pogrzebie Matyldy spotkaliśmy się po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat.

— Córki Stéphanie najwyraźniej nie czuły się szczególnie związane z ciotką, skoro nie uznały za stosowne pofatygować się na jej pogrzeb, a i pani Bardor nie wspomniała ich w swoim testamencie. Czy utrzymywał pan z nimi bliższe stosunki niż z ich matką?

— Nie. Jednej z nich nawet nie znam.

— To utwierdza mnie w przekonaniu, że nie kieruje panem chęć pomocy dalekim krewnym. O ile pana znam, w grę nie wchodzi także osobiste korzyści materialne, musi być zatem inny powód...

— Ten powód to sympatia dla Matyldy, którą zawsze uważałem za bezradną wobec ludzi i życia... Moja sympatia dla niej była wypadkową życzliwości i litości. Nikt nigdy jej nie pomógł ani nie wystąpił w jej obronie. Spróbuję więc bronić jej interesów pośmiertnie. To nawet mój obowiązek.

— Występować przeciwko jej woli?

— Raczej odkryć jej prawdziwe intencje, bowiem uparcie twierdzę, że gdyby jej do tego nie zmuszono, nigdy nie napisałaby testamentu z tak śmiesznymi rozporządzeniami w stosunku do Stéphanie, Bei i mnie. Odnoszę nawet wrażenie, że ci, którzy manipulowali biedną Matyldą, wszystko ułożyli tak, by nie dać nam podstaw do protestu. Uważali, że wystarczy w jakikolwiek sposób wspomnieć o nas w testamencie, by nie przyszło nam do głowy wystąpienie przeciwko głównym rozporządzeniom.

— Czuję, że eks-pielegniarka i osobliwy ksiądz grubo pomylili się w swoich kalkulacjach... Ale pomówmy raczej o wspomnianej przez pana bezradności i słabości pańskiej kuzynki.

— Wcześniej straciła rodziców i mimo ogromnej fortuny, której była jedyną spadkobierczynią, zawsze żyła w osamotnieniu... Pieniądze przyciągają pseudo-przyjaciół, ludzi narzekających na swój los, by wzbudzić litość i skorzystać z odzyskania dobroczynności różnych pseudopowierników, którzy, udając zrozumienie i niby to udzielając moralnego wsparcia osamotnionej dziedziczce, szukają dróg zbliżenia się do fortuny. Życie w otoczeniu tego rodzaju ludzi to żadne szczęście. Nie ma w nich nic z prawdziwej przyjaźni i przywiązania. Wprawdzie aż do czasu zwolnienia Alphonse'a i Honorine Matylda mogła liczyć na ich wierność i oddanie, ale było w tym więcej obowiązku niż spontanicznego uczucia. Matylda wiedziała chyba o tym, skoro w testamencie dziękuje im właśnie za przywiązanie, a nie za miłość...

— Czy ona w ogóle była zdolna kogoś kochać?

— Bez wątplenia kochała swojego męża. Darzyła go głęboką, zaborczą miłością. Dawała wszystko i tyleż oczekiwała w zamian. Matylda należała do kobiet, które kochają tylko raz. To była najprawdziwsza miłość od pierwszego wejrzenia — Matylda miała wówczas zaledwie dwadzieścia lat — ale na spełnienie czekała dziewiętnaście długich lat, rosnąc i ugruntowując się, by wreszcie rozkwitnąć w całej pełni w czasie ich dwudziestoletniego wspólnego pożycia. Po śmierci Jeana-Marie żyła zaś wspomnieniami tej wielkiej miłości. To była jej je-

dyna radość życia; wszystko inne — ludzie, zdarzenia — nie miało większego znaczenia.

— Czy to odnosiło się także do czarującej lady Wandish, która ją wychowała?

— Nie da się na to odpowiedzieć jednym słowem... Widziałem rosnącą nienawiść Matyldy do ciotki... Z ulgą przyjęła śmierć, która uwolniła ją od jej kurateli. Niestety, uczucie wolności i swobody nie trwało długo, bo Jean- Marie zmarł kilka lat po lady Wandish. I wtedy w samotności Matyldy pojawiła się ta zakonnica, o której wspominałem.

— Dlaczego pańska kuzynka tak nienawidziła swojej chrzestnej matki?

— Matylda nie była aż tak głupia, żeby nie widzieć wyższości lady Wandish pod każdym względem, a już najbardziej w kwestii urody, inteligencji i sposobu bycia. Matylda nigdy nie była ani zbyt ładna, ani inteligentna. Nie miała w sobie ani odrobiny błyskotliwości. Była tylko niewypowiedzianie dobra. Lady Wandish zachowywała się czasem bardzo okrutnie w stosunku do swojej siostrzenicy. Trzeba jednak przyznać, że dołożyła wszelkich starań, by wyrwać ją z jej mierzoty intelektualnej i fizycznej, mimo iż zdawało się, że Matyldzie jest z tym dobrze. Nic więc dziwnego, że próbowała jej czasem dokuczyć.

Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli opowiem panu całą historię życia Matyldy. Tylko wtedy da się zrozumieć, dlaczego tak zależy mi na ocaleniu jeśli nie pamięci, to przynajmniej schedy po niej... Musi pan wiedzieć, że matka Matyldy zmarła przy porodzie, a ojciec, kontradmirał de Raviroux-Luzensac, zmarł w trzy lata później wskutek nieszczęśliwego upadku z konia. Tak więc w wieku trzech lat mała Matylda —jedyna dziedziczka potężnej fortuny — trafiła do przepyszego pałacu siostry matki, olśniewającej lady Wandish, która zajęła się sierotą.

...Trzydziestoletnia wówczas lady Wandish była żoną bajecznie bogatego lorda, z którym robiła, co chciała. Dzieci nie miała i nie ukrywała radości z tego powodu. Jej niezwykła uroda wzbudzała taki sam podziw w londyńskich salonach jak w jej własnej posiadłości na placu Stanów Zjednoczonych. Zawsze otaczały ją tłumy wielbicieli. Chodziły też słuchy o jej licznych przygodach... Poza tym była osobą nadzwyczaj władczą: wszyscy musieli jej ustępować, a jej słowa lub decyzje przyjmować jak świętość.

„Drogi przyjacielu — powiedział mi lord Wandish podczas lunchu w Hautefeuille wydanego z okazji ślubu Matyldy i Jeana-Marie Bardora — małżeństwo jest z pewnością piękną instytucją, ale muszę panu wyznać, że dla mnie lata małżeństwa liczą się podwójnie.”

... Te słowa rzucają najlepsze światło na dzieciństwo Matyldy spędzone w posiadłości ciotki. Nietrudno domyślić się, że obecność małej siostrzenicy była dla niej wielce kłopotliwa. Nic dziwnego, że z ochotą oddawała ją pod opiekę i na wychowanie różnym guwernantkom i nauczycielom. Nie zawsze kompetentnym, ale sownie wynagradzanym.

Dziecko należące do takiego rodu nie mogło chodzić do szkoły powszechnej ani do liceum, nie oddano jej więc na żadną pensję ani do klasztoru, gdzie miała by przynajmniej kontakt z rówieśnikami. Normalne kłótnie i zatargi dziecięce wyszłyby jej tylko na dobre. Tymczasem największym jej nieszczęściem było wzrastanie wyłącznie w otoczeniu ludzi dorosłych. Sama lady Wandish miała prawie trzydzieści lat, kiedy zaopiekowała się małą, lord Wandish znacznie więcej, a nawet szanowny małżonek Matyldy liczył sobie o trzydzieści cztery lata więcej niż ona. Pierwszej młodości nie byli też przyjaciele rodziny, zbierający się raz w tygodniu na wystawnym obiedzie. Przez blisko czterdzieści lat, w każdy wtorek, obiad jadano w towarzystwie admirała Ducaze'a i księdza Vidisa. W takich warunkach trudno nie stać się małą-starą w obyczajach i w sposobie myślenia...

— Kiedy dorosła, mogła wszystko zmienić! Mogła odejść od świata starych, znaleźć sobie przyjaciół wśród młodych, pełnych życiowego dynamizmu ludzi...

— Niestety, nie Matylda. Nie była zdolna do radykalnych posunięć.

— Czy wspomniany admirał to ten sam człowiek, którego wymienia się w testamencie, rezerwując mu portret kontradmirała?

— Ten sam! Admirał zmarł w bardzo podeszłym wieku. Za życia dostąpił zaszczytu piastowania stanowiska dziekana pięciu akademii. Kilkakrotnie miałem przyjemność spotkać go u Matyldy na obiedzie. Mimo starości cieszył się doskonałym wzrokiem, energią i dowcipem... Z przyjemnością słuchało się jego pasjonujących opowieści o bitwach morskich z czasów marynarki żaglowej.

— Musiał być też dobrym pisarzem, skoro Akademia przyjęła go w poczet swoich zasłużonych...

— Niekoniecznie... W Akademii zawsze musiał być jakiś generał czy admirał, tak jak biskup lub inny wielki kaznodzieja. Osobiście nigdy nie czytałem żadnej książki admirała Ducaze'a.

— A kim był ksiądz Vidis, którego nazwisko brzmi tak z łacińska? Myślę, że nie miał nic wspólnego z księdzem Loratem, jednym z głównych spadkobierców...

— Absolutnie! Znałem go równie dobrze jak admirała i mogę pana zapewnić, że nic nie łączyło obu księży. Ksiądz Vidis był wikariuszem w kościele Św. Piotra w Chaillot, człowiekiem nad wyraz świątobliwym i naprawdę dobrym przyjacielem Matyldy, był też jej spowiednikiem. Zawsze służył jej dobrą radą do czasu, gdy zastąpił go dużo młodszy ksiądz Lorat.

— A więc wreszcie pojawił się ktoś młodszy w życiu pańskiej kuzynki!

— Tylko że wówczas Matylda nie była już młoda... Matylda potrzebowała spowiednika. Nie mogła się bez niego obejść.

— Czy przypadkiem nie wbiła jej tego do głowy lady Wandish?

— Z całą pewnością nie! Nie... Matylda była urodzoną bigotką, niemalże jak kuzynka Bea, którą pan wczoraj poznał. To zresztą wada większości kobiet tej generacji w mojej rodzinie. Następne pokolenia są już mniej pobożne. Co, uważam, wyjdzie im tylko na dobre zważywszy, że bigoteria zgubiła biedną Matyldę.

— Ale pan też był młodym człowiekiem, kiedy bywał jej gościem na obiadach z udziałem admirała.

— Byłem dużo młodszy od Matyldy. Zawsze mówiła, że ją bawię! Może właśnie dlatego lubiła mnie trochę i zwierzała mi się ze swoich sekretów podobnych do tych, którymi wypełniała swoje zeszyty... Śmiech nie należał do częstych bywalców pełnego powagi domu na placu Stanów Zjednoczonych. Wyglądało, jakby był tam zakazany owocem.

Kiedy wchodziło się do budynku, trzeba było przejść obok posepnego portiera, który przez okienko nieufnie spoglądał na przybysza. W przedpokoju Alphonse uwalniał mnie od płaszcza witając ceremonialnym: „Dzień dobry, panie Hughes!", po czym szedłem do salonu po czarnych, marmurowych schodach. Atmosfera zawsze była lodowata bez względu na porę roku. Wystarczyło przekroczyć próg, by poczuć chłód na ciele i w sercu...

— No dobrze, ale wróćmy do dzieciństwa Matyldy spędzonego w świecie dorosłych...

— Powiedziałbym raczej: dzieciństwa szczelnie zamkniętego w świecie dorosłych! Nawet na nudnych spacerach w ogrodach Trocadero towarzyszył jej jakiś cerber w spódnicy. Nawet tam nie była wolna od nakazów i zakazów. Jak w takich warunkach nie wypaczyć sobie pojęcia o egzystencji? Nie znam nic gor-

szego niż powierzenie wychowania dziecka podobnym najemnikom. W przypadku Matyldy było jeszcze gorzej, bo nie mogła oczekiwać rekompensaty w kontaktach z kochającymi rodzicami. Jediną osobą, która w tym świecie starych umiała okazać jej czasem odrobinę czułości, był lord Wandish. Po licznych dyplomatycznych wybiegach udało mu się nawet uzyskać u swej małżonki słynną zgodę na zabranie Matyldy do cyrku na ulicę Saint-Honore. Były to dla niej niezapomniane wydarzenia! Jeszcze wiele lat później opowiadała mi o tym z zabawną dokładnością. Pamiętam jej zachwyty:

— To było cudowne! — mówiła. — Najbardziej podobały mi się pieski w strojach jockeyów, pędzące na biało-czarnych kucykach... I podobny do stryja gruby pan, który połykał złote rybki...

— A clowni, Matyldo? — pytałem.

— Przerażali mnie! Płakałam, a stryj mnie pocieszał.

— To był miły człowiek! Tylko w obecności swojej żony musiał skrywać tę swoją łagodność, którą ona poczytywała za nieznośną słabość.

— Czy nie uważasz, że moja ciotka była straszną kobietą?

— Może, ale kochała cię na swój sposób.

— Tak sądzisz? Zawsze zastanawiałam się nad tym.—

— Pytanie, jakie sobie wówczas zadawała, świadczy o niezbyt szczęśliwym dzieciństwie — zauważył Deliot. — W końcu jednak dorosła...

— Oczywiście. Przynajmniej fizycznie. Nabrała kobiecych kształtów, nawet dość obfitych, co było jej jedynym zewnętrznym atutem. Poza tym była ruda w każdym calu: rude włosy i skóra typowa dla rudych... wie pan, cała pokryta piegami: twarz, ręce, nogi i prawdopodobnie reszta ciała, chociaż nie widziałem jej nagiej. Niektórzy mężczyźni gustują w tego typu kobietach, aleja nie! A pan?

— Och, ja... i kobiety...

— Nie lubi pan kobiet?

— To raczej ja nie miałem u nich wielkiego powodzenia.

— Jestem przekonany, że Matylda pokochałaby pana.

— Z powodu mojej siwej brody?—

— Przypominałby jej pan świętego Mikołaja. Bardzo lubiła tę postać. Proszę sobie wyobrazić, że przynajmniej przez sześćdziesiąt lat swojego życia — potem już nie wiem, bo nasze kontakty się urwały — w wigilię Bożego Narodzenia zostawiała przed kominkiem buty w oczekiwaniu aa prezent od świętego Mikołaja.

— I otrzymywała go?

— Oczywiście. Honorine opowiadała, że rolę świętego Mikołaja grał Alphonse, ale na ogół Matylda sama fundowała sobie prezenty. Zdaje się, że kupowała je na długo przed świętami i pozostawiała nie rozpakowane aż do północy 24 grudnia.

— Wzruszające! Ale do czasu, nim sama mogła robić sobie prezenty, kto się tym zajmował? Ciotka Wandish?

— Z całą pewnością nie! Ona i prezenty?! Zbyt była przyzwyczajona do otrzymywania ich od różnych kochanków i wielbicieli, by pomyśleć o ofiarowaniu czegoś komukolwiek! To stryj grał tę rolę przed Matyldą.

— A po jego śmierci?

— Alphonse, jak już powiedziałem. Oczywiście za pieniądze Matyldy. W czasie dwudziestoletniego związku z Jeanem-Marie zmuszała swojego siedemdziesięcio-, potem osiemdziesięcio- i wreszcie dziewięćdziesięcioletniego mężonka, by też zostawiał przed kominkiem swoje pantofle dożywotniego sekretarza.

— Czy to „stary” Jean-Marie nauczył ją miłości?

— Prawdę mówiąc, odkryła ją w wieku dziesięciu lat, jak sama mówi w pierwszym zeszycie.

— W wieku dziesięciu lat? Dość wcześnie jak na dziecko przesiąknięte bigoterią.

— Poznanie było, rzekłbym, pośrednie. Do tego czasu, jak sama pisze, robiąc błąd na błędzie, nie rozumiała słowa „miłość”. Tak mało wokół niej było tego uczucia, że mogła go nie zauważyć... W dzieciństwie miała zwyczaj — zaobserwowany zresztą u służby — podsłuchiwanie pod drzwiami, a nawet podglądania przez dziurkę od klucza. Było to tym bardziej pasjonujące, że oficjalnie zakazane. I zobaczyła... Proszę sobie wyobrazić: przez dziurkę od klucza zobaczyła króla — nigdy nie omieszkał odwiedzić lady Wandish w czasie swego pobytu w Paryżu — całującego jej opiekunkę! Matylda dodaje, że z ukrycia wielokrotnie widziała, jak po schodach z czarnego marmuru król zmierzał do salonu na pierwszym piętrze. Była wtedy za mała, by mogła mu być przedstawiona. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu w domu ciotki, jak pisze, zawsze zjawiał się w „cywilu”. Tymczasem w jej dziecięcej wyobraźni król kojarzył się z purpurowym płaszczem obszytym gronostajem, a zwłaszcza z berłem w ręku i złotą koroną na głowie... Na szczęście król był brodaty i raczej niemłody. Tym właśnie podbił serce dziewczęcia, które wyrastając w świecie „starych”, wśród nich właśnie widziało swoich potencjalnych pretendenta do ręki. Król stanowił zatem pierwsze obli-

cze miłości... Oczywiście nie ośmieliła się zadawać pytań na jego temat. Kilka miesięcy później w salonie na stoliku odkryła fotografię znajomego króla w stroju koronacyjnym. Dowiedziała się wówczas, że był to Edward VII. Z nieczytelnej dedykacji, która znajdowała się na zdjęciu, udało się jej rozszyfrować cztery wyrazy poprzedzające podpis: „Dla lorda i lady Wandish”. W dedykacji taktowny król nie zapomniał więc o mężu ciotki, chociaż wizyty składał zawsze między piątą a siódmą po południu, kiedy stryj oddawał się partyjce brydża w Jockey-Clubie. On właśnie ofiarował swojej pięknej przyjaciółce tę grającą skrzyneczkę, która z woli Matyldy lub za podszeptem wiadomych osób przypadła w udziale kuzynce Stéphanie.

... Najciekawsze w tej królewskiej idylli, której Matylda była najmłodszym świadkiem, jest to, że w sposób zaskakujący lady Wandish przypominała królową Aleksandrę, prawowitą małżonkę angielskiego monarchy. Potwierdza to portret ciotki namalowany w dniu jej ślubu. Często oglądałem go w korytarzu na pierwszym piętrze. Podobieństwo między obiema kobietami jest rzeczywiście uderzające.

— Bardzo często — odezwał się Deliot — mężczyźni znajdują swoistą przyjemność w zdradzaniu żon z ich sobowtórami. Łatwo to wytłumaczyć faktem, że uroczą małżonka zrzuca w końcu maskę i odsłania swoje nie zawsze przyjemne oblicze, podczas gdy słodka metresa jest wiecznym wizerunkiem kobiety, którą mąż chciał mieć za żonę...

— Albo odwrotnie, gdyż mogę pana zapewnić, że lady Wandish była uosobieniem złego charakteru.

— Może więc królowa Aleksandra przesadzała z łagodnością...

— Nie miało to jednak większego znaczenia dla młodziutkiej Matyldy. Trzeba przy tym dodać, że o ile zachowanie brodatego króla w saloniku wprawiło ją w zachwyt, o tyle przerażało postępowanie ciotki. Mam wszelkie powody twierdzić, że od tego dnia Matylda zaczęła szczerze nienawidzić lady Wandish. Nie mogła wybaczyć jej zdrady stryja, który pokazał jej cyrkowe cuda...

— To musiał być prawdziwy szok.—

— Odtąd Matylda zmieniła się. Zaczęła marzyć o pocałunkach jakiegoś starszego, sławnego pana. Z wiekiem to marzenie ugruntowało się. Nie dziwi więc wydarzenie, które miało miejsce w osiemnastym roku jej życia... Dla ówczesnej dziewczyny nie była to jeszcze pełnoletność, ale czas na pierwszy bal. Tego wieczoru mogła założyć swoją pierwszą wieczorową suknię z zielonej tafty. Kiedy po latach opowiadała mi o niej, miała jeszcze błyski zachwytu w oczach. Sama

ciotka Wandish wybrała ten kolor, wychodząc z założenia, że do rudych włosów pasuje jedynie zieleń i czerń. Nie było oczywiście mowy o ubraniu Matyldy na czarno na jej pierwszy bal. Byłoby to w bardzo złym guście. Mogłoby zostać poczytane za podkreślanie jej pozycji bogatej sieroty.

* *

*

Bal wydano w pałacu ciotki Wandish na placu Stanów Zjednoczonych. Przybyły tłumy. Lady Wandish, prawdziwa gwiazda wieczoru, wystąpiła w swoim słynnym naszyjniku z pięciu sznurów pereł (prezent od króla, małżonka czy jeszcze kogoś innego? — to pytanie na zawsze pozostanie bez odpowiedzi).

W pełnym majestacie oczekiwała gości na szczycie marmurowych schodów. Stojąca u jej lewego boku Matylda kłaniała się nobliwym matronom przybywającym w towarzystwie swoich córek na wydaniu. Uśmiechała się przy tym skąpo. Nikogo oczywiście nie знаła. Stryj Wandish zajmował miejsce po prawej stronie małżonki. Na sobie miał frak, który nosił w sposób tak dystyngowany, jak tylko angielscy lordowie to potrafią. Z trudem krył znudzenie.

Tymczasem z salonów dochodziły dźwięki muzyki. Orkiestra grała to wszystko, co nadawało się do tańca, zanim we Francji pojawił się jazz.

Tego wieczoru Matylda była często proszona do tańca, wszak bal wydano na jej cześć. Tańczyła więc dużo, ale źle. Niestety, nie miała ani żadnych zdolności tanecznych, ani najmniejszego zamiłowania do tej sztuki. Podobnie jak stryj, nie bawiła się dobrze. Z całą pewnością dużo gorzej niż ciotka, której przeznaczeniem było błyszczenie w salonach.

Ten wieczór zapoczątkował okres nie kończących się balów. Często aż dwa razy w tygodniu Matylda, jako dobrze wychowana panna, musiała pojawiać się na nich w towarzystwie ciotki, stryja lub w najgorszym razie jakiejś dobrze urodzonej przyzwoitki. Niestety, dziewczyna szybko nabrała niechęci do tanecznych rozrywek, a i sama lady Wandish miała już dość roli szlachetnej matrony towarzyszącej na balu swojej wychowanicy. Był to nadmiar poświęcenia z jej strony. Silenie się na rozmowy z innymi damami siedzącymi na obrzeżach salonów, podczas gdy ich latorośle sunęły po parkiecie w ramionach młodzieńców z dobrych rodzin, stanowiło największe utrapienie. Nie odzywała się więc wcale.

Po powrocie z każdego balu nie omieszkała spytać Matyldy: „Dobrze się bawiłaś?”, a ponieważ dziewczyna nigdy skwapliwie nie przytakiwała, ciotka ciągnęła dalej: „Widziałam, że trzy razy zatańczyłaś z młodym Jacquesem de

Villot... To chłopak z bardzo dobrej rodziny i robi wrażenie bardzo wykształconego. Co o nim myślisz?" Matylda odpowiadała wówczas swoim cienkim głosem: „Nie wiem, ciociu...” Po takiej odpowiedzi lady Wandish wpadała w furję: „Nie wiesz?! Ty nigdy nic nie wiesz! Zawsze ma się jakieś zdanie na czyjś temat! Dobre lub złe, ale się ma! Czas, moja droga, żebyś wykazywała więcej zdecydowania!”

W jaki sposób jednak biedna dziewczyna mogła podejmować jakiegokolwiek decyzje, skoro ciotka decydowała o wszystkim i za wszystkich, nie pytając nikogo o zdanie? Wystarczyło spojrzeć na jej nieszczęsnego męża... Nie dość, że zdradzała go na prawo i lewo, to jeszcze nie pozwalała mu nawet otworzyć ust. Tak było też z Matyldą...

Mimo wszystko słodko-kwaśne stosunki między chrzestną matką i chrzestną córką trwały nadal w nie zmienionym stanie. Matylda posłusznie brała udział w balach oraz środowych wieczorach w Operze Komicznej, które miały służyć podniesieniu jej mocno ograniczonej kultury muzycznej. Zetknęła się tam z całym repertuarem klasycznym. Poznała „Carmen” i miłość krwawą, „Wertera” i miłość romantyczną, „Madame Butterfly” i miłość prowadzącą do rozpacz, „Manon” i jej miłosne skandale oraz wiele, wiele innych.

Lady Wandish miała nadzieję, że ten świat romansów skieruje rozbiegane myśli dziewczyny na odpowiednie tory. Chciała, żeby Matylda dostrzegła, że miłość może nadać sens beczynnej egzystencji. Podsuwała jej lektury w stylu „Pani Bovary” czy „Pustelni Parmeńskiej”, ale bez rezultatu: Matylda nie lubiła czytać.

Były jeszcze wernisaże i herbatki od piątej do siódmej, na których rudowłosa dziedziczka miała obowiązek przypominać o swoim istnieniu.

Do dyspozycji miała automobil firmy Delaunay-Belleville i szofera w osobie wąsatego Napoleona, męża Honorine, młodziutkiej wówczas pokojówki. Jako najlepszy szofer w całej XVI dzielnicy, Napoleon wyróżniał się wytwornymi manierami. Po dotarciu do celu wysiadał z samochodu, następnie prawą ręką otwierał drzwi, podczas gdy w lewej trzymał czapkę. To właśnie w tym samochodzie — tej samej marki, jaką jeździł w Petersburgu sam car — lady Wandish próbowała dociec, jakie myśli kłębią się w głowie Matyldy, ale dziewczyna za całą odpowiedź miała zawsze: „Tak, ciociu” albo „nie, ciociu”, jakby złożyła śluby milczenia. W rzeczywistości myślała tylko o jednym... Od lat! Od pamiętnej sceny zalotów brodatego króla do ciotki, sceny obserwowanej przez dziurkę

od klucza... Wysublimowany obraz podstarzałego monarchy nie przestawał jej prześladować.

W końcu miał nastąpić kres milczenia, a ukryte marzenie — ujrzeć światło dzienne, niszcząc tym samym politurę harmonii między obiema kobietami.

Na nieszczęście — jak to zwykle w życiu bywa — do wydarzenia, którego konsekwencje miały decydujące znaczenie w życiu Matyldy, doszło w najmniej oczekiwanym momencie.

Było to wiosną, w ostatnim tygodniu pobytu w Paryżu, dosłownie na kilka dni przed wyjazdem lordostwa Wandish na lotnisko. Jak co roku pierwszym etapem podróży był spokojny brzeg jeziora w Neuchatel — chociaż dzisiaj trudno mówić o jego działaniu uspokajającym — i miesięczny pobyt w szwajcarskim hotelu, po czym aż do połowy jesieni rodzina osiadła w Hautefeuille.

Tego roku lady Wandish stwierdziła, że skoro osiemnaście miesięcy włożenia Matyldy po różnych balach i przyjęciach nie dało żadnego rezultatu, znalezienie pretendenta do jej ręki będzie nie lada problemem. Bardzo martwiło to ciotkę od dawna marzącą o pozbyciu się ciężaru. Tymczasem Matylda miała wkrótce zacząć dwudziesty rok życia, czyli już od siedemnastu lat była na karku ciotki. Dla kobiety pozbawionej zupełnie instynktu macierzyńskiego to cała wieczność! Czyż nie miała prawa uważać, że już wystarczająco spełniła swój obowiązek?

Skoro więc Matylda nie zdradzała żadnych skłonności do życia klasztornego, jedynym wyjściem było niezwłoczne wydanie jej za mąż. Ale jak? Matylda dała wyraźnie do zrozumienia, że wśród przedstawionych jej młodzieńców nie widzi kandydata do swej ręki. Byli za młodzi...

— Matylda to trudny przypadek — zwierzyła się raz lady Wandish swojemu małżonkowi. — Bogaty posag nie jest tu dostateczną przynętą. Brak jej zalotności, kokieterii, powabu! Nie jest całkiem brzydka, ale też niezbyt piękna... To bardzo przeciętna dziewczyna. Powiedzmy sobie szczerze, że ci nieliczni, którzy starają się o jej rękę, to zwykli łowcy posagów, jacy włożą się po Paryżu w poszukiwaniu bogactwa. Nie o Matyldę im chodzi, lecz o jej pieniądze i w tym cały problem! Matylda jest bardzo wrażliwa, podobne małżeństwo mogłoby być dla niej nieszczęściem. A jeśli do tego mężczyzna nie byłby uosobieniem jej męskiego ideału, to już prawdziwa katastrofa! Naszym obowiązkiem, mój drogi, jest zaobserwowanie o jej szczęście!

Lord Wandish zgodził się oczywiście z tak rozsądnymi argumentami. Zresztą sam był tego samego zdania.

— Musimy znaleźć dla niej jakiegoś „rzadkiego ptaka” — ciągnęła — trzeba rozejrzeć się za jakimś podstarzałym kandydatem, skoro już ma taki dziwny gust. Chciałabym, żeby był to człowiek majątny i należał do naszej sfery. Najtrudniej będzie trafić na kogoś, kto uzna ją za wystarczająco atrakcyjną... Takiego człowieka na próżno szukać w salonach, mam jednak pewien pomysł... Co powiesz, mój drogi, o kimś takim jak Adhemar de Villedo-Joyeuse? Trzydzieści pięć lat, dość przystojny, jedynak i — tak jak Matyllda — sierota. To niezła partia! Słyszałam nawet, że chętnie poślubiłby jakąś rudowłosą dziewczynę i bardzo przypadłby mu do gustu związek ostatniego Villedo-Joyeuse'a z ostatnią z rodu de Raviroux-Luzensac! Czy to nie wymarzony człowiek?

Ponieważ i tym razem stryj zgodził się z wywodami małżonki, datę spotkania wyznaczono na następny tydzień. Oczywiście, w myśl zasady, że najlepszy skutek przynosi działanie przez zaskoczenie, Matyllda nie została wtajemniczona w te plany. Do spotkania miało dojść w Konserwatorium podczas jednego ze wspaniałych koncertów w niedzielne popołudnie. Ustalono, że Matyllda będzie siedzieć po prawej stronie ciotki, a Adhemar de Villedo-Joyeuse, niby przypadkiem, usiądzie obok niej. Przed koncertem lady Wandish wykrzyknie: „Co za niespodzianka, drogi Adhemarze!”, na co ten odpowie najnaturalniej w świecie: „Lubię dobrą muzykę...”, ciotka zapyta: „Nie wiem, drogi przyjacielu, czy zna pan Matylldę, moją siostrzenicę...”

Taki będzie początek, a co dalej — sytuacja pokaże. Może Matyllda i jej sąsiad odkryją wspólną pasję koncertową i zechcą umówić się na kolejne spotkanie z muzyką?

Wszystko odbyło się zgodnie z planem, tylko że... Matyllda nie odezwała się ani słowem do czarującego Adhemara. W czasie obu antraktów pan Villedo-Joyeuse zasypywał ją uprzejmościami, po koncercie zaś odprowadził obie damy do samochodu firmy Delanay-Belleville, gdzie, jak zwykle, czekał wiemy Napoleon. Kiedy samochód ruszył zostawiając na chodniku zbitego z tropu kawalera, lady Wandish nie wytrzymała:

— A więc on też ci się nie spodobał?!—

— Jest mi zupełnie obojętny i... za młody.

— Za młody! Jest starszy od ciebie o piętnaście lat! Czego więc chcesz? Nigdy — słyszysz? — nigdy nie spotkasz mężczyzny odpowiadającego ci pod każdym względem nie mówiąc już o tym, że żaden nie będzie lepszy od tego!...

Nawet nie wiesz, że w całym Paryżu nie ma ani jednej dziewczyny i ani jednej młodej wdowy, która nie marzyłaby o poślubieniu go! To wyjątkowy człowiek! Ma olbrzymi majątek, osobisty urok, klasę, wykształcenie, doświadczenie życiowe... Czego chcesz więcej?

— Kogoś innego... — szepnęła cicho.

— Kogo?

— Tego, który był na estradzie po lewej stronie orkiestry.

— Zwariowałaś? O kim ty mówisz?

— O szykownym panu grającym na organach. Tym, który siedział obok grzejnika.

— Obok grzejnika? Grał na organach? Ależ to Jean-Marie Bardor, słynny organista... Nie widziałaś jego nazwiska w programie?

— Ładne imię: Jean-Marie... Bardzo do niego pasuje...

— I co z tego?

— On właśnie mi się podoba, ciociu, a nie ten wyperfumowany, pewny siebie pan, któremu się zdaje, że żadna nie oprze się jego czarowi.

— Ależ człowiek, o którym mówisz, jest kompletnie łyсы!

— Ten albo żaden! — upierała się Matylda. — Rozważałam tę decyzję w czasie całego koncertu i teraz jestem całkowicie pewna. Jeśli mnie nie zechce, zabiję się!

— Jesteś szalona! Tak odpłacasz mi za wszystko, co dla ciebie uczyniłam? Zwariowałaś chyba, myśląc o poślubieniu starego organisty, któremu dawno stuknęła pięćdziesiątka! Czy ty wiesz, że on jest członkiem Instytutu? Do czego jesteś mu potrzebna?

— Będę jego żoną.

— Czy myślisz, że na ciebie właśnie czeka? Z pewnością ma żonę, dzieci, a nawet wnuki... Moja siostrzenica, Matylda de Raviroux-Luzensac, pragnie poślubić dziadka! A to nazwisko?! Przypuśćmy, że nie jest żonaty — w co mocno wątpię, a nawet gdyby tak rzeczywiście było, nie świadczyłoby to o nim najlepiej — i wyjdiesz za niego, czy mogłabyś nazywać się nagle panią Bardor? Stałabyś się pośmiewiskiem naszej sfery! Wszyscy twoi przodkowie przewróciłiby się w grobie!

Kiedy samochód zatrzymał się, lady Wandish sama otworzyła drzwi i jak burza wypadła z niego wrzeszcząc do Napoleona i Alphonse'a:

— Panna de Raviroux-Luzensac postradała zmysły!

Zawstydzona Matylda podążyła za nią, przechodząc obok szofera i kamerdynera wymieniających między sobą znaczące spojrzenia.

Kolacja przeszła w lodowatej atmosferze bez jednego słówka. Dopiero w saloniku, gdzie Alphonse podał lipową herbatkę, lady Wandish oznajmiła siostrzenicy:

— Oczywiście poinformowałam stryja o naszej rozmowie w samochodzie. Oboje jesteśmy skłonni przypisać to niemądre postanowienie zmęczeniu nadmiarem balów i przyjęć w ostatnich tygodniach. Potrzebujesz wypoczynku! Postanowiliśmy zatem przyspieszyć wyjazd do Neuchatel. Wyjedziemy jutro wieczornym pociągiem. Rano stryj zajmie się rezerwacją wagonu sypialnego. Honorine pojedzie z nami, a Napoleon autem i pojutrze do nas dołączy. Pobyt na świeżym powietrzu dobrze ci zrobi, a kontemplacja spokojnych wód jeziora uspokoi twój umysł. Dobrej nocy!

Czterdzieści osiem godzin później byli już w hotelu w Neuchatel, gdzie ciotka zadbała, by nikt nie wspominał Matyldzie o żadnym koncercie. Sądziła, że tym sposobem usunie z jej pamięci postać pana „grającego na organach obok grzejnika”. Nic z tego! Dziewczyna myślała tylko o nim. Widziała go we wszystkim, co ją otaczało.

Rankiem, spoglądając przez okno na jezioro otoczone górami, znajdowała na ich tle pochylony nad klawiaturą profil Jeana-Marie Bardora, niczym protret łysego, rzymskiego cesarza na gigantycznym medalu. Czowała jego obecność podczas popołudniowych spacerów wzdłuż jeziora w towarzystwie wujostwa. Oczami wyobraźni widziała go na jednej z ławek ustawionych wokół jeziora, widziała jego wzrok zatopiony w dali, wzrok pełen twórczego natchnienia, jakby w zakamarkach duszy komponował jakąś Toccate”. I wreszcie wieczorem, przed odejściem w sen o nim, znowu z okna pokoju widziała go siedzącego okrakiem na księżycowym rogalu. Mrugał wówczas do niej, uśmiechając się porozumiewawczo, jakby chciał powiedzieć: „Śpij dobrze, rudowłosa ślicznotko!”

Jean-Marie stał się jej obsesją: prawie nic nie jadła, źle sypiała, nic jej nie interesowało. Ani wycieczki, ani męczące przejażdżki łodzią po jeziorze, ani wyprawy samochodowe w poszukiwaniu uroków helweckiej wsi — wszystko z inicjatywy ciotki — nie zdołały wyrwać jej z wewnętrznej kontemplacji. Pięćdziesięcioletni meloman był jedynym w świecie człowiekiem, dla którego chciała żyć.

Jedyną przyjemnością pobytu w Neuchatel były samotne, poranne wyprawy nad jezioro. Przechodząc obok ławek, z których można było do woli podziwiać

imponującą panoramę, miała nadzieję zobaczyć tam Jeana- Marie. Jakież było więc jej poruszenie, kiedy pewnego dnia na trzeciej ławce dostrzegła łysego mężczyznę, który z tyłu do złudzenia przypominał organistę. Nie pierwszej już młodości pan miał również głowę pochyloną, tyle że nie nad klawiaturą, a nad książką... Matylda doznała szoku: nogi ugięły się pod nią, musiała podeprzeć się parasolką, a skoro to nie pomogło, nie miała innego wyjścia, jak usiąść obok zagrożonego w lekturze pana.

Przez dobrą chwilę z obu stron nie padło ani jedno słowo, ani jedno spojrzenie. Pannie z dobrego domu nie wypadało odezwać się do nieznanego. Mężczyzna wyglądał na starszego od organisty. „W porównaniu z nim «mój» Jean-Marie to jeszcze dzieciak” — pomyślała.

Prawdopodobnie ośmielony tą różnicą wieku mężczyzna pozwolił sobie odezwać się pierwszy.

— Jest tu pani na wakacjach, jak sędzę... — zaczął lekko drżącym głosem.

— Tak, proszę pana.

— Pozwoli pani, że się przedstawię: Achille Bugerner.

— Matylda de Raviroux-Luzensac.

— Miło mi!

— Mnie również.

To dziwne: z natury dzika i milcząca Matylda czuła nieprzepartą chęć kontynuowania rozmowy.

— Mieszkam w Neuchatel — mówił pan. — Jestem konserwatorem biblioteki miejskiej.—

— To interesujące! — powiedziała Matylda i zaraz pomyślała: „Konserwator biblioteki miejskiej to trochę jak członek Instytutu”.

— Nie ma nic interesującego w moim zawodzie, ale ja go lubię. Mam duszę bukinisty... A pani? Czy można wiedzieć, czym pani się zajmuje?

— Prawdę mówiąc: niczym... Mieszkam u wujostwa. Są dla mnie bardzo dobrzy. Teraz też jesteśmy razem... O tam, w hotelu, który stąd widać...

— Pierwszy raz jest pani w Neuchatel?

— Co roku spędzamy tutaj miesiąc. To rodzinna tradycja! Przyznam jednak, że nigdy nie byłam tu tak szczęśliwa jak tym razem...

— Doprawdy? Co jest powodem?

— To dlatego, że...

Urwała. Nie wypadało mówić, że jest zakochana.

— Czy lubi pani czytać? Jeśli tak, to zapraszam do biblioteki.

— Do biblioteki? Ciotka nie pozwoliłaby mi pójść. Samej wolno mi zaledwie pospacerować nad jeziorem, a i to pod warunkiem, że widać mnie z hotelu...

Matylda stawiała się coraz bardziej rozmowna.

— Możemy zatem spotykać się na tej ławce — zaproponował konserwator. — Przychodzę tu co rano, gdyż biblioteka otwarta jest tylko od drugiej do czwartej.

— Muszę już, niestety, wracać, inaczej ściągnę na siebie burzę. Miło mi było pana poznać.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Do zobaczenia wkrótce!

— Do jutra, mam nadzieję!

Odeszła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Nie po to, by uniknąć zainteresowania ciotki powodem długiego spaceru, a raczej, by ukryć ogarniającą ją radość... Chociaż sam bibliotekarz nie podobał się jej zbytnio, to jednak było w nim coś z Jeana-Marie. Przynajmniej tak jej się wydawało. Rozmawiając z Achillem Burgernerem, wyobrażała sobie, że ma przed sobą Jeana-Marie Bardora. Nazajutrz rano postanowiła znów wybrać się nad jezioro. Zatopiony w lekturze konserwator siedział już na swoim miejscu... I tak z każdym dniem pogłębiała się ich znajomość. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Miło było go słuchać i Matylda słuchała z przyjemnością. Po trzech tygodniach czuła się tak, jakby Jean-Marie stał się już częścią jej życia. Przede wszystkim zaś nie odczuwała samotności.

Poweselała nawet! Lady Wandish i jej małżonek szybko zauważyli zmianę jej nastroju, nie domyślali się jednak przyczyny.

— Co się dzieje? — zastanawiała się głośno ciotka.

— Sam zadaję sobie to pytanie — mówił stryj, któremu dobry humor Matyldy bardzo się podobał. — Może jest zakochana?

— Też coś! W kim?

— No... w organiście!

— Już dawno zapomniała. Nawet o nim nie wspomina.

Nie mogła przecież wiedzieć, że Matylda śni swój miłosny sen na jawie, widząc swojego ukochanego w osobie starego konserwatora. Całą duszą należała już do człowieka imieniem Jean-Marie, który bosko grał na organach, być może lubił dobrą książkę jak jego sobowtór z Neuchatel i miał taki sam głos. W jej rozgorączkowanym umyśle trzecia ławka stała się swego rodzaju ławką miłości...

Niestety, wkrótce miało stać się coś strasznego. Ciotka, coraz bardziej zaintrygowana niespodziewanym przyływem dobrego humoru siostrzenicy, postanowiła pewnego ranka śledzić ją podczas jej samotnej wycieczki nad jezioro. No i oczywiście wszystko się wydało. Wróciwszy z popołudniowej przejażdżki łodzią po jeziorze, lady Wandish spytała wprost:

— Kim jest ten człowiek, z którym co rano rozmawiasz na ławce?

— To bardzo zacny człowiek, ciociu: konserwator biblioteki miejskiej w Neuchatel.

— Czyż nigdy nie przestaniesz interesować się starymi dziadami?

— To nie jest stary dziad, ciociu, ale człowiek doświadczony.

— Odrażający stary dziad! — upierała się ciotka. — Jutro rano wyjeżdżamy do Hautefeuille! Po drodze nigdzie się nie zatrzymamy, a do Neuchatel nigdy już nie powrócimy.

Nie było to wielkim nieszczęściem, gdyż konserwator stanowił jedynie bladą kopię człowieka uosabiającego jej szczęście. Tymczasem oryginał zasiadał nie na ławce nad jeziorem, lecz przed organową klawiaturą w Paryżu: w Konserwatorium, w jakimś kościele, a może jeszcze w innym miejscu... I grał, grał nie zdając sobie sprawy z jej szalonej miłości. Przysięgła sobie jednak, że po powrocie do stolicy znajdzie sposób na spotkanie się z nim i da mu do zrozumienia, że nie może bez niego żyć.

Trzy miesiące w Hautefeuille były straszne! Miasteczko tak małe jak Saint-Servat nie posiadało biblioteki, nie miała więc żadnych szans, by znaleźć jakiegoś konserwatora. Nigdy nie lubiła tej posiadłości, gdzie kontradmirał, jej ojciec, zmarł wskutek upadku z konia, ale teraz po prostu jej nienawidziła. Z wielką radością przyjęła zapowiedź powrotu do Paryża w końcu października.

Po przyjeździe do stolicy niezwłocznie zainteresowała się rozkładem zajęć organisty. Na szczęście najczęstszym bywalcem obiadów i kolacji wydawanych przez lady i lorda Wandish był admirał Ducaze z Akademii Francuskiej. Ten stary kawaler bardzo lubił córkę zmarłego przyjaciela. Jego też wybrała na powiernika. Ciotka nie widziała nic niestosownego w tajemniczych rozmowach Matyldy ze starym marynarzem zajmującym się już wówczas pisaniem książek. Uważano go prawie za członka rodziny.

Pod koniec pierwszego po powrocie z letniska obiadu Matylda pociągnęła admirała w kąt saloniku.

- Admirale — zaczęła — w uznaniu pańskich zasług znalazł się pan w Akademii Francuskiej, czy zna pan członków Instytutu Francuskiego?
- Nie wszystkich, moja droga Matyldo, ale niektórych tak...
- Czy zna pan Jeana-Marie Bardora?
- Bardzo dobrze. To nie tylko wielki muzyk, ale też najsympatyczniejszy członek Instytutu.
- Kocham go...
- Jak to? Nawet go nie znasz!
- Widziałam go z daleka na koncercie...
- Z pewnością nie w Saint-Sulpice, gdzie trudno go nawet dostrzec z dołu: nie dość, że znajduje się tam wysoko, to na dodatek jest schowany za organami.
- Nie! Widziałam go w Konserwatorium pewnego niedzielnego popołudnia... Prawdę mówiąc, widziałam tylko profil, gdyż organy usytuowane są prostopadle do widowni. Ma piękny profil.
- Doprawdy? — zdziwił się admirał. — Nie zwracam uwagi na szczegóły, ale skoro tak mówisz, to musi tak być w istocie... I wywarł na tobie takie wrażenie?
- Tak — wyznała Matylda czerwieniąc się.
- Miło to słyszeć! Cieszę się, że są jeszcze młode damy zdolne docenić wielkiego artystę. Jean-Marie Bardor jest bez wątpienia jednym z najsławniejszych organistów naszych czasów. Mówi się, że wkrótce zostanie dożywotnim sekretarzem swego Instytutu.
- Dożywotnim sekretarzem? To chyba ważny tytuł.
- A przy tym dożywotni.
- Czy obieca mi pan, że ani ciotce, ani stryjowi nie powtórzy naszej rozmowy?
- Sekret pięknej dziewczyny sekretem dżentelmena. Słucham...
- Czy mógłby mi pan ułatwić, po kryjomu, spotkanie z Jeanem-Marie Bardorem?
- Po kryjomu? Dlaczego?
- Dlatego, że nikt prócz pana nie może o tym wiedzieć.
- Prosisz mnie o rzecz bardzo delikatną... Zdajesz sobie sprawę z tego, że jako osoba niepełnoletnia musisz mieć zgodę opiekunów na podobne spotkanie...

— Znam ich i wiem, że nigdy jej nie wyrażą. Wolałabym obejść się bez ich przyzwolenia.

— Przykro mi, Matyldo, ale nie mogę tego zrobić. W imię przyjaźni dla twojej rodziny i przez pamięć twojego ojca, drogiego Gontrana, nie mogę! Kiedy osiągniesz pełnoletność, wtedy możemy wrócić do naszej rozmowy. Teraz, niestety, muszę odmówić.

— Uważałam pana za wielkiego przyjaciela.

— Powiedz raczej: starego przyjaciela, gdyż przyjaźń łączyła mnie już z twoim ojcem... i nadal nim jestem.

— No dobrze! Skoro nikt nie chce mi pomóc, sama dam sobie radę. Jeszcze tylko jedno pytanie, admirale: czy Jean-Marie Bardor jest żonaty?

— O ile wiem, jest tak samo kawalerem jak ja.

— Oto pierwsza dobra wiadomość!

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam zamiar poprosić go, by został moim mężem.

— Mężem?... — wykrztusił admirał w osłupieniu. — Chyba nie mówisz tego poważnie! Gdyby ciotka o tym wiedziała...

— Ciotka już wie. Powiedziała jej o tym, gdy wracałyśmy z koncertu, na którym po raz pierwszy zobaczyłam Jeana-Marie.

— I co powiedziała?

— Że jestem szalona. Ale myli się: nie jestem szalona. Kocham Jeana-Marie i on pokocha mnie. Dopilnuję tego.

Tego dnia admirał Ducaze opuszczał pałac lady Wandish w stanie całkowitego oszołomienia.

Minęły dwa miesiące. Matyldzie wpadł w ręce artykuł — nie zdążono go w porę schować — z którego dowiedziała się, że Jean-Marie Bardor został mianowany dożywotnim sekretarzem Instytutu.

Jej wybrany stawał się kimś wyjątkowym. Przy najbliższym spotkaniu z admirałem wypytała go o korzyści płynące z tego stanowiska.

— Są różne — rzekł stary marynarz z lekkim zakłopotaniem — ale finansowo bez znaczenia. Jedyna korzyść, o jakiej warto w ogóle mówić, to prawo do zajmowania mieszkania funkcyjnego w budynku Instytutu.

— Co to znaczy: mieszkanie funkcyjne?

— To znaczy, że wolne jest od opłat podatkowych i czynszowych, a wszelkie usługi świadczy personel opłacany ze skarbu państwa.

— To bardzo interesujące! Zwłaszcza dla samotnego mężczyzny. A czy mógłby mieszkać tam razem z żoną, gdyby był żonaty?

— Oczywiście.

W ciągu następnych dni Matylda znów żyła swoimi marzeniami, aż wreszcie podjęła decyzję: skoro miłość nie przychodzi do niej, sama wyjdzie jej naprzeciw. Okoliczności były wyjątkowo sprzyjające: lady i lord Wandish bawili właśnie w Anglii. Wystrojona wyszła ze swej złotej klatki, wsiadła do taksówki i kazała się wieźć przed Instytut Francuski. Odważnie zadzwoniła do drzwi na parterze i czekała. Długo trwało, zanim drzwi się uchyliły i wyjrzała z nich kanciasta postać groźnej megieri w grubych szklach na nosie zdradzających bardzo słaby wzrok. Jej włosy nieokreślonego koloru zwinięte były na czubku głowy w kokczek, który zapewne nie wyszedł spod ręki mistrza fryzjerskiego.

— O co chodzi? — spytała grubym głosem.

— Przychodzę do pana Jeana-Marie Bardora — powiedziała Matylda swoim cienkim głosem.

— Jest pani umówiona?

— Nie, ale jestem pewna, że mnie przyjmie. Proszę zaanonsować mu pannę Matyldę de Raviroux-Luzensac. Przychodzę z polecenia admirała Ducaze'a.

Na dźwięk tak znamienitego nazwiska ziemista twarz kobiety z kokiem nabrała przyjemniejszego wyrazu.

— Proszę zaczekać... Zobaczę, czy maestro może panią przyjąć.

Tym razem nie czekała długo. Po chwili drzwi otworzyły się szeroko i Matylda weszła za służącą do ciemnego przedpokoju, by wkrótce stanąć w niewielkim, skromnym saloniku, urządzonego z wielkim smakiem przez dekoratora.

— Maestro zaraz przyjdzie — rzekła megiera na odchodnym.

Matylda została sama. Usiadła sztywno na brzeżku fotela w stylu Ludwika XV i, drżąc z emocji, wpatrywała się w drzwi, którymi miał wejść „on”. Podczas tych kilku chwil oczekiwania zdała sobie sprawę z rozmiarów odwagi, jaką wykazała, przybywając z prawego brzegu Sekwany na lewy, który знаła bardzo słabo, i pukając do drzwi garsoniery samotnego mężczyzny... Kim była ta straszna kreatura w drzwiach? Jeśli miała reprezentować personel przydzielony przez rząd do dyspozycji dożywotniego sekretarza, to nie świadczyło to najlepiej o rządzie. Jeanowi-Marie przydałby się raczej kamerdyner pokroju Alphonse'a. Gdy tylko Matylda zostanie jego żoną, zajmie się wyszukaniem nowego Alphonse'a, chyba że stryj i ciotka umrą do tego czasu, a wtedy prawdziwy Alphonse, jak również Honorine, a nawet szofer byłiby do jej dyspozycji, co zresztą najbardziej by jej

odpowiadało... Tylko że życzenie komuś śmierci jest ciężkim grzechem — Matylda pamiętała to z lekcji religii.

Drzwi się wreszcie otwarły i stanął w nich „on”... Jak przystało na dobrze wychowaną pannę, Matylda podniosła się z fotela na znak szacunku dla starszej osoby i na moment zamarła sparaliżowana nagłym przyływem nieśmiałości wobec tego, który był dla niej uosobieniem miłości. Stał przed nią korpulentny, łysawy pan z wianuszkami siwych loczków, przypominający raczej profesora Nimbusa niż organistę. Oczy błyszczały mu szelmowsko, zalotnie. Nie miał wąsów, ale w zagłębieniu między dolną wargą a wzniesieniem brody widać było maleńki szczegół, który zafascynował Matyldę od pierwszej chwili, od koncertu w Konserwatorium... Prawie nic, a jednak coś tak czarującego jak pieprzyk na policzku pięknej kobiety: maleńki zarost, maleńka kępka siwych włosów stanowiąca o całej oryginalności twarzy, daleka jednak od wyrazu agresywności, jaki miały wystrzępione końcówki wąsów Napoleona Duchampa. Ileż razy, na przestrzeni ostatnich miesięcy, widziała tę bródkę w swoich snach! Mając ją teraz przed sobą, wzruszona dziewczyna walczyła z szaloną ochotą dotknięcia jej, pogłaskania, a nawet pocałowania. Umiała jednak zachować się z godnością. Harmonię ciszy przerwał „on”, zapytawszy ze słodyczą w głosie, jaką tylko muzyk mógł być obdarzony:

— Pragnęła pani mnie widzieć...

— Tak.

— Zna pani admirała?

— Znam. To wielki przyjaciel stryja i mojej ciotki, lorda i lady Wandish, o których pan z pewnością słyszał.

— Być może... Ale wie pani, światowe życie i ja...

— Wiem, wiem! Z pewnością obowiązki dożywotniego sekretarza i organisty w Saint-Sulpice nie zostawiają panu zbyt wiele wolnego czasu.

— W Saint-Sulpice nie bywam na wszystkich uroczystościach. Rezerwuję czas tylko na szczególnie uroczyste śluby lub pogrzeby wielkich sław... także na pasterkę i na sumę w niedzielę wielkanocną. W pozostałych przypadkach — nazywamy to „usługami bieżącymi” — odstępuję organy mojemu zastępcy. To jeden z moich uczniów: świetny organista. Muszę przecież mieć czas na komponowanie.

— Dużo pan komponuje?

— Ile tylko mogę, proszę pani.

— Często miewa pan natchnienie?

— Z tym bywa różnie. Są dni, gdy je czuję, kiedy indziej — nie. Teraz na przykład co rano, przed śniadaniem, pracuję nad nowym utworem, który nie daje mi pełnej satysfakcji, ale ufam, że nie będzie gorszy od innych.

— Nowa „Toccata”?

— Nie. Jedna wystarczy. To fuga.

— Ogromnie się cieszę, że mogę z panem rozmawiać. Gdyby moi opiekunowie wiedzieli, że tutaj jestem...

— Pani opiekunowie?

— Jestem sierotą. Lord i lady Wandish, jako najbliższa rodzina, przygarnęli mnie, gdy miałam trzy lata. Mój ojciec był kontradmirałem i wielkim przyjacielem admirała Ducaze'a.

— Rozumiem. Czy admirał wie, że pani tu przysłała?

— Nie. Skłamałam pani, która mi otworzyła, że przychodzę z jego polecenia...

— To niedobrze! Na szczęście skłamała pani tylko mojej sekretarce, więc jest to grzech wybaczalny.

— To pańska sekretarka? Pomyślałam, że...

— Że nie sprawia miłego wrażenia? To prawda, ale panna Lebaudet — tak właśnie brzmi jej nazwisko — jest osobą bardzo oddaną. Od lat pracuje w Instytucie i oddaje nam ogromne przysługi.

— Całe szczęście!...

— Co?

— Że... jest tylko pańską sekretarką.

Zdziwiony taką odpowiedzią przyjrzał się jej baczniej.

— Czy zechciałaby pani przypomnieć mi swoje nazwisko? Lebaudet nie bardzo umiała powtórzyć...

— Matylda de Raviroux-Luzensac.

— Nosi pani nazwisko znakomitego francuskiego rodu!

— Jestem ostatnią z tej linii. Na mnie kończy się to nazwisko. Moje dzieci będą już nosić inne.

— Może pani przecież zwrócić się do Rady Państwa z prośbą o przyznanie pani mężowi prawa do przyjęcia nazwiska de Raviroux-Luzensac. W ten sposób zostanie ono zachowane dla potomnych. Szkoda byłoby, gdyby uległo zatracie.

Zawsze uważałem obowiązujące u nas prawo salickie za godne pożałowania. Dlaczego tytuły i nazwiska mają być przekazywane tylko przez mężczyzn? O wiele lepiej jest pod tym względem w Anglii, Niderlandach czy krajach nordyckich. Czy wolno spytać o pani wiek?

— Mam dwadzieścia lat, ale mimo że nie jestem jeszcze dość dorosła, myślę jednak o małżeństwie.

— Małżeństwo to poważna sprawa.

— O, tak!

Potwierdzenie, wypowiedziane z takim zapałem, znowu wzbudziło zdziwienie dożywotniego sekretarza.

— Czy mogę poznać cel pani wizyty? — spytał, pragnąc ją wreszcie zakończyć.

— Właśnie małżeństwo...

— Nie rozumiem.

— Moja matka chrzestna zawsze zarzucała mi zbyt dużą bezpośredniość. Uważa, że szczerłość bywa czasem poczytywana za brak wychowania. Ja jednak jestem innego zdania i dlatego chcę z panem szczerze porozmawiać. Otóż przychodzę pana spytać, czy nie zechciałby pan zostać moim mężem. Wiem już, że nie jest pan żonaty.

Pytanie sprawiło Jeana-Marie Bardora w niewypowiedziane osłupienie.

— Pani... pani mężem? — wydusił wreszcie. — Nie mówi pani tego poważnie!

— Od wielu miesięcy nie myślę o niczym innym! Dokładnie od dnia, w którym ujrzałam pana po raz pierwszy. To było w niedzielę, 23 czerwca, podczas koncertu w Konserwatorium. Tego samego dnia powiedziałam ciotce, że poślubię tylko pana, a jeśli pan mnie nie zechce — zabiję się.

— Spokojnie... Nie trzeba od razu uciekać się do ostateczności! Prawdę mówiąc, mademoiselle, nie sądzę, żebyśmy byli dla siebie stworzeni. Tyle nas dzieli: wiek, nazwiska, pozycja społeczna...

— Przeciwnie: wszystko nas zbliża! Przede wszystkim wiek nie ma znaczenia, gdy w grę wchodzi miłość, a ja pana kocham... Nazwiska? Pan jest wielkim Jeanem-Marie Bardorem, a ja tylko Matyldą de Raviroux- Luzensac. Z przyjemnością zostanę panią Bardor. Sytuacja rodzinna? Jestem sierotą i sądzę, że pan także.

— W moim wieku to raczej normalne.

— A więc? Nie sądzę, by pan jako artysta był bardzo bogaty. Nie dbam o to! Mam dość pieniędzy na nas dwoje! Za rok, kiedy osiągnę pełnoletność, odziedziczę ogromną fortunę, którą będę mogła rozporządzać według własnego uznania. Nie znaczy to, że chcę pana kupić! Jako pańska żona będę jednak miała obowiązek stworzyć panu lepsze życie. Dzięki mnie poświęci się pan wyłącznie sztuce i komponowaniu, nie martwiąc się o przyszłość.

— Ależ ja się nie martwię! Kiedy przyjdzie czas na ustąpienie stanowiska następcy — czego nie spodziewam się zbyt szybko, gdyż w środowisku akademickim utarł się zwyczaj pracowania do ostatnich sił — przysługiwać mi będzie godziwa emerytura.

— Jako pańska żona nigdy na to nie pozwolę!... Emerytura! Już samo słowo postarza i budzi odrazę! Dla mnie będzie pan wiecznie młody i do końca życia będę z pana dumna! A może to pan mnie pochowa? Kto może wiedzieć?

— Mademoiselle! Proszę nie mówić podobnych rzeczy...

— Nie powiem już ani słowa więcej! Ze swej strony wyczerpałam temat. Proszę mi tylko powiedzieć, czy przyjmuje pan moją propozycję.

— Ależ...

— Rozumiem, że potrzebuje pan czasu do namysłu, zwłaszcza po tak długim życiu w samotności. Mam nadzieję, że nie jest pan przeciwny instytucji małżeństwa?

— Oczywiście, że nie, ale znalezienie żony dla organisty i kompozytora nie jest rzeczą łatwą. Trzeba, żeby ta osoba lubiła muzykę.

— Lubię ją od chwili, kiedy pana zobaczyłam. Nie musi się pan więc obawiać. Czekam zatem na pańską odpowiedź.

Zapadła cisza. Mimo wzruszenia, jakie musiała wywołać tak niespodziewana propozycja ze strony rudowłosej dwudziestolatki, dożywotni sekretarz był wyraźnie zakłopotany. Po chwili odezwał się łagodnie:

— Proszę mi wierzyć, że bardzo pochlebia mi powód, dla którego fatygowała się pani tutaj, ale jak sama pani raczyła zauważyć, muszę się zastanowić... Zresztą pani chyba też... Jest pani jeszcze bardzo młoda. Młodość jest cudowna, ale trzeba strzec się przed jej porywami. Zrozumie to pani później, kiedy osiągnie już pewną dojrzałość, której nabiera się z wiekiem i najczęściej, niestety, w rezultacie rozczarowań.

— Największym i najstraszniejszym rozczarowaniem byłaby dla mnie pańska odmowa. Tymczasem żegnaj panu, ale proszę mi wierzyć, że bez względu na to, jak długo będzie się pan zastanawiał, jestem gotowa czekać cierpliwie.

Nawet całe lata, jeśli będzie trzeba. Będę żyć nadzieją tak długo, dopóki nie otrzymam pańskiej absolutnej odmowy. Do widzenia, maestro!

— Błagam panią, proszę mnie tak nie nazywać! To bardzo postarza! Proszę zostawić to pannie Lebaudet, która zdaje się znajdować swoistą przyjemność w zwracaniu się w ten sposób do mnie i moich kolegów. W Instytucie jest nas tak wielu, że biedaczka nie przestaje wymawiać słowa „maestro” przez cały dzień.

— Nie mogę przecież od razu mówić do pana Jean-Marie, choć bardzo bym chciała. Pan natomiast może zwracać się do mnie „Matyldo”, jak od dawna czyni to admirał Ducaze.

— Admirał był przyjacielem pani ojca i nadal zaprzyjaźniony jest z pani rodziną. Z pewnością traktuje panią jak córkę, podczas gdy ja...

— Czułby się pan niezręcznie? Przecież zostanę pańską żoną! Jak więc mam się do pana zwracać?

— Monsieur.

— A jak mnie będzie pan nazywał?

— Mademoiselle. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

— O to jestem spokojna. Mogę to nawet panu obiecać.

Delikatnie uścisnęła jej dłoń, podczas gdy ona walczyła z pragnieniem pocałowania go. Kiedy tylko zamknęły się drzwi, Jean-Marie Bardor zawołał:

— Panno Lebaudet!

— Słucham, maestro! — rzekła wyłaniając się natychmiast z mroku przedpokoju.

— Proszę przynieść do mojego gabinetu karafkę porto i kieliszek.

— Nie czuje się pan dobrze, maestro?

— Prawdę mówiąc, sam nie wiem, w jakim jestem stanie ducha. Zdarzyło mi się coś bardzo dziwnego...

Mijały miesiące. Matylda wróciła do swojej normalnej egzystencji, ale wszystko wydawało się jej coraz bardziej pozbawione sensu: zarówno herbatki wydawane przez lady Wandish, jak też obiady i kolacje w towarzystwie admirała Ducaze'a czy innych osobistości, a nade wszystko bale, na które pozwalała się zabierać z coraz mniejszym entuzjazmem. Trwało to aż do upragnionego przez nią dnia, w którym osiągnęła pełnoletność. Tego dnia zakomunikowała osłupiałym opiekunom:

— Teraz mam już prawo rozporządzać sobą według własnej woli! Nie jestem już uzależniona ani od was, ani od nikogo innego. Nie umniejsza to wcale mojej miłości do was i wdzięczności za wychowanie. Nadal pragnę pozostać w

tym domu, gdzie czuję się bezpiecznie, ale stawiam dwa warunki: po pierwsze, moja noga nigdy już nie postanie na żadnym balu, gdzie bez końca przedstawia mi się kolejnych łowców posagów, a po drugie, na najbliższy obiad lub kolację zaprosimy Jeana-Marie Bardora. Pragnę, żebyście go poznali. To bardzo wytworny pan!

— Widziałaś go już?

— Tak.

— I... rozmawiałaś z nim?

— W jego mieszkaniu odbyliśmy krótką rozmowę w cztery oczy.

— Rozmowę w jego mieszkaniu? — powtórzyła ciotka. — Ależ to skandal!

— Nic na to nie poradzę. Jean-Marie Bardor zachował się bardzo taktownie.

— Tego tylko brakowało! I co sobie powiedzieliście?

— Mówiłam ja, a on mnie słuchał. Wyznałam mu, że go kocham.

— Tak po prostu?

— Tak, ciociu.—

— I co ci odpowiedział?

— Że się zastanowi... A to już świadczy o tym, że łowcą posagów nie jest.

— Z powodu Matyldy będzie się nas niedługo wytykać palcami — rzekła ciotka zwracając się do męża. — Ciekawe, co ten dożywotni sekretarz pomyśli sobie o wychowaniu, jakie daliśmy naszej przybranej córce? **Prosić** mężczyznę o rękę!!! Co ci strzeliło do głowy? A więc my też musimy się zastanowić, Matyldo!

Owo zastanawianie się przybrało charakter narady rodzinnej, w której oprócz lordostwa Wandish uczestniczył także admirał Ducaze i wezwany na prędcę ksiądz Vidis. Odbyła się ona pewnego popołudnia, kiedy Matylda wyszła na zakupy.

Poinformowawszy admirała i księdza o drugim warunku siostrzenicy, lady Wandish zapytała:

— Oto w jakiej sytuacji jesteśmy postawieni przez jej upór! Co robić?

— Zaprosić pana Jeana-Marie Bardora na obiad — rzekł ksiądz bez wahania.

— Podzielam to zdanie — odezwał się admirał, — Prawdę mówiąc, życzenie Matyldy nie jest dla mnie wielkim zaskoczeniem, kiedyś napomknęła mi już o swoich uczuciach względem pana Bardora.

— A księdzu?

— Mnie również. Oczywiście zaleciłem jej cierpliwość. Nie była wówczas pełnoletnia.

— Teraz, niestety, już jest! Widzę, że wszystkim prócz nas opowiadała o tym mężczyźnie, a my myśleliśmy, że o nim zapomniała.

— Osoba tak romantyczna jak pani siostrzenica — znów głos zabrał wika-riusz — niełatwo wymazuje z pamięci obraz ukochanej istoty. Nie zapominajmy też, że miłość jest wielką tajemnicą, a tajemnice nie mają wytłumaczenia.

— Czy ksiądz z nas kpi? Czy jako jej spowiednik odnosi ksiądz wrażenie, że jest naprawdę zakochana?

— Bez wątpienia, madame!

— A co pan o tym myśli, admirale?

— Ksiądz ma rację...

— Jamesa o zdanie nie pytam, bo on go nigdy nie ma albo zgadza się ze mną. Załóżmy więc, że zaprosimy tego pana... i co mu powiemy?

— Przede wszystkim ani słowa o uczuciach, jakie żywi do niego Matylda! — poradził ksiądz. — Za wcześnie o tym mówić, a poza tym mogłoby ją to zranić. Mogłaby odebrać to jako wtrącanie się do jej spraw sercowych. Jako długoletni spowiednik wiem, jak wrażliwe jest serce młodej dziewczyny. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli podczas pierwszej wizyty poruszy się tematy ze wszechmiar neutralne. Nie powinno ich zabraknąć. W końcu to nie byle kto...

— I nie brak mu poczucia humoru! — dodał admirał. — To dusza towarzystwa!

— Piędziesięcioletnia dusza towarzystwa! — uściśliła lady Wandish.

— W tym względzie wiek nie odgrywa roli — wtrącił się wreszcie lord.

— A więc ty jesteś wyjątkiem, mój drogi — odcięła się lady. — Czy wyobrażasz sobie: mężczyzna trzy lata starszy od ciebie będzie nazywał cię stryjem, gdy dojdzie do tego nieszczęsnego małżeństwa?

— Jeśli od tego ma zależeć szczęście Matyldy, przeżyję to!

— Oto mądra odpowiedź! — pochwalił ksiądz.

— No, dobrze! — ucięła lady Wandish. — Ponieważ wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko poddać się. Zaprosimy więc tego pana na obiad, ale pod jakim pretekstem?

— Sam się tym zajmę! — zaofiarował się admirał. — Jean-Marie Bardor jest jednym z moich dobrych przyjaciół. Mogę wam zdradzić, że podobnie jak Mozart, Rossini i wielu innych wielkich muzyków, Bardor lubi dobre jedzenie. Powiem mu, że pani kuchnia należy do najlepszych w Paryżu, co zresztą jest

szczerą prawdą. Nie oprze się. Przyjdzie na pewno! A gdyby jeszcze zechciała pani podać na deser gruszki Bourdaloue, całkowicie podbiłaby pani jego serce!

— Podbijać jego serce? To Matylda raczej powinna się o to postarać. Czy sądzi pan, że to w ogóle możliwe?

— Przyznam — rzekł admirał — że to zatwardziały stary kawaler...

— Inaczej mówiąc: nie widzi pan wielkich szans... My też nie.

Dwa tygodnie później doszło do zaplanowanego obiadu. Oczywiście nie zabrakło też admirała i wikariusza. Matylda promieniała, uznając to za początek swojego triumfu. Chrzestna matka zagrała rolę miłej pani domu oraz wielkiej znawczynie muzyki. W pewnym momencie pannę de Raviroux-Luzensac ogarnęła nawet lekka zazdrość. Otóż Jean-Marie, którego uważała już za swoją własność, podczas całego obiadu zdawał się być całkowicie zajęty osobą lady Wandish. Ta nieprzyjemna dla niej sytuacja zaowocowała myślą, że po ślubie jej największą rywalką stanie się prawdopodobnie ciotka Wandish. Lord, jak zwykle, nie odzywał się zbyt wiele.

Obiad zakończył się deserem: gruszki Bourdaloue, kawa i likiery. Po wyjściu gości Matylda zapytała:

— I co o nim myślicie?

— Mogło być gorzej — odparła lady Wandish.

— Ja osobiście uważam go za bardzo zanego człowieka — poprawił ją lord Wandish.

— Nie podoba mi się jego bródka, ale poza tym nie wygląda źle... z wyjątkiem tej łysiny...

— Łysina jest oznaką mądrości — przerwała Matylda. — A bródkę bardzo lubię. Czy zauważyliście jego elegancję? Ten fantazyjny krawat w groszki, czarna marynarka, spodnie z nankinu, stosowne buty... Lubię zadbanych mężczyzn. A jego ręce! Widzieliście jego ręce? Jakie delikatne! Jego palce są stworzone do kontaktu z klawiaturą! Kiedy się pobierzemy, każę wyrzeźbić te ręce! W ten sposób pozostaną ze mną na zawsze!

— Już myślisz o wdowieństwie?

— Czyż śmierć nie czeka nas wszystkich? Ja przynajmniej będę wdową po sławnym człowieku.

— Na razie zostaw te dywagacje i przebierz się! Jesteśmy zaproszone na herbatę do wicehrabiny de Saint-Yorre i do pani Gastonowej Menier. Jesteś wprawdzie dorosła i zakochana, ale to jeszcze nie powód, by lekceważyć zaproszenia.

— Nie cierpię tych opychających się ciastkami dam! Przysięgam, że kiedy wyjdę za mąż, żadna mnie już nie zobaczy.

— Zrobisz, jak zechcesz, ale ponieważ jeszcze nie jesteś mężatką, bądź uprzejma zrobić to, o co proszę. Małżeństwo!... Tylko to jej w głowie! Pragnę ci jednak przypomnieć, że dożywotni sekretarz nie wystąpił jeszcze z żadnymi oświadczeniami...

— Jesteś bardzo złośliwa, ciociu! — zawołała Matylda wybuchając płaczem, po czym pobiegła do swojego pokoju.

— Sprawiasz jej ból, moja droga! — zauważył lord Wandish.

— Ból? A czy ona sama nie zadała nam bólu, zmuszając nas do wyrażenia zgody na ten groteskowy związek? Ale to nie pójdzie tak łatwo!

Przez kilka lat sprawy układały się dokładnie tak, jak tego życzyła sobie lady Wandish. Pozornie wszystko było na najlepszej drodze: dwa razy w miesiącu Jean-Marie Bardor bywał w pałacu na obiedzie zakończonym gruszkami Bourdaloue, ale odbywało się to zawsze w towarzystwie admirała i księdza Vidisa. O małym tête-à-tête między coraz bardziej zakochaną Matyldą i zachowującym się z rezerwą Bardorem nie było mowy. Rozczarowana i zniecierpliwiona Matylda mogła jedynie zwierzać się ze swoich cierpień admirałowi lub spowiednikowi. Świątobliwy mąż był jednak dokładnie poinstruowany przez lady Wandish o tym, co wolno, a czego nie wolno mu mówić.

— Przede wszystkim — powtarzała za każdym razem, kiedy składała niebagatelna sumę na potrzeby kościoła — proszę namawiać ją do cierpliwości i rozważności... Niech ksiądz jej wytłumaczy, że dałaby dowód wielkiej niewdzięczności, opuszczając nas nagle, by zamknąć się ze swym łysym rycerzem w jego skromnym mieszkanku. Nie mówiąc jej wprost, że grzechem jest oddanie się mężczyźnie, który mógłby być jej ojcem, proszę jednak dać jej do zrozumienia, iż są to rzeczy, jakich nie należy robić. Myślę, że ksiądz sobie poradzi. Liczę na jego mądrość. To małżeństwo nie może dojść do skutku!

— Ależ, madame! — protestował ksiądz. — Sam Stworzyciel zabrania nam przeciwstawiać się prawom natury...

— Prawa natury! Czy w świetle owych praw natury możliwe jest zakochanie się w podobnym człowieku?

Z drugiej zaś strony sam Jean-Marie Bardor nie wykazywał najmniejszego zainteresowania ożenkiem. Czas płynął, a on się nie oświadczał. Doprowadzało

to Matyldę do wściekłości. W czasie napadów szału tłukła wszystko w swoim pokoju.

— Skończy się na tym, że stanie się histeryczką i trzeba ją będzie zamknąć w jakimś zakładzie! — mówił lord.

— Stokroć wolałabym to, niż widzieć ją w małżeństwie z tym kuglarzem — odpowiadała lady.

— Pan Bardor nie jest kuglarzem, moja droga! — A pamiętasz, co powiedziała za pierwszym razem, kiedy o nim wspomniała?, Jeśli mnie nie zechce, zabiję się!" To się może źle skończyć! Czy chcesz brać na siebie taką odpowiedzialność? Kiedyś sam ksiądz Wis mówił o tym...

— Co on może wiedzieć o małżeństwie?!

— Także admirał...

— Niech się lepiej zajmuje swoimi żaglowcami.

Atmosfera rodzinna stała się nie do wytrzymania. Poprawy nie przyniosło nawet wspaniałe lato w Hautefeuille (Neuchatel wykreślono definitywnie z programu letnich rozrywek). Lady Wandish była ciągle nieugięta, a lord Wandish coraz bardziej przygnębiony.

I tak minęło osiemnaście lat, podczas których Matylda zadrezczała się i usychała z tęsknoty. Stawała się coraz mniej pociągająca, jeśli założyć, że kiedykolwiek taka była. A Jean-Marie Bardor? Cóż, starzał się. Skoro Matyldzie szedł czterdziesty rok życia, jemu stuknęła już siedemdziesiątka. I ciągle trudno było przewidzieć finał tego nieznośnego oczekiwania. Wszyscy mieli już tego dosyć, nie wyłączając admirała, księdza Vidisa, Alphonse'a, Honorine i Napoleona, którzy także się starzeli. Wtedy właśnie doszło do niespodziewanego wydarzenia, które mogło skończyć się tragicznie.

Pewnego dnia, późnym popołudniem, Matylda wpadła do domu z potarganym włosom i słomkowym kapeluszem w rękę. Potrącając portiera i Alphonse'a biegła na górę krzycząc:

— Zabiję ją! Zabiję ją!

— Zabić? Kogo? — zastanawiał się lord Wandish, który, słysząc wrzaski, wyszedł z biblioteki.

—Ją!

— Kogo? Ciotkę?

— Jeszcze nie! Zabiję tę drugą!

— Jaką drugą?

— Kobieta, którą zastałam u niego w negliżu...

— U kogo?

— U Jeana-Marie!

Wyczerpana osunęła się na fotel i z chaotycznej relacji wyłoniła się sceną niczym z powieści.

Nie mogąc dłużej znieść wahania Jeana-Marie Bardora, Matylda podjęła szaloną decyzję złożenia mu wizyty w jego mieszkaniu celem otrzymania ostatecznej odpowiedzi. Obawiając się najgorszego, postanowiła ukraść rewolwer, który stryj, jak każdy dżentelmen odpowiedzialny za bezpieczeństwo swojego domu, trzymał w szufladzie. Był nabity. Ukryła go w torebce i taksówką ruszyła na lewe nabrzeże. Dokładnie o trzeciej zadzwoniła do mieszkania funkcyjnego. Czekała jeszcze dłużej niż za pierwszym razem... Wreszcie usłyszała czyjeś kroki i zza drzwi dał się słyszeć zatrwożony głos ukochanego:

— Kto tam?

— To ja, Matylda de Raviroux-Luzensac.

Drzwi uchyliły się, ukazując bladą fizjonomię dożywotniego sekretarza. Ubrany był w kanarkową podomkę i pantofle z pomponami.

— Pani? O tej porze? Czego pani sobie życzy?

— To bardzo odpowiednia pora! Czego sobie życzę?

Z ręką zaciśniętą na rewolwerze w głębi torebki rzekła:

— ... Otrzymać jasną odpowiedź: chce mnie pan poślubić, czy nie?

Zanim jednak zapytany zdążył odpowiedzieć, z wnętrza mieszkania odezwał się damski głos, dochodzący najprawdopodobniej z sypialni:

— Co się dzieje, kochanie?

Krew zastygła w żyłach Matyldy. Czyżby był to głos okropnej panny Lebaudet? W jej pamięci brzmiał dużo grubiej. Wkrótce jednak w przedpokoju pojawiła się osoba, która bez wątplenia nie była sekretarką. Oczom Matyldy ukazała się kobieta w pełnym rozkwicie swojej kobiecości, nieco zbyt obfita w kształtach, z długimi blond włosami o nieco nienaturalnym odcieniu, uczernionych brwiach, mocno podkreślonych oczach... Pani stanęła w bezwstydnym dezabilu niczym wyzywający żywy posąg. Widok rozpałił wściekłość Matyldy, sięgnęła po rewolwer i zaczęła strzelać — nie licząc nawet ile razy — w szatańską kreaturę, która ośmieliła się wejść w życie jej Jeana-Marie. Na szczęście, wskutek braku doświadczenia z bronią palną, strzały były niecelne: pierwsza kula utkwiała w stojaku na parasole, który zwyczajem tego rodzaju przedmiotów stał w przedpokoju, druga trafiła w sufit, a trzecia stłukła szybę w portrecie jakiejś nobliwej

nieznajomej, który dekorował ścianę. Prawdziwy cel, rozneglizowana dama, pozostał nietknięty. Dożywotni sekretarz wykazał się w tym momencie wielką odwagą, decydując się na rozbicie rozjuszonego gościa. Niedoświadczona ofiara zdjeta strachem rzuciła się w stronę sypialni i zamknęła drzwi na klucz. W przedpokoju została tylko Matylda, sam na sam z panem domu w szlafroku.

— Kim jest ta kobieta? — spytała.

— To wielka artystka Opery Komicznej, panna Nelly Morval, odtwórczyni mojego nowego utworu lirycznego. Przybyła specjalnie na próbę.

— W dezabilu? Za kogo mnie pan uważa, panie dożywotni sekretarzu?

— Za czarującą, lecz nieco egzaltowaną pannę.

— Pannę? No tak, to prawda, ale to pana wina, że stan ten trwa o kilka lat za długo! Ja pana kocham!

Odpowiedź nastąpiła po krótkiej chwili wzajemnego mierzenia się wzrokiem, ale wcale nie była taka, jaką Matylda miała nadzieję usłyszeć:

— Najlepiej będzie, jeśli pani stąd natychmiast pójdzie! To nie miejsce dla panny de Raviroux-Luzensac. Myślę, że lord i lady Wandish podzieliliby moje zdanie.

— Czy nadal będzie pan spotykać się z tą kobietą i przyjmować ją tutaj?

— Pani wybaczy, mademoiselle, ale to niedyskretne pytanie zmusza mnie do przypomnienia pani, że nie mam żadnych zobowiązań wobec niej i mogę przyjmować, kogo tylko uważam za stosowne.

I wskazał jej drzwi. Matylda zbladła. Była absolutnie przekonana o swoich prawach do Jeana-Marie. Wszak tylko o nim marzyła przez dziewiętnaście ostatnich lat. Te marzenia, które były osłodą tylu długich lat, nie mogły przepaść w ciągu kilku minut! Czowała jednak, że wbrew wszelkiej logice tak się właśnie stało.

Wysłuchawszy jej oszłamiającego opowiadania, stryj Wandish rzekł:

— Masz szczęście, że ciotka tego nie słyszała, a ja jej nie powiem. Nigdy nie wybaczyłaby ci tego. Teraz, zwierzywszy się staremu stryjowi, poczułaś chyba ulgę: wspólnie spróbujemy nieść ciężar twojego cierpienia. Skoro już uspokoiłaś się nieco, idź do swojego pokoju, jak robiła to zawsze moja mała Matylda, a ja się zastanowię. Nie ukrywam, że ta historia może mieć przykre następstwa. Wyobraź sobie, co by było, gdyby pan Jean-Marie Bardor wniósł skargę o zakłócanie spokoju w jego domu? Ta śpiewaczka może cię natomiast oskarżyć o usiłowanie zabójstwa w obecności świadka. I to jakiego świadka! Dożywotniego sekretarza Instytutu! Konsekwencje mogłyby być straszne! A gdybyś została aresz-

towana? Wyobrażasz sobie ten skandal? Dopuściłaś się strasznego czynu, moje dziecko! Idź już, muszę się poważnie zastanowić.

Nie zastanawiał się jednak długo. Zamknąwszy się na powrót w bibliotecę, natychmiast zadzwonił do jedynej osoby zdolnej, jego zdaniem, załagodzić całą sprawę. Osobą tą był oczywiście admirał Ducaze, który przybył w niespełna pół godziny.

— Od dawna przeczuwałem — oświadczył wysłuchawszy opowieści lorda — że to okropne oczekiwanie musi się źle skończyć! Nie można bezkarnie wystawiać prawdziwej miłości na nie kończącą się próbę. Trzeba, żeby lady Wandish zrozumiała to wreszcie!... A teraz pędzę do Instytutu zobaczyć, co da się zrobić w tej sprawie. Proszę czekać na mnie i nic nie robić. To może potrwać kilka godzin lub kilka dni. Czuję, że przy całym swoim łagodnym usposobieniu, mój znamienity przyjaciel musi być bardzo rozgniewany. Oczywiście nie ma mowy o najmniejszej aluzji do tego nieszczęsnego zdarzenia w obecności pańskiej małżonki. Najlepiej byłoby, gdyby Matylda nie wychodziła ze swego pokoju pod pretekstem grypy.

O ile wiem, lady Wandish niczego nie boi się tak bardzo, jak tej choroby, od której puchną oczy i brzydnie twarz. Jest zatem pewne, że będzie unikać kontaktu z Matyldą, a ja tymczasem zajmę się tą sprawą. Już mnie nie ma! Do rychłego zobaczenia, drogi przyjacielu!

Wrócił następnego dnia około piątej po południu. Alphonse wprowadził go dyskretnie do biblioteki. Czekać na tę wizytę, biedny stryj przeżywał prawdziwe katusze. Cały wieczór, noc i rano nie przestawał powtarzać: „Mój Boże, cóż może wskórać admirał, nawet jeśli ma doświadczenie w wychodzeniu z opresji?”

Admirał wszedł — o cudzie! — z uśmiechem na ustach.

— Wszystko załatwione! — powiedział. — Koniec koszmaru naszej Matyldy.

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— Najpierw oddam panu to...

Był to rewolwer.

— Oczywiście w magazynku brakuje trzech kul — dodał — chociaż mogło brakować więcej. Pozwolę sobie poradzić panu, żeby w przyszłości nie zostawiał pan podobnych zabawek w szufladzie. Proszę zamknąć go w jakiejś skrytce, gdzie poczucie sprawiedliwości Matyldy nie będzie go szukać. Nie wolno pozwolić dzieciom na zabawy z bronią palną. Mogą w nich zasmakować... Przejdźmy teraz do Jeana-Marie Bardora... Kiedy wczorajszego popołudnia za-

dzwoniłem do jego mieszkania, długo zwlekał z otwarciem, jakby obawiał się nowego napadu naszej tygrysy. W końcu jednak przyjął mnie... Gdyby pan widział jego twarz! Przykro patrzeć! Nie zdobył się nawet na zdjęcie szlafroka, w którym zaskoczyło go to zdarzenie.

— A dama?

— Uciekła.

— Zna ją pan?

— Jak wszyscy w Instytucie... Nie ośmieliłbym się powiedzieć, że jest jakby częścią wyposażenia, ale to na pewno coś w tym rodzaju. Ten związek to stara historia, na którą przymykało oko pięć Akademii. W końcu Jean-Marie Bardor jest wolnym człowiekiem...

— Jaka ona jest?

— Całkiem ponętna, mimo dawno przekroczonej czterdziestki. Nie miała cienia talentu, więc nie odniosła żadnych sukcesów na scenie, za to znakomicie brylowała w alkowach. Zanim związała się z Bardorem, była kochanką rektora Akademii Sztuk Pięknych. To on ułatwił jej wejście do Opery Komicznej. Ciągłe uważa, że wszystko jeszcze przed nią. Myślę jednak, że możemy spokojnie o niej zapomnieć: w życiu naszego przyjaciela już jej nie ma.

— Zerwanie?

— Definitywne! Opuszczając Bardora przed zaledwie pół godziną, otrzymałem jego zapewnienie wraz z misją, jaką mam zaszczyt przedłożyć państwu w jego imieniu.

— Naprawdę?

— Misja to wielce przyjemna, gdyż pragnę zawiadomić, że w dniu i o godzinie wyznaczonej przez państwa nasz żwawy sekretarz gotów jest przyjść z prośbą o rękę Matyldy.

— Co?!

Gdyby lord nie siedział wygodnie w fotelu, z pewnością upadłby na podłogę. To, co powiedział admirał, było wręcz niewiarygodne: oficjalne zaręczyny po tylu latach wahania! Nie ulega wątpliwości, że członkowie Akademii Sztuk Pięknych tak samo nie spieszą się z podejmowaniem decyzji, jak ich koledzy z Akademii Francuskiej z pracą nad słownikiem.

Ochłonawszy, lord spytał:

— Czemu przypisuje pan ten cud?

— Wiele powodów złożyło się na tę decyzję, ale przyznam, że jeszcze wczorajszego popołudnia nasz przyjaciel daleki był od tej myśli. Zanim wyszedłem z

jego mieszkania, udało mi się zaledwie nakłonić go do zwrócenia rewolweru — jest to przecież poważny dowód rzeczowy, a oddał go tylko przez szacunek dla marynarki francuskiej, którą reprezentuję — oraz do złożenia obietnicy, że nie nada rozgłosu tej sprawie. Podkreśliłem, że utrzymanie jej w tajemnicy jest korzystne także dla niego samego. Ośmieszyłby się bardziej niż wy, gdyby wyszło na jaw, że niemłoda już panna ze znakomitego rodu strzelała do przyjaciółki dożywotniego sekretarza w jego mieszkaniu funkcyjnym. Wyobraża pan sobie tytuł na pierwszej stronie gazet: „Dramat miłosny w Instytucie”? Przy okazji i my, pozostali członkowie Instytutu, stalibyśmy się pośmiewiskiem Francji. I bez tego jesteśmy dostatecznym obiektem drwin! Pozostawiając go z tymi myślami, wiedziałem już, że cel wizyty został osiągnięty. Niemniej jego telefon z samego rana był dla mnie niespodzianką. Powiedział, że przyjdzie do mnie około trzeciej, by przekazać mi pewną wiadomość. Właśnie panu o niej wspomniałem.

... Przyczyny takiej zmiany? Wyznał mi tylko jedną, ale zdaje się, że najważniejszą. Innych mogłem się domyślać, ale niesądzę, żebym był daleki od prawdy. Po pierwsze, ową damę musiał nieźle wystraszyć świst kul i uznała związek z dożywotnim sekretarzem za wielce niebezpieczny. Po drugie, Bardor miał już z pewnością dosyć tej kobiety, której nie miał jednak odwagi powiedzieć, że ich związek nie przyniesie żadnych korzyści jej karierze. Innymi słowy, musiał mieć powyżej uszu zabiegów śpiewaczki. I wreszcie najistotniejszy powód, dla którego zrobił decydujący krok, jakim jest rezygnacja z ponad półwiekowego stanu kawalerskiego... Z całą szczerością, jak mężczyzna mężczyźnie, wyjaśnił mi, że nie jest szaleńczo zakochany w Matyldzie — między nami mówiąc, mój drogi: któż by był? Myślę, iż pan i lady Wandish zgodzicie się ze mną co do tego, że Matylda jest tylko sympatyczna i nic więcej. A więc, mimo że w grę nie wchodzi prawdziwa miłość, tej nocy zrozumiał, iż jest ubóstwiany jak rzadko który mężczyzna. Dla starego egoisty, który drzemie w każdym starym kawalerze, było to cudowne odkrycie. A poza tym wystąpienie Matyldy z rewolwerem wyglądało niczym scena z powieści. Czyż nie na takich porywach opiera się wielkość antycznego teatru? Dla Bardora było to coś nowego, coś, czego nigdy nie przeżył i czego, jak widać, było mu trzeba. Dość, że w końcu zdobył się na oświadczenia.

Lorda ogarnęło wzruszenie, a admirała — ogromne zadowolenie ze swych strategicznych zdolności. W swoim mądrym rozumowaniu nie wziął jednak pod uwagę dwóch istotnych powodów, które najbardziej wpłynęły na nagłą decyzję Jeana-Marie Bardora. Przede wszystkim, choć nie ma się czym chwalić, z trwogą

pomyślał o ewentualnych konsekwencjach dalszego uchylania się od małżeństwa: Matylda mogłaby tym razem targnąć się na jego życie! Nie wystarczy być dożywotnim sekretarzem, by całkowicie wyzbyć się tchórzostwa. Następnie, wobec niegasnącego od blisko dwudziestu lat płomienia miłości w sercu zakochanej panny de Raviroux-Luzensac powiedział sobie: „Nelly Morval jest może bardziej pociągająca, ale panna Matylda, z całą pewnością, dużo bogatsza. Starość wyczerpuje wszelkie możliwości i jedyne, co człowiekowi wówczas pozostaje po zakosztowaniu różnych przygód, to zabezpieczenie materialne. Mimo że w moim wieku nie czuję się jeszcze zgrzybiałym starcem, to wcale nie powód, by lekceważyć perspektywę luksusowej starości. A skoro owa perspektywa ma postać pewnej panny, która stanęła na mojej drodze bez żadnych starań z mojej strony, dlaczego z niej nie skorzystać? Odtąd będę mógł pozwolić sobie na szalone wydatki, które umiłą resztę moich dni”.

Oczywiście tak przyziemnego motywu Jean-Marie Bardor nie ośmielił się wyjawiać swemu przyjacielowi, który teraz właśnie z pewnym niepokojem zadawał lordowi następujące pytanie:

— Czy w obliczu tak szlachetnego uczucia pańska małżonka będzie mogła nadal przeciwstawiać się temu związkowi?

— Nie, admirale. Ale gdyby przypadkiem uparcie trwała w swoim sprzeciwie, zmuszę ją do zmiany zdania.

— Jak, u diabła, zamierza pan to osiągnąć?

— Po raz pierwszy w ciągu czterdziestu pięciu lat tego piekielnego małżeństwa użyję siły.

— Zrobiłby to pan?

— Tak.

— Zadziwia mnie pan.

Czy lord zrealizował swój śmiały zamiar, tego nie wiadomo, ale trzy dni później — Matylda ciągle tkwiła w swoim pokoju — dożywotni sekretarz zjawił się w domu lordostwa Wandish w nieodłącznym towarzystwie admirała. Wszystko poszło gładko, jak na ludzi światowych i równych sobie wiekiem przystało. Nigdy Jean-Marie Bardor nie wydał się lady Wandish bardziej ożywiony niż tego dnia. Przybył w krawacie w zielone groszki (kolor nadziei), czarnej, aksamitnej marynarce z połyskującą srebrnymi brzegami rozetką Legii Honorowej, kraciatych spodniach i spiczastych, lakierowanych półbutach.

Po chwili Alphonse wprowadził księdza Vidisa. Sam lord złożył mu wcześniej wizytę w zakrystii kościoła św. Piotra w Chaillot, by przygotować odpowiedni grunt do dzisiejszego spotkania.

— Proszę księdza — mówił — admirał i ja prosimy o wsparcie naszej batalii o zgodę na małżeństwo Matyldy. Zna ksiądz zdanie mojej żony na ten temat. Sprawa nie będzie więc łatwa, ale w końcu jest ksiądz jej spowiednikiem, jak zresztą całej rodziny i służby, a zatem osobą najbardziej wtajemniczoną w rodzinne sekrety. O ile wiem, jutro przypada dzień comiesięcznej spowiedzi lady Wandish... Otóż chodzi o to, żeby tym razem nie wyznaczył jej ksiądz pokuty w postaci: trzech „Ojcze nasz...” i trzech „Zdrowaś!”, lecz zamiast tego powinna usłyszeć: „Rozgrzeszenie dam pod warunkiem, że obieca pani przyjąć pana Bardora, który wybiera się z prośbą o rękę Matyldy”, a kiedy powie: „Tak, ojcze”, ksiądz dorzuci: „Idź więc córko i nie grzesz więcej!” Tak trzeba! Czy mogę liczyć na księdza?

— Zgoda.

Zatem po admirale, ksiądz Vidis był drugą osobą pragnącą złożyć gratulacje zarówno lordostwu Wandish, jak też przysłemu panu młodemu. Kiedy rada starszych zebrała się w komplecie, wysłano Alphonse'a po Matyldę od rana ogryzającą paznokcie ze strachu, że a nuż w ostatniej chwili Jean-Marie zrezygnuje z przybycia.

Na tę szczególną okazję wybrała prostą sukienkę w drobny wzorek kwiatowy, która — jej zdaniem — odmładzała ją. W salonie zjawiała się blada i drżąca, ale jej policzki natychmiast się zaróżowiły, kiedy usłyszała z ust lady Wandish:

— Matyldo, oto twój narzeczony! Możesz mu pozwolić na pocałunek.

I kiedy wybranek wstydliwie czynił zadość tradycji, policzki Matyldy przeszły w purpurę. Następnie z prawej kieszeni aksamitnej marynarki Jean-Marie wyjął małą szkatułkę, w której błysnął zaręczynowy pierścienek: ogromny diament! Jego wielkość świadczyła dobitnie, iż decyzja dożywotniego sekretarza była dobrze przemyślana, a blask zafascynował admirała, który znając najlepiej skromne dochody członków wszystkich Akademii, zastanawiał się, jakim sposobem jego kolega mógł pozwolić sobie na tak imponujący wydatek. Może zaciągnął pożyczkę?...

Kiedy diamentowy pierścienek ozdobił palec lewej — obficie pokrytej piegami — ręki narzeczonej, ceremonia zaręczyn była zakończona. Z należytych namaszczeniem zacny ksiądz Vidis wygłosił krótką przemowę okolicznościową oscylującą wokół starej prawdy, że niezbadane są wyroki Opatrzności...

— Życzeniem moim jest — odezwała się na koniec Matylda swoim cienkim głosem — by ksiądz osobiście odprawił mszę ślubną. Chcę, by odbyła się w kościele Saint-Servat, gdyż do tej parafii należy Hautefeuille, gdzie wydane zostanie przyjęcie weselne. O pobłogosławienie naszego związku poproszę Jego Eminencję kardynała Grente'a, najznamienitszego prałata departamentu Maine. Sam jest członkiem Akademii Francuskiej, więc nie odmówi tej łaski Jeanowi-Marie. Ma on też reputację najlepszego specjalisty w dziedzinie ślubnych przemówień i mów pogrzebowych. Czy pan, admirale, zechce być moim pierwszym świadkiem?

— Będzie to dla mnie największa przyjemność, moja droga Matyldo! A kto dostąpi zaszczytu pełnienia funkcji drugiego świadka?

— To niespodzianka! — odparła Matylda.

* *

*

— Tą niespodzianką — wyjaśniłem Deliotowi — byłem ja... Zastanawiano się chyba, co osoba młodsza od Matyldy, a tym bardziej od reszty towarzystwa, będzie robić na tym weselu. Skąd taki wybór? Nie wiem. Może zapragnęła w tym dniu trochę urozmaicenia i moja osoba — jej zdaniem — nadawała się do tego najbardziej? W każdym bądź razie byłem jej wdzięczny za to wyróżnienie. Od tego dnia moje kontakty z Matyldą znacznie się pogłębiły. Czasem nawet zwierzała mi się z różnych spraw. I to właśnie, w połączeniu z jej wspomnieniami spisanyymi w zeszytach, pozwoliło mi na przedstawienie panu jej życia od dzieciństwa aż do zaręczyn.

— Jestem panu wdzięczny—powiedział adwokat.—Teraz już i ja znam nieco lepiej pańską kuzynkę i jestem pewny, że wiedza ta pomoże mi zrozumieć resztę... Tymczasem zasłużyliśmy na małą przerwę. Odrobinę whisky?

— Chętnie

Podał mi szklaneczkę, sam jednak nie pił.

— Dzisiaj piję tylko pańskie słowa.—

Cierpliwie odczekał kilka minut pozwalając mi złapać oddech, po czym spytał:

— Lepiej?... Świetnie! Pomówmy teraz o weselu! Musiało być sensacją.

— To było wielkie wydarzenie! Przed kościołem zebrały się tłumy pragnące zobaczyć osobliwą parę: sędziwego sekretarza Instytutu u boku „panienki z dworu”. Ludzie ściągęli nie tylko z okolic, ale też z samego Paryża. Wśród gapiów byli też zawodowi fotografowie, łowcy sensacyjnych zdjęć. Najbliższą rodzinę reprezentowaliśmy w składzie: Stéphanie, Bea i ja jako drugi świadek. Dalsi kuzyni nie uznali za konieczne zjawić się na ślubie, który wydał im się kompletnym szaleństwem. Wielu z nich obawiało się też uszczypliwości lady Wandish. Ze strony pana „młodego” nie było nikogo bliskiego. Nie wiadomo nawet, czy miał jakąś rodzinę. Nigdy nie starałem się tego dowiedzieć. Nie brakowało natomiast kolegów z Instytutu. Przybyły delegacje każdej Akademii, gdzie wrogowie Jeana-Marie Bardora należeli do rzadkości.

Wszyscy wystąpili w nienaganych strojach i prawie wszyscy obnosili swoje odznaczenia Legii Honorowej. Natomiast ze zdumieniem stwierdziłem, że żaden z nich nie miał fioletowej wstęgi i palm akademickich. Za to większość założyła piękny zielony strój z lamówkami w kolorach stosownych dla każdej z Akademii.

Dzień był piękny. Wiosenne słońce uśmiechało się do nowożeńców.

Niecodzienne stroje gości, akademickie nakrycia głowy z piórami, misternie rzeźbione rękojeści szpad, wszystko to wywarło na wieśniakach niezatarte wrażenie. Wspomnienia tego ślubu na długo miały ubarwiać rodzinne opowiadania.

„Trzeba było widzieć tych wystrojonych starców! — mówią jeszcze dzisiaj świadkowie tego wydarzenia. — To było wspanialsze niż wychwalana stara gwardia cesarza!”, a młodzi tylko wzdychają z zalem.

Jean-Marie Bardor był jedynym, który — mimo próśb Matyldy — nie założył swojego akademickiego stroju. Wystąpił natomiast w cylindrze, rękawiczkach, obcisłym zakiecie skrojonym według angielskiej mody i spodniach w paski. Całość przywodziła na myśl wyborowe garden-party lub podobnej rangi przyjęcie w ogrodach Pałacu Elizejskiego wydawane przez prezydenta Alberta Lebruna. Zdaniem Jeana-Marie — i tu się nie mylił — taki strój ujmował mu lat.

W kwestii wieku, na godzinę przed ślubem kościelnym, podczas ceremonii cywilnej w merostwie Saint-Servat, doszło do dziwnego incydentu.

... Przed otrzymaniem obopólnej zgody narzeczonych na zawarcie małżeństwa i ogłoszeniem ich mężem i żoną w obliczu prawa reprezentowanego przez zakurzone popiersie Marianny, mer Heurteloup, zgodnie z prawem, wymienił imiona, nazwiska i daty urodzin nowożeńców. W momencie gdy donośnym głó-

sem podawał do publicznej wiadomości datę urodzenia Jeana-Marie, z piersi Matyldy wyrwał się okrzyk oburzenia, powstała w majestacie bieli swojej sukni ślubnej ozdobionej kwiatem pomarańczy i unosząc tiulową woalkę, wstydliwie skrywającą jej piegowatą twarz, zawołała dobitnie:

— To kłamstwo! Mój Pia-Pia — w ten sposób poznaliśmy urocze przezwisko, jakim obdarzyła swojego przyszłego towarzysza życia — ma zaledwie 72 lata, a nie 73, jak złośliwie zapisano w rejestrze. To ohydna próba uczynienia go starszym o cały rok! Panie Heurteloup, znamy się dostatecznie długo, bym mogła panu powiedzieć, że rozczarował mnie pan! Uważałam pana za porządnego człowieka! To niewybaczalna pomyłka!

— Ależ, panno Matyldo... —jąkał się mer.

— Za chwilę nie będzie już panny Matyldy, ale pani Bardor! Żądam natychmiastowego naprawienia błędu!

... O pomyłce nie było jednak mowy. Rejestry Urzędu Stanu Cywilnego nie mają w zwyczaju się mylić. I w obecności admirała Ducaze'a, lorda i zielonej ze złości na myśl o śmieszności, jaką okryła się rodzina, lady Wandish oraz swoich akademickich kolegów, biedny Jean-Marie został zmuszony do przyznania się, że wszedł już w siedemdziesiątą czwartą wiosnę życia. Matylda zalała się łzami i osunęła na ławkę.

— Okłamał mnie pan, Pia-Pia — załkała. —To okropne!

Pierwsze kłamstwo, jakiego dopuszcza się życiowy partner, jest zawsze poważnym wykroczeniem, coś dopiero, gdy wychodzi na jaw w tak decydującym momencie!

Na sali zapanowała ogólna konsternacja... Co teraz będzie? Czy upokorzona panna młoda nie zechce porzucić długoletniego obiektu swoich westchnień, uciekając pod opiekuńcze skrzydła ciotki? Lady Wandish ogarnęło przerażenie na myśl o ewentualnym powrocie Matyldy. Ostatecznie jednak miłość zwyciężyła...

— Wybaczam panu, Pia-Pia — rzekła wreszcie Matylda — ale musi mi pan przysiąc, że nigdy więcej nie skłamię.

— Przysięgam, moja droga...

... Po czym padło sakramentalne „tak” i prześwietne towarzystwo odetchnęło z ulgą, a lady Wandish szepnęła mężowi do ucha:

— Nawet w ostatniej sekundzie nie omieszkała wystawić nas na pośmiewisko!

Głębokie westchnienie było jedyną odpowiedzią lorda Wandisha.

... W kościele obyło się już bez scen. Ksiądz Vidis odprawił mszę, a kardynał wygłosił starannie przygotowaną mowę. Jego popisy oratorskie przywodziły na myśl Bossueta. Przez wzgląd na akademickich kolegów, wszystko było tu skrupulatnie przemyślane. Niełatwo jednak przejść od wychwalania niezliczonych zasług pana młodego do zrozumiałych pragnień panny młodej, której jedyną zaletą była anielska cierpliwość w oczekiwaniu na ten moment. Trudno w takiej sytuacji o zachowanie stosownych proporcji. Niemniej jednak naszpikowana łacińskimi cytacjami przemowa była iście snycerskim dziełem sztuki. Nie zabrakło oczywiście górnolotnej apologii miłości, wykraczającej poza wszelkie prawa logiki i granice czasu. Ogólny sens wypowiedzi można by jednak streścić w zdaniu: „Pan dożywotni sekretarz cieszy się doskonałym zdrowiem i zamierza w tym stanie trwać jak najdłużej...”

Oracja miała znaleźć się w czternastym tomie jego „Dzieł oratorskich i pastoralnych”, dzięki którym literacka sława kardynała będzie trwać długo po jego zejściu z tego świata. I kardynał miał tę myśl na względzie, gdy pisał swą przemowę.

... Klasyczny lunch miał miejsce w Hautefeuille. Alphonse przeszedł samego siebie w przygotowaniu przyjęcia. Pomyślał o wszystkim. Dla każdego znalazło się miejsce siedzące, co nie było bez znaczenia, zważywszy średnią wieku wynoszącą około siedemdziesiąt pięć lat. W tym towarzystwie Jean-Marie Bardor uchodził za najmłodszego, lecz nie zmieniało to jednak faktu, że miał o trzydzieści cztery lata więcej od swojej żony i o trzy lata więcej od stryja Wandisha. Różnica wieku między nim a ciotką Wandish wynosiła dziesięć lat. Młodszy był jedynie od admirała Ducaze'a i to o całe cztery lata, co mogło stanowić niewielką pociechę.

... Żegnając się z Matyldą, zadałem jej pytanie, które nurtowało mnie przez cały czas trwania uroczystości. Wiedziałem, że przez sympatię do mnie nie odmówi mi odpowiedzi.

— Wyjeżdżacie w podróż poślubną? — spytałem półgłosem.

— Oczywiście! Jutro. Dzisiejszą noc spędzimy tutaj, by ochłonać po wrażeń, chociaż mój Fifinet miał ochotę wyjechać jeszcze tego wieczoru. On nigdy nie czuje zmęczenia, jest nie do zdarcia!

— Nazywasz go Fifinet?

— Tak. Przez lata oczekiwania przygotowałam cały arsenał pieszczotliwych zdrobnień. Najbardziej podoba mi się Pia-Pia, Tonton i Fifinet, ale on zdecydo-

wanie odrzucił „Tontona”. Mówi, że go postarza. Chyba będę nazywać tak stryja.... Bardzo lubi być nazywany Pia-Pia i Fifinet.

— Gdzie się wybieracie? Na Kyterę?

— Jesteś niedyskretny, kuzynie... To mój sekret! Nie wyjawię go nikomu.

— Nawet matce chrzestnej?

— Jej przede wszystkim nie! Gotowa byłaby nas śledzić!... W głębi duszy odnoszę wrażenie, że zazdrości mi mojego małżeństwa... Jean-Marie podoba się jej. Zresztą on podoba się wszystkim. Szczęściarz! Jest diablo czarujący i dobrze o tym wie. Teraz jednak jestem już jego żoną i o żadnych przygodach nie będzie mowy. W przeciwnym razie poradzę sobie równie skutecznie jak z ową śpiwaczką.

— Masz rację, Matyldo! Gdzie zamierzacie zamieszkać po powrocie? W jego mieszkaniu?

— Nie. Wiązą się z nim złe wspomnienia. Nie mogłabym tam mieszkać, a już na pewno spać w łóżku, przez które przewinęła się Nelly Morval i, z pewnością, wiele innych przed nią. A poza tym...

Zawahała się.

...Poza tym... Tobie mogę to powiedzieć: Jeanowi-Marie nie zależy na tym.

— Dziwne!

— Czy wiesz, o co mnie prosił po oświadczeniach? Żeby po ślubie raz w tygodniu miał prawo do jednego dnia całkowitej swobody...

— Nie do wiary! Zgodziłaś się?

— A co miałam robić?... Zresztą nie chodzi tu o zdradę, jak mi tłumaczył, ale o potrzebę ucieczki od atmosfery małżeńskiej. Nie wyobraża sobie inaczej naszego związku. Nie zapominaj, że to artysta. Od czasu do czasu będzie musiał uciec w swój świat, by komponować. Jego zdaniem natchnienie czuje tylko w dawnym mieszkaniu... Ponieważ nie chcę stawać na drodze jego kariery, zgodziłam się.

— Bardzo rozsądnie! Tobie też przydadzą się te maleńkie przerwy.

— Ustaliliśmy je na piątek. Od lat w tym dniu ciotka wydaje przyjęcia, będę więc mogła jej pomóc. Wprawdzie nie cierpię tych dam, ale czasem trzeba się poświęcić, by zachować w rodzinie dobre stosunki, jak mawia ksiądz Vidis. Poza tym ich paplanina zajmie mnie na tyle, że nie będę spędzała tych piątków na rozmyślaniach typu: „Co też robi mój Fifinet w swojej garsonierze?”

— Będzie pracował! Pozostaje rai tylko życzyć ci cudownego pobytu pod jakimś pogodnym niebem, w czasie którego zapomnisz o nas wszystkich i bę-

dziesz miała rację. Po powrocie zadzwoń do mnie... Czy znaleźliście już mieszkanie w Paryżu?

— To nie było konieczne. Pałac na placu Stanów Zjednoczonych jest dostatecznie duży, by nas pomieścić. Zajmiemy drugie piętro. Wydaliśmy już stosowne rozporządzenia odnośnie urządzenia. Pojutrze rozpoczną się prace. Tuż przed naszym powrotem powinny być zakończone.

— Na jak długo zamierzacie nas opuścić?

— Przynajmniej na trzy miesiące.

— Czyżbyście planowali podróż dookoła świata?

— Nie, ale oboje zasłużyliśmy na te trzy miesiące: Jean-Marie swoją trzydziestopięcioletnią wiernością organom w Saint-Sulpice, po prawie dwudziestoletnim czekaniem na niego. Pocałuj mnie jeszcze raz, kuzynie!

... Skórę miała delikatną... Nie mogłem oprzeć się myślom o jej nocy poślubnej. Czy odbędzie się dzisiaj w Hautefeuille? Wątpliwe... Hautefeuille to piękna posiadłość, ale raczej mało sprzyjająca miłosnym igraszkom, a zatem w tym tajemniczym miejscu... „Tam stanę się twoją żoną”, z pewnością szepnie swojemu Pia-Pia romantyczna Matyllda.

— Nazwę tego miejsca poznałem dwadzieścia lat później. Było to w kilka dni po śmierci Jeana-Marie Bardora, tego popołudnia, kiedy odwiedziłem ją, by złożyć kondolencje. Zdaje się, że jako jedyna osoba poznałem jej tajemnicę.

— Nie wspominała o tym w zeszytach?

— Nie. Tak intymne wspomnienia wolała zachować w głębi serca...

Usiedliśmy w saloniku pałacu odziedziczonego po jej matce chrzestnej... Wtedy właśnie opowiedziała mi o tym.

* *

*

Przed dwudziestu laty, w dwa dni po przyjęciu weselnym w Hautefeuille, „młoda” para zatrzymała się w hotelu nad jeziorem w Neuchatel, Od pamiętnej platonicznej przygody z Achillem Bugernerem konserwatorem biblioteki miejskiej, Matyllda nigdy tam nie powróciła. Jej małżonek w ogóle nie znał tego miejsca.

Na miesiąc przed ślubem Matylda wystosowała list, rezerwując na nazwisko państwa Bardor najpiękniejszy apartament z widokiem na jezioro. W składzie dyrekcji i personelu zacisznego zakątka nie zauważyła większych zmian. Zdawało się jednak, że nikt nie kojarzy rudowłosej damy, przybyłej u boku łysego, korpulentnego męża, z przebywającą tu niegdyś w towarzystwie dystyngowanej pary rudowłosą dziewczyną o romantycznym usposobieniu. Nikt nie przypuszczał, że są nowożeńcami. Wyglądali bardziej na dostojnych jubilatów świętujących swoje srebrne gody.

Tuż po przyjeździe, wieczorem, Matylda wyciągnęła Jeana-Marie na romantyczny spacer w świetle księżyca. Szli drogą okalającą jezioro, a kiedy znaleźli się obok trzeciej ławki, Matylda rzekła:

— Mój drogi Pia-Pia, jutro rano wyjdzie pan sam z hotelu, przyjdzie tutaj i usiądzie na tej ławce. Chciałabym też, by zabrał pan ze sobą książkę, a jeszcze lepiej ołówek i dwie lub trzy kartki pokryte pięcioliniami. Zauważyłam je w jednej z walizek. Jest pan jak malarz, który nie ruszy się nigdzie bez sztalug i farb...

— Skąd ten dziwny pomysł, Matyldo?

— To z powodu... Teraz, kiedy jesteśmy już małżeństwem, mogę panu opowiedzieć tę historię... Otóż kilka dni po spotkaniu pana w Konserwatorium przyjechałam tu na wakacje z ciotką i ze stryjem. Wtedy właśnie zdarzyło się coś, co teraz chciałabym powtórzyć... Wymykałam się z hotelu po kryjomu i spacerowałam sobie samotnie po tej drodze. Pewnego dnia zauważyłam siedzącego na tej ławce starszego pana, który był zatopiony w lekturze. Raz po raz unosił głowę, kontemplując spokojne piękno jeziora. Może wydać się to dziwne, ale z tyłu był podobny do pana. Z pewnością, złudzenie potęgowała łysina okolona wianuszkiem lekko kręconych włosów, które tak kocham u pana. Z bliska jednak okazało się, że jego twarzy brak tej szlachetności wyrazu i piękna. Przede wszystkim zaś nie miał tej bródki, która dodaje panu tyle uroku!

... Wiem, Jean-Marie, że to, co wówczas zrobiłam, było zbyt śmiałe jak na dobrze wychowaną pannę, ale usiadłam z prawej strony ławki i wzruszona czekałam w milczeniu na rozwój wydarzeń... W milczeniu, bo nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć ani jak przerwać czar ciszy. Wzruszona, ponieważ wyobrażałam sobie, że to pan: to tak, jakby pańska postać zajmowała miejsce nieznanego. On przemówił pierwszy. Myślę, że pan postąpiłby tak samo... Jego głos był jednak dużo mniej harmonijny niż pański. Widać ogromną różnicę między głosem muzyka, a głosem bibliotekarza... A on właśnie zajmował się biblioteką miejską w Neuchatel. Odtąd co rano widziałam go na tej ławce z nieodłączną książką.

Zdawał się czekać na mnie, a ja za każdym razem wyobrażałam sobie, że idę na spotkanie z panem. Przez godzinę rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym: o pogodzie, o jeziorze, o górach... Potem biegiem wracałam do hotelu, by nie spóźnić się na obiad, jako że dla ciotki — sam pan zauważył — punktualność to święta rzecz. Być może ten zacny człowiek już dzisiaj nie żyje, w każdym razie nie widziałam go od tamtego lata, bo już nigdy nie wróciliśmy do Neuchatel.

— Wydawało mi się, że lady Wandish lubi to miejsce...

— Tak, ale pragnąc mnie ukarać, nie zawahała się wyrzec spędzania tutaj części wakacji. Kiedy odkryła moje poranne wycieczki, zaintrygowana podążyła za mną i, oczywiście, przyłapała mnie na rozmowie z bibliotekarzem. Bardzo ją to rozgniewało i nakazała natychmiastowy wyjazd. Nazajutrz rano wyruszyliśmy do Hautefeuille, a Neuchatel na zawsze pozostało zakazanym miejscem. Myliła się jednak sądząc, że jej decyzja mnie zmartwi. Nie mogła przecież wiedzieć, że to pana uosabiał w moich oczach ów czcigodny mężczyzna; to pana widziałam, patrząc na niego. Kiedy chłonełam jego słowa, wyobrażałam sobie, że to pan do mnie mówi, mimo że wówczas nie znałam jeszcze pańskiego głosu, ale gdy go wreszcie usłyszałam podczas mojej pierwszej wizyty u pana, nie czułam rozczarowania: brzmiał dokładnie tak samo, jak go sobie wymarzyłam.

— Mówiąc o tym bibliotekarzu, powiedziała pani „starszy mężczyzna”. De miał zatem lat według pani? — spytał dożywotni sekretarz z zakłopotaniem.

— Był chyba mniej więcej w pańskim wieku, tylko że pan wygląda dużo młodziej. Nikt nie da panu więcej niż sześćdziesiąt trzy lata, ale ja nie lubię mówić o wieku i dlatego tak zdenerwowałam się w dniu ślubu... Pia-Pia, zechce pan zrobić mi przyjemność i jutro zająć miejsce na tej ławce? Chciałabym, żeby pan był tutaj, gdy o dziesiątej trzydzieści znajdę się na tej drodze.

— Będę — zgodził się z nutką rozczarowania w głosie.

— Dziękuję... Mam szaloną ochotę pocałować pana. Muszę jednak wytrzymać do jutra, gdyż pragnę zarezerwować sobie tę przyjemność na jutrzejsze spotkanie na ławce.

Nazajutrz rano usiadł więc na ławce z odkrytą głową, by mogła oglądać jego lśniąca w słońcu łysinę. Znakiem, że miodowy miesiąc trwa jeszcze, był elegancki krawat w białe grochy.

Matylda zbliżała się powoli. Pod białą parasolką chroniła przed słońcem swoją delikatną, usianą piegami twarz. Usiadła na prawym brzeżku. Przez chwilę trwali w milczeniu, po czym Matylda, nie dając mu nawet chwili czasu na wy-

powiedzenie choćby jednego słowa, przytuliła się do niego i zbliżyła usta do jego ust. Złączyli się w długim pocałunku.

— Odtąd może pan mówić mi „ty”. Kocham cię, Pia-Pia! —szepnęła wreszcie.

— Podobasz mi się, Matyldo!...

I tak, podczas gdy wszyscy wyobrażali ich sobie w gondoli pod mostem Westchnień w Wenecji lub w błękitnej grocie na Capri czy na corridzie w Sewilli, bądź w cieniu palm Marakeszu, oni po prostu byli w Neuchatel, gdzie co rano, o dziesiątej trzydzieści, urządzali sobie schadzki na trzeciej ławce... To był właśnie ich sekret!

Trzy miesiące żyli w tej euforii nie wysyłając żadnych pocztówek do nikogo. Bardzo gniewało to lady Wandish i kiedy w czasie jednego z piątkowych przyjęć pewna dama spytała: „Droga Elodie, czy miała pani wieści od swoich gołąbków?”, odparła sucho: „Żadnych. W ogóle nie wiemy, gdzie się zaszyli. Myślę jednak, że są dostatecznie dorośli, by wiedzieć, co robią. A zresztą, czyż francuskim zwyczajem nie zwykło się mówić, że brak wiadomości, to w rzeczy samej pomyślna wiadomość?”

Czuła się jednak strasznie upokorzona. Skąd była metresa Edwarda VII miała wiedzieć, że Matylda i Pia-Pia rozkoszują się swoim szczęściem na ławce miłości?

* *

*

— Niesamowita historia! — odezwał się mecenas Deliot.

— Tak, a przy tym cudownie działająca na kondycję małżonków. Po powrocie do Paryża Matylda promieniała szczęściem, a Jean-Marie tryskał zdrowiem. Ucieszyłem się, kiedy do mnie zadzwoniła...

— Szczęśliwa? — spytałem.

— Pijana szczęściem! Warto było czekać! Poślubiłam wspaniałego człowieka. Jean-Marie jest wcieleniem wszystkiego, co najlepsze: szlachetności serca i umysłu, ojcowskiej dobroci, której nigdy nie zaznałam, opiekuńczości, uroku Don Juana, młodzieńczej energii...

— Energii? A więc i w tej kwestii wszystko w porządku?

— Całkowita harmonia!

— Trudno, żeby jej nie było w związku z muzykiem...

— Mogę ci nawet zdradzić pewien sekret, ale zachowaj go di siebie: chyba jestem w ciąży.

— To byłoby cudowne!

— Już widzę minę pewnej osoby, kiedy stanie się to oczywiste dla wszystkich...

— Mówisz o ciotce?

— Tak. Sama nie mogła mieć dzieci. Nigdy mi tego nie wybaczy!

— Gdyby urodził się syn, mógłby nosić nazwisko de Raviroux- Luzensac.

— Nigdy w życiu! Nigdy nie zgodzę się na to! Będzie nosił nazwisko ojca. Kiedy ma się szczęście być synem znanego człowieka, nie zmienia się nazwiska!

— Masz rację!

... Niestety, radość była przedwczesna. Moja kuzynka nigdy nie miała dzieci i wiem, że bardzo cierpiała z tego powodu. Odczucia dożywotniego sekretarza w tym względzie nie są mi znane, gdyż nigdy nie poruszał tego tematu. Osiągnął zresztą wiek, w którym trudno żywić zbyt wiele złudzeń, zwłaszcza w pewnych kwestiach...

... Żadna radość nie trwa wiecznie. Prędzej czy później gasi ją jakiś smutek. W wypadku naszych nowożeńców ciosem była śmierć zacnego stryja Wandisha. Pewnego ranka znaleziono go martwego w jego łóżku. Odszedł cicho, z charakterystyczną dla siebie dyskrecją, która stanowiła część jego uroku. Matylda przeżyła to bardzo mocno. Przypuszczam, że lady Wandish mniej. W żalu Jeana-Marie mogła natomiast znaleźć się odrobina zadowolenia z własnej, znakomitej formy, mimo że był trzy lata starszy od zmarłego.

... Lord Wandish został pochowany w wyznaczonym mu wcześniej miejscu w krypcie kościoła w Saint-Servat. Niestety, nie mogłem wziąć udziału w pogrzebie, ponieważ przebywałem wówczas poza granicami Francji. Byłem jedynym żyjącym kuzynem, ale nieobecnym, więc linię męską rodziny reprezentował Jean-Marie Bardor. Czynił to — jak się domyślam — z godnością właściwą członkowi Instytutu.

Po ceremonii pogrzebowej wrócił do Paryża w towarzystwie małżonki i lady Wandish. Zaczynała się dla niego nowa era...

... Niestety, niezbyt różowa. Aby ułatwić pracę Alphonse'owi, zdecydowano, że cała trójka będzie jadać wspólnie. W ten sposób przynajmniej dwa razy dziennie eks-samotnik skazany był na obecność dwóch kobiet jednocześnie: Matyldy i wdowy, która coraz częściej odgrywała rolę teściowej. Gdyby przed ślubem nie

wpadł na genialny pomysł zarezerwowania sobie jednej wolnej doby w tygodniu, układ ten byłby piekłem. Z utęsknieniem czekał więc na wolny piątek i wymyślał się z królestwa kobiet na placu Stanów Zjednoczonych, by odetchnąć odzyskaną na chwilę swobodą i oddać się własnym przyjemnościom.

W towarzystwie swego zastępcy, organisty z Saint-Sulpice, szedł wówczas na obiad do restauracyjki na lewym nabrzeżu, gdzie znano go od ćwierćwiecza i serwowano jego ulubiony deser: gruszki Bourdaloue. Następnie po ułatwiającym trawieniu spacerze wzdłuż kramików bukinistów, którzy także go znali, docierał wreszcie do swojej służbowej garsoniery. Panna Lebaudet pracowała już wtedy gdzie indziej, tak więc był tu zupełnie sam. Z lubością zakładał swój ulubiony, kanarkowy szlafrok, w którym nie ośmielał się jednak paradować w obecności małżonki, i ze spokojem oddawał się oczekiwaniu, sącząc wyborny koniak. Na co czekał? Po prostu na pukanie do drzwi. W gorączkowym podnieceniu biegł wtedy otworzyć.

Na progu stała kobieta. Nie była to jednak Matylda, dotrzymująca towarzysztwa lady Wandish, jak wynikało z umowy, lecz... Nelly Morval. Wyperfumowana śpiewaczka zrozumiała w końcu, że ożenek kochanka, podyktowany troską o finansowe zabezpieczenie na starość, nie równa się rezygnacji z wdzięków ulubionej metresy...

— Ten dożywotni sekretarz od początku wyglądał mi na niezłe ziółko — wtrącił Victor Deliot.

— Z pewnością w tym właśnie tkwił sekret jego czaru. Muszę dodać, że za życia Jeana-Marie nie wiedziałem nic o jego potajemnych schadzkach. Nikt o nich nie wiedział. Myślę, że nawet admirał nie miał o niczym pojęcia. Matyldę uświadomiła jakaś „życzliwa dusza” po dwóch latach małżeństwa. Tak bardzo jednak kochała swego Pia-Pia, że wołała udawać nieświadomą tej przygody.

— Co świadczy o tym, że nie była taka głupia, na jaką wyglądała...

— Doskonale to pan określił. Warto o tym pamiętać przy rozszyfrowywaniu jej osobowości. W dniu, w którym przyszedłem złożyć Matyldzie kondolencje, tak powiedziała o wybrykach miłosnych swojego zmarłego męża: „Prawdziwym łajdakiem był mój Pia-Pia! Ale nie czułam się zdradzana. Wiedziałam przecież o wszystkim, chociaż jemu wydawało się, że niczego się nie domyślam... Lepszy jednak stary, połatany związek niż nowy z jakimś kociakiem. Dla mnie liczyło się tylko to, że jestem jego żoną.

Gdy miałam dwadzieścia lat, zapragnęłam zostać panią Bardor, osiągnęłam cel i do końca życia będę nosić to nazwisko. Cieszę się, że jestem wdową po tak

znakomitym człowieku. A co zostało tamtej? Nic. A poza tym mieć kochankę w jego wieku, to tylko oznaka męskości!"

Wkrótce po śmierci małżonka lady Wandish podążyła w jego ślady. Tym razem mogłem już wziąć udział w pogrzebie. Przybył też drogi admirał Ducaze. Żegnaliśmy wielką damę... Gdyby miała serce równie wielkie jak umysł, byłaby niezrównaną istotą! Miała jednak coś, co nie dane jest wszystkim kobietom: niezwykłą urodę, liczne przygody i królewską miłość. Nie mogłem jej tylko wybaczyć, że tłumiała w swej siostrzenicy wszelką inicjatywę i doprowadziła ją do całkowitej uległości, a nawet zwątpienia w umiejętność podejmowania jakichkolwiek decyzji. Upór w dążeniu do realizacji marzenia o małżeństwie z Jeanem-Marie Bardorem był wyjątkiem i nie miał wielkiego wpływu na dalsze życie Matyldy. Dość, że kiedy zabrakło ciotki, która wszystkim zarządzała, poczuła się bezradna i zagubiona.

... Wprawdzie na początku zdawało się jej, że wreszcie odetchnie, ale szybko poczuła, iż mimo obecności męża, kogoś jej brak. Jean-Marie nie poświęcał jej tyle czasu, ile pragnęła. Jego jedyną prawdziwą pasją—wyjąwszy kilka wytwornych spotkań z Nelly Morval — była muzyka, zawód organisty i gruszki Bourdaloue. Matyldy nigdy nie darzył głębszym uczuciem. Ona należała do kobiet, które kochają tylko raz, jemu taka miłość ciążyła. Jako człowiek kulturalny i dobrze wychowany umiał oczywiście zachowywać pozory wyjątkowego szczęścia w spóźnionym małżeństwie. Nie myślał jednak zajmować się podniesieniem poziomu intelektualnego żony- Z pewnością uważał, że przerasta to jego możliwości. A może pracę nad zmianą zachowania — czasem dość infantylnego, przynajmniej to szczerze — ostatniej z rodu de Raviroux-Luzensac, uznawał po prostu za stratę czasu?

... Wiedli więc nudną, choć opływającą w dostatki egzystencję. Brali udział w niezliczonych kolacjach, gdzie zapraszano ich najczęściej z ciekawości, czy osobliwy związek trwa w miłosnej idylli, i tyleż przyjęć sami wydawali w posiadłości na placu Stanów Zjednoczonych, którą zarządzali jako prawowici spadkobiercy.

Wśród gości nie mogło oczywiście zabraknąć admirała Ducaze'a, najstarszego już wówczas członka Akademii Francuskiej, i księdza Vidisa, wyniesionego do rangi kanonika kościoła św. Piotra w Chaillot. Tradycją stały się również wieczorki cieszące się dużym powodzeniem, podczas których Jean-Marie Bardor przygotowywał prawdziwą ucztę muzyczną dla gości swojej żony — miałem szczęście być jednym z nich — oraz niektórych kolegów akademic-

kich. Takie wieczorki odbywały się dwu- lub trzykrotnie w czasie paryskiego sezonu.

... Kiedy minęły trzy miesiące obowiązkowej żałoby po śmierci lady Wandish, Matylda ofiarowała swojemu Fifinetowi prawdziwie królewski podarunek: wspaniałe organy wyposażone w piękną klawiaturę i błyszczące piszczałki; wierną kopię tych, na których grał podczas pamiętnego koncertu w Konserwatorium. Instrument ustawiono w salonie, zamieniając go w swego rodzaju salę koncertową. W czasie szczególnie uroczystych wieczorów Jean-Marie grał dla wytrawnych melomanów lub kilku dystyngowanych dam, starannie wybranych przez panią domu. Nie było oczywiście mowy o zaproszeniu pewnej śpiewaczki o wątpliwej reputacji!...

... Te właśnie organy, mój drogi mecenasie, otrzymał w spadku ksiądz Lorat. Po śmierci zakonnicy rozebrano je, przewieziono na południowy zachód Francji i zainstalowano w kościele w Tenelles. Zdziwiłbym się jednak, gdyby znalazł się tam organista tej klasy co Jean-Marie Bardor i umiał zagrać na nich z siłą i zręcznością choć w części zbliżoną do wirtuozerii zmarłego. Prawdę mówiąc, talent był jedyną rzeczą, w jaką zdawał się wierzyć dożywotni sekretarz. Poza tym wątpił we wszystko, szokując tym lady Wandish i wprawiając w zakłopotanie swoją żonę. Była to dość dziwna postawa u kogoś, kto życie spędzał na oświetnianiu różnego rodzaju uroczystości kościelnych i nadawaniu każdej z nich niepowtarzalnej oprawy muzycznej. A może właśnie nadmiar mszy, nieszpórów, ślubów i pogrzebów przekroczył w końcu granicę strawności?

... Sprowadzając organy do salonu, Matylda łudziła się, powiedzmy sobie szczerze, że Jean-Marie zrezygnuje ze swoich cotygodniowych eskapad, tym bardziej, iż po śmierci ciotki zaniechano piątkowych spotkań przy herbacie. Niestety, małżonek pozostał rozpaczliwie wierny swoim przyzwyczajeniom i w tych dniach biedna Matylda umierała z nudów. Snuła się po pokojach z trudem hamując narastającą zazdrość, a patrząc na klawiaturę, wyobrażała sobie żywego osiemdziesięciolatka — czas mijał szybko! — jak wydobywa z instrumentu wzruszająco melodyjne dźwięki. Imaginacja działała z taką siłą, że scena stawała się niemal realna, jak przed laty historia z bibliotekarzem na ławce miłości...

... Mimo wszystko życie Matyldy upływało bez większych trosk... aż do dnia, kiedy po dwudziestu latach małżeństwa dożywotni sekretarz zaniemógł i konieczne było leżenie w łóżku. Miał dziewięćdziesiąt trzy lata. Choroba zaczęła się zapaleniem opłucnej i trwała tygodniami, w czasie których stan chorego pogarszał się wyraźnie. Zrozpaczona i zupełnie niezdolna do właściwej pielęgnacji

pacjenta Matylda, za radą admirała, zaczęła gorączkowo poszukiwać pielęgniarki. Zadanie nie było proste. Jean- Marie nie należał do łatwych pacjentów, a przy tym nie uważał się za poważnie chorego. Kiedy przeżyło się dziewięćdziesiąt trzy lata, dlaczego by nie doczekać setki? —taki był jego punkt widzenia.

Wybrana pielęgniarka musiała być równie stanowcza co miła, by zmusić go do połykania znienawidzonych leków i przyjmowania czopków tak, jakby to była najprzyjemniejsza rzecz w świecie. Owa nieziemska prawie istota powinna była mieć żelazną rękę w aksamitnej rękawiczce. I wtedy ksiądz Vidis wpadł na pomysł, który najpierw wydawał się genialny, lecz później okazał się zgubny. Pewnego dnia rzekł do zapłakanej Matyldy:

— Dlaczego nie zwróci się pani do karmelitanek w Saint-Ouen? Przecież wspólnie z lady Wandish zawsze wspierałyście je materialnie...

— Niezła myśl! Utrzymuję bardzo dobre stosunki z matką Marie- Josée. To niezwykła kobieta! Jest opiekunką nowicjuszek. Być może znajdzie wśród nich odpowiednią osobę. Ale czy to będzie możliwe? Karmelitanki to zakon kontemplacyjny i zamknięty.

— Droga pani — przekonywał ksiądz — tyle dobrego zrobiła pani dla tego klasztoru, że przełożonej trudno będzie, jestem tego pewien, odmówić małego odstępstwa od sztywnych reguł zakonu. A poza tym jestem przekonany, że równie jak ja ubolewa pani nad libertyńskimi poglądami naszego drogiego pacjenta... Kto wie? Może obecność pielęgniarki zakonnej zbliży go do Boga? W ten sposób zapewnilibyśmy mu fachową opiekę, a przy tym wsparcie duchowe...

— Ma ksiądz całkowitą rację! Natychmiast zamówię samochód. Najpóźniej za godzinę będą przed furtą klasztorną. Alphonse i Honorine zajmą się Jeanem-Marie w czasie mojej nieobecności, ale mimo to chciałabym księdza prosić o pozostanie przy nim do momentu przyjścia admirała. To naprawdę wierny przyjaciel! Od pierwszego dnia choroby odwiedza Jeana-Marie codziennie.

— W braterstwie tych panów z Instytutu jest coś wzruszającego. Może być pani spokojna: zaraz zaciągnę straż przyjaźni u wezglowia zacnego pana Bardora i poczekam na zmianę. Niech pani idzie i wraca z siostrą miłosierdzia!

... Po kilku godzinach siostra była już na miejscu. Nie żadna milutka nowicjuszka, ale sama matka Marie-Josée, która otrzymała specjalne zezwolenie przełożonej na opuszczenie klasztornych murów, by zająć się mężem wielkiej dobrodziejki, której hojność, będąca kontynuacją szczodrobliwości jej ciotki, zapewniała podstawy egzystencji klasztoru. Jednak to nie przełożona wybrała matkę Marie-Josée do tej misji, ale ona sama przedłożyła swoją kandydaturę. „Moim

drogim nowicjuszkom — mówiła — nie brak dobrej woli, ale żadna nie byłaby zdolna właściwie zająć się panem Bardorem. Nie mają żadnego pojęcia o medycynie! Ja tymczasem, zanim poczułam powołanie do stanu zakonnego, odbyłam trzyletni staż w charakterze pielęgniarki w Val-de-Grace. Mam więc prawo sądzić, że jestem najodpowiedniejszą osobą do pielęgnacji czcigodnego pacjenta".

... Czcigodny pacjent zmarł w dziesięć dni po jej wprowadzeniu się do pałacu na placu Stanów Zjednoczonych, ale wówczas matka Marie-Josée, znów uznając się za osobę najlepiej do tego przygotowaną, postanowiła dotrzymać towarzystwa zrozpaczonej wdowie. W rezultacie do klasztoru nigdy już nie powróciła. Krótko mówiąc, drogi mecenasie, dokładnie w chwili, kiedy owa pilnie sprowadzona zakonnica przestąpiła próg tego domu, zaczęły się prawdziwe kłopoty ostatniej z rodu de Raviroux-Luzensac.

... Uroczysty pogrzeb dożywotniego sekretarza odbył się, rzecz jasna, w Saint-Servat. Linie męską reprezentowałem już sam, ale tuż za mną stał cały tłum mężczyzn w czerni lub haftowanych habitach. Ci sami przedstawiciele pięciu Akademii, którzy byli świadkami niecodziennego ślubu, teraz przybyli, by oddać hołd zmarłemu koledze. Homilię wygłosił kardynał Grente, ciągle trwający na swoim akademickim stanowisku. Tym razem pokazał inną stronę swojego niezrównanego talentu oratorskiego. Przed dwudziestu laty wynosił pod niebiosa korzyści małżeństwa siedemdziesięciolatka z podstarzałą panną, teraz mnożył pochwały dziewięćdziesięciolatka, który w królestwie niebieskim cierpliwie czekać będzie na połączenie się z ukochaną małżonką. Następnie „oficjalny” panegyryk wygłosił admirał Ducaze, wykazując się nie mniejszą niż kardynał subtelnością w kreśleniu sylwetki wielkiego męża.

... Wtedy po raz ostatni widziałem Hautefeuille w nienaruszonym stanie. Ani przez chwilę nie przyszło mi wówczas na myśl, że następnym razem ujrzę już tylko wypalone ruiny. Przyjechałem tu dopiero teraz, po dwudziestu dwu latach, by pożegnać zmarłą Matyldę. W tym czasie wydarzyło się mnóstwo niewiarygodnych historii, ale ja już nie byłem ich bezpośrednim świadkiem, ponieważ mnie pierwszego wyeliminowano z jej życia. Postarała się o to matka Marie-Josée, ale jestem pewien, że choć się nie widywaliśmy, uczucia Matyldy do mnie nie uległy zmianie. Czyż testament nie jest tego najlepszym dowodem?... I tak, drogi mecenasie, wyczerpaliśmy temat. Swoją rolę uważam za spełnioną.

— Jestem panu wdzięczny — rzekł Deliot — za przejrzyste przedstawienie osobowości pani Bardor. Doceniam pańskie uczucia i szacunek dla tej osoby. Ju-

tro wieczorem wysłucham pańskiej kuzynki Stéphanie, pojutrze Bei, a w dalszej kolejności Alphonse'a i Honorine.

— Myślę, że ci ostatni najlepiej naświetlą panu dalszy ciąg. Zanim zostali oddaleni przez następców zakonnicy, spędzili z Matyldą jedenaście pierwszych lat jej wdowieństwa jako przerażeni świadkowie wpływu matki Marie-Josée na egzystencję swojej pani.

— Prawdziwa powieść w odcinkach!

— Bez wątpienia! Niestety, o ile pierwsze odcinki są jeszcze barwne i pogodne, o tyle dalsze mogą okazać się smutne, a nawet tragiczne...

TLR

PASOŻYTY

TLR

W następną sobotę Stéphanie poinformowała mnie telefonicznie, że w środę została przyjęta przez Deliota. W ciągu trzech godzin zadał jej mnóstwo pytań dotyczących Matyldy i jej otoczenia. Odpowiadała najlepiej, jak umiała.

— Strasznie ciekawski ten twój stary adwokat! — stwierdziła. — Czepia się najdrobniejszych szczegółów. Mogłam mu dosyć wiernie odtworzyć okres panowania matki Marie-Josée, gdyż wtedy jeszcze utrzymywałam kontakty z Matyldą. Niestety, wszystko się zmieniło, gdy miejsce zakonnicy zajęła panna Rolande Granjo: Matylda rzadko przyjeżdżała wówczas do Paryża i nigdy nie powiadamiała o tym nikogo z rodziny. W czwartek Deliot zadawał podobne pytania Bei, ale rozmowa trwała krótko, co nie powinno cię dziwić. Wiesz przecież, jak trudno wydobyć z niej choć słówko. Cały czas zdaje się błądzić w swoich mistycznych kontemplacjach. Wreszcie wczoraj przyszła kolej na Alphonse'a i Honorine. Przed chwilą był u mnie Alphonse. Powiedział, że ich rozmowa z Deliotem przeciągnęła się do drugiej w nocy. Nic w tym dziwnego, mieli przecież najwięcej do powiedzenia, byli z Matyldą aż do śmierci zakonnicy. Zastanawiam się tylko, czy wszystkie te informacje mogą mu w czymś pomóc... Jesteś pewien, że to kompetentna osoba?

— Uważam go za jednego z najlepszych adwokatów Paryża i nie tylko!

— Skoro tak mówisz... Czy spotkanie, zaplanowane na poniedziałek o siedemnastej, jest nadal aktualne?

— Nastąpiło małe przesunięcie w czasie, spotkamy się w środę. Właśnie w tej sprawie miałem do ciebie zadzwonić.

— Skąd to opóźnienie?

— Nie wiem. Miałem was tylko zawiadomić.

— A więc do środy!

Skłamałem, gdyż chwilę wcześniej Deliot powiedział mi przez telefon:

— Zaczynam wszystko rozumieć. Muszę jednak spotkać się z waszym notariuszem, panem Champenonem de Viry, by wyjaśnić kilka spraw. Jestem z nim umówiony tego samego dnia, na który zaplanowaliśmy nasze zebranie. Powiem

panu w sekrecie, że mecenas Champenon de Viry jest jednym z moich starych znajomych. Razem studiowaliśmy prawo. Wcale nie poczuł się urażony wiadomością, że powierzyliście mi obronę swoich interesów. Mogę pana zapewnić — ale niech to pozostanie między nami — że zgadza się ze mną, iż należy podjąć natychmiastowe kroki w celu tymczasowego wstrzymania sukcesji po waszej kuzynce: To znak, że możemy liczyć na jego przychyłność w naszej sprawie. Jego prawość jest wręcz przysłowiowa. Z pewnością nie podoba mu się, że dobra starożytnego, zacnego rodu, który od lat korzysta z jego usług, mają stać się nagle własnością pasożytów, zupełnie z tym rodem nie skoligaconych. Po poniedziałkowym spotkaniu chciałbym zobaczyć się tylko z panem. Dobrze pan słyszał: tylko z panem! Umówmy się na wtorek po kolacji! Zapoznam pana z niektórymi, nieznanymi mu faktami z życia kuzynki, a dopiero potem spotkamy się w pełnym gronie. Liczę, że pomoże mi pan przekonać innych do mego planu, który przedstawię podczas tego spotkania... Proszę zatem zawiadomić ich o zmianie terminu, nie wspominając jednak o naszym kolejnym spotkaniu w cztery oczy. Mogliby podejrzewać jakieś knowania za ich plecami, podczas gdy nasze sam na sam będzie służyło wyborowi możliwie najlepszej drogi wyjścia z kłopotów, jakie zgotował testament.

— Będę milczał jak grób!

We wtorek, o dwudziestej pierwszej, zjawiłem się u niego. Nie tracąc czasu, przystąpił do rzeczy:

— Za pierwszym razem mówił pan, teraz moja kolej... Zanim przejdziemy do sedna sprawy, powiem tylko, że wczorajsza wizyta w biurze Champenona de Viry należała do najpomyślniejszych, jakie odbyłem w swoim życiu. Z jego ust usłyszałem, że w poniedziałek rano, czyli wczoraj, dzwoniła panna Granjo z zapytaniem, kiedy będzie mogła zająć przyznane jej dobra. Świadczy to o ich niecierpliwości. Im szybciej sprawa zostanie zakończona, tym lepiej dla nich. Nie muszę panu mówić, drogi przyjacielu, że natychmiast poprosiłem Champenona de Viry, by nie był zbyt gorliwy w sporządzaniu wykazu dóbr, dając nam tym samym czas na wypracowanie planu działania...

...A teraz czas dokończyć dziwną historię życia pańskiej kuzynki. Zatrzymaliśmy się w momencie, gdy po pogrzebie męża powróciła do Paryża i znalazła się sama w swojej ogromnej posiadłości na placu Stanów Zjednoczonych... Mówiąc „sama” mam na myśli brak najbliższej rodziny wokół niej. W naturalny sposób prowadzi to do pytania: jak to się stało, że nikt z was — ani kuzynki, ani

pan — nie zaproponował niewątpliwie zrozpaczonej Matyldzie swojego towarzystwa? Obecność życzliwej duszy z pewnością pomogłaby znieść ból. Nie trzeba było nawet mieszkać z nią, ale przecież mogliście zorganizować się tak, by każdego dnia ktoś spędzał z nią kilka godzin.

— Myśleliśmy o tym. Z całej trójki jedyną osobą, która nie miała żadnego konkretnego zajęcia i mogła doskonale grać rolę damy do towarzystwa, była Bea. Podobał się jej zresztą ten pomysł. Powiedziałem o tym Matyldzie, ale ona kategorycznie odmówiła. Nie życzyła sobie także obecności żadnego innego członka rodziny. Mówiła, że jej ból jest zbyt wielki, by mogła go dzielić z kimkolwiek. Po prostu chciała być sama. Wydało mi się to zrozumiałe w przypadku kobiety, która utraciła swoją jedyną miłość. Popełniłem jednak błąd zapominając o czymś istnieniu w jej najbliższym otoczeniu. Zapomniałem o matce Marie-Josée... Jej rola w tym domu była skończona i należało odesłać ją do klasztoru. Tymczasem ona została i jestem pewien, że to za jej podszeptem — od początku wywierała ogromny wpływ na Matyldę — kuzynka odrzuciła propozycję zamieszkania z Beą.

— Z pewnością — zgodził się Deliot. — A więc pozostała zakonnica, a oprócz niej Alphonse, Honorine, Napoleon, kucharka i para odźwiernych, którzy stawali się coraz bardziej przerażonymi obserwatorami szybkiej i niezwyklej przemiany „siostry miłosierdzia”. Również dwie inne osoby spoza domu zauważyły tę zmianę. Był to coraz bardziej zgarbiony admirał Ducaze i ksiądz Vidis, nabierający wraz z tuszą kształtów klasycznego kanonika...

* *
*

Wszystko zaczęło się w sześć miesięcy po śmierci Jeana-Marie Bardora. Przez cały ten czas eks-przełożona nowicjuszek jadała posiłki wspólnie z panią domu, co mogło się nawet wydać uzasadnione, gdyż dzięki swojej niezwyklej sile perswazji potrafiła niekiedy namówić Matyldę, by coś przełknęła. Musi pan bowiem wiedzieć, że korzystając z wymówki, iż brak jej aptetytu, pańska kuzynka postanowiła umrzeć z głodu, gdyż życie bez ukochanego Jeana-Marie straciło dla niej sens. Po posiłkach, rozpoczynanych zawsze modlitwą i kończonych dziękczynieniem, karmelitanka odchodziła w milczeniu do swojego skromnego pokoju na trzecim piętrze, który sama wybrała w dniu przybycia.

„To mi zupełnie wystarczy — powiedziała wówczas do Honorine. — Prawie klasztorna prostota tego pomieszczenia przypominać mi będzie moją celę”.

Każdego ranka Napoleon odwoził panią Bardor w towarzystwie matki Marie-Josée na mszę do kościoła św. Piotra w Chaillot, odprawianą przez kanonika Vidisa. Tam obie łączyły się w modłach za wielkiego zmarłego. Zdarzało się, że do kościoła wracały jeszcze późnym popołudniem, by na nowo oddać się modlitwom.

I nagle, ledwie minęło sześć miesięcy, wszystko zmieniło się diametralnie. Kiedy admirał i ksiądz zjawili się na pierwszym po żałobnej przerwie obiedzie, nie wierzyli własnym oczom, widząc Matyldę w coraz większej żałobie i ową Marie-Josée... Surowa zakonna suknia z grubego materiału zniknęła bez śladu, ustępując miejsca rozchylającej się na ponętnej piersi białej, jedwabnej bluzeczce. Nienagannie skrojone spodnie przylegały do działających na zmysły pośladków, a delikatne, satynowe pantofelki na szpilkach przydawały ruchom gracji. Zniknął też zakonny welon i przepaska, odsłaniając czoło i krótko ścięte włosy przyprószone lekką siwizną. Całości dopełniał dyskretny makijaż, uwydatniający wąskie wargi pozbawione nagle wyrazu miłosierdzia.

Ten widok mógł odebrać apetyt nawet najgłodniejszym... Nic więc dziwnego, że admirał i kanonik zjedli niewiele więcej niż sama Matylda. Zaledwie spróbowali słynnych gruszek Bourdaloue, podanych przez pamięć na zmarłego pana domu! Odmienionej zakonnicy nie przeszkadzało to jednak dogadzać sobie podczas całego posiłku. Siedziała naprzeciw Matyldy, zajmując miejsce pana domu. Można by nawet rzec, że jej nowe odzienie miało więcej z męskiej niż kobiecej elegancji. Wymiana zdań ograniczała się do niezbędnego minimum. Jednak zdumienie obu gości sięgnęło zenitu, kiedy po przejściu do saloniku na kawę Alphonse otworzył pudełko najlepszych cygar: rzecz niebywała w tym miejscu od lat! Lady Wandish nie znosiła zapachu cygar, a więc jej małżonek i królewski kochanek nigdy nie palili w jej obecności. Matylda zaś zaczynała kaszleć, gdy tylko dymek zwykłego papierosa podrażnił jej delikatne gardło. Admirał i kanonik nie palili w ogóle. Pierwszy wolał żuć tytoń w domowym zaciszu, jak na starego wilka morskiego przystało, drugi zaś miał zwyczaj zażywania tabaki w konfesjonale, by zebrać myśli przed zadaniem pokuty. Żaden z nich nie skorzystał więc z oferty Alphonse'a. Tymczasem karmelitanka ochoczo sięgnęła do pudełka i, zanim wybrała jedno z cygar, dotykiem znawczyni sprawdzała każde. Powąchała wybrane, obmacała starannie palcami, wreszcie szarpnęła zębami końcówkę z taką zręcznością, jakby nic innego w życiu nie robiła. Kiedy za pomocą ce-

drowego patyczka Alphonse podał jej ogień, zapaliła i zaciągnęła się z rozkoszą, po czym wypuściła dym nozdrzami. Na widok wyrazu błogości, jaki odmalował się na jej twarzy, admirał wzdrygnął się i zaczął się niebawem żegnać. Kanonik skwapliwie poszedł w jego ślady.

— Co ksiądz kanonik o tym sądzi? — spytał, gdy znaleźli się na ulicy.

— Nic dobrego, admirale.

— Obawiam się, że nasza droga Matyllda nie jest w dobrych rękach.

— Zasięgnę informacji o tej matce Marie-Josée. Odnoszę wrażenie, że nie zamierza wrócić do swojego klasztoru.

— Czy mając taką synekurę, wróciłby ksiądz do zakonu?

— I to właśnie najbardziej mnie niepokoi — westchnął kanonik.

— Nawet nie domyśla się ksiądz, co szepnął mi Alphonse, gdy podawał mi płaszcz! Otóż przed dwoma tygodniami nasza zakonnica opuściła swój skromny pokoik na trzecim piętrze, by zająć komnatę lady Wandish!

— Niemożliwe! Chyba nie powie pan, że śpi też w jej łóżku!

— Ależ tak!

— To skandal! Alphonse musi być przerażony.

— Honorine także! Jak wszyscy zresztą. Z wyjątkiem Matylldy. Ona zdaje się uważać to za zupełnie normalne. Śmierć męża kompletnie pomieszała jej zmysły. Cóż takiego mogła jej zadać ta zakonnica, że akceptuje jej wszelkie poczynania?

— W tym cały problem! — rzekł kanonik. — Najdziwniejsze, że jak zawsze raz w tygodniu spowiadam panią Bardor i niczego podejrzanego nie zauważyłem.

— Mnie to nie dziwi, księżę kanoniku: nie o wszystkim mówi się na spowiedzi!

— Admirale! Taki chrześcijanin jak pan nie powinien mówić podobnych rzeczy!

— Czy spowiada ksiądz także zakonnice?

— Nie.

— Widać nie ma zaufania do księdza. Ciekawe, jaką była przełożoną dla swoich nowicjuszek...

— To bardzo podejrzana osoba! Biedna Matyllda... Po latach skarg na tyranie ciotki teraz dopiero się dowie, czym naprawdę jest tyrania. Oby nie doszło do czegoś jeszcze gorszego!

— Mając sześćdziesiąt lat zachowuje się jak dziecko wymagające opieki kogoś w rodzaju guwernantki, która prowadzi za rączkę, da klapsa lub burę...

— Admirale!

— Ależ tu właśnie o to chodzi, księże kanoniku! Matylda potrzebuje nadal kogoś, kto ją zbeszta, a może nawet ukarze. To chorobliwa potrzeba bycia komuś podległą! Przygasła tylko na parę lat, które po śmierci lady Wandish przeżyła ze swym mężem.

— A może Jean-Marie Bardor także ją strofował?

— Był za mądry na to, by tracić czas na rzecz tak zbędną! Od razu zrozumiał, że to nic nie da w przypadku tak słabej istoty jak Matylda. A poza tym ona go kochała: miłość ułatwia wiele spraw...

— Ma pan rację, admirale: Bóg jest miłością... Ale co możemy zrobić, zanim On przyjdzie nam z pomocą, by uwolnić panią Bardor od tej strasznej istoty?

— Obawiam się, że niewiele... Może powinniśmy odbyć tajemną naradę z udziałem Alphonse'a, Honorine i Napoleona?

— To byłaby konspiracja! Ale możemy spróbować...

Niestety, nawet konspiracja nie przyniosła żadnych rezultatów. Eks-za-konica na serio rozpanoszyła się w domu i w życiu Matyldy. Korzystała z jej naiwności, wrodzonej dobroci, a zwłaszcza — i tu okazała się najbardziej okrutna — z prawdziwego kultu, jakim otaczała zmarłego... „Doradczyni” wbiła jej do głowy, że Pia-Pia nie odszedł, jest tu nadal i wieczorem kładzie się obok swojej ukochanej Matyldy, gdy ta już śpi, i dyskretnie wymyka się o świcie, by jej nie budzić. Odtąd w małżeńskim łóżu, obok poduszki pani, trzeba było układać poduszkę pana. Co rano Marie-Josée przychodziła budzić Matyldę, by pokazać palcem zagłębienie w poduszce zostawione przez Jeana-Marie. Wzruszające zagłębienie, które robiła własną pięścią, zanim pani Bardor zdążyła otworzyć oczy.

Wprawdzie podczas posiłków Jean-Marie nie zasiadał do stołu, ale wyznaczył ją, Marie-Josée, by zajęła jego miejsce obok ukochanej małżonki. Musiała więc porzucić kobiece stroje, skoro sam pan Bardor odwiedził ją w dawnym pokoju lady Wandish, by prosić, żeby założyła spodnie. Powiedział bowiem, że jego żonie potrzebny jest mężczyzna, który opiekowałby się nią, a nie jakaś karmelitanka w habicie.

Wieczorami, po kolacji, Marie-Josée zaciągała Matyldę do salonu. Zapalała żyrandol, w którego świetle błyszcząły piszczałki organów, sadowiła wdowę w fotelu, sama zaś zajmowała miejsce przed klawiaturą i zaczynała grać, usiłując naśladować grę zmarłego. Przez całe lata grała na fisharmonii w kaplicy klasz-

tornej, więc teraz mogła zrealizować swój szatański pomysł. Trwając nieustannie w swoim śnie o miłości, Matylda przymykała oczy i chciwie chłoneła dźwięki jak wówczas, gdy naprawdę grał Jean-Marie... Chciała wierzyć, że słowa Marie-Josée są prawdziwe. „Tak — mówiła sobie — to on siedzi przy instrumencie. Teraz gra tylko dla mnie, bo mnie kocha”.

I coraz bardziej popadała w obłąkanie, którego grunt został starannie i drobiazgowo przygotowany przez inspiratorkę. Nie było napadów szału, wybuchów... Podstawę obłąkania stanowiła niezaspokojona miłość i niespełnione marzenia. Tak dalece ogarnął ją ten dziwny stan, że po jednym z fałszywych koncertów Jeana-Marie pomyślała: „Szkoda, że mój Pia-Pia zapuścił włosy! Był tak czarujący ze swoją błyszczącą w świetle łysiną i wianuszkami loczków... Nie ma też bródki, którą tak lubiłam”.

Kim była matka Marie-Josée? Jakaż posiadała moc, by z takim mistrzostwem realizować plan podporządkowywania sobie Matyldy?

Odpowiedzi wypadało szukać w odległej przeszłości, biorąc pod uwagę jej charakter i ogromne pragnienie kierowania ludźmi, nieprzepartą chęć dominacji. Środki do tego celu nie miały znaczenia. Mogły być nawet najbardziej nieczne.

Podczas praktyki pielęgniarskiej w Val-de-Grace zrozumiała, że nigdy nie zdobędzie takiej władzy nad chorymi, o jaką jej chodziło. Wtedy pomyślała o klasztorze wierząc, że tam materiał ludzki — zwłaszcza przejęte swoim powołaniem nowicjuszek — będzie bardziej podatny na jej manipulacje. Wystarczyło tylko umiejętnie dozować przejawy silnego charakteru przy zachowaniu daleko posuniętych pozorów pobożności, by awansować. Istotnie, marzenia bardzo szybko stawały się rzeczywistością. Wkrótce została przełożoną nowicjuszek, ale nie zamierzała na tym poprzestać. To był zaledwie początek! Tak naprawdę myślała o zajęciu miejsca przełożonej klasztoru, by w końcu — czemu nie? — panować niepodzielnie nad wszystkimi karmelitankami Francji, a może i świata! W tym właśnie stadium marzeń o wielkości — dalekich jednak od mistycyzmu — poznała pannę de Raviroux-Luzensac. Matylda miała wówczas trzydzieści lat, od dawna kochała się w Jeanie-Marie Bardorze, a w klasztorze zjawiała się zawsze w towarzystwie ciotki Wandish, kiedy ta przywoziła swoją ofiarę na potrzeby zakonu w Saint-Ouen.

Nie trzeba było wielkiej bystrości matki Marie-Josée, by ocenić różnicę charakteru między władczą lady Wandish i uległą Matyldą. Zakonnica doskonale rozumiała, że za życia wielkiej damy nie ma żadnych szans. Wiedziała, że ta nie

da jej się wplątać w żadne oszustwo, nawet jeśli będzie ono ukryte pod zasłoną boskiego miłosierdzia. Ograniczała się więc do zapewniania Matyldy, że wszystkie nowicjuszki z klasztoru modlą się w intencji realizacji jej planów małżeńskich. Odtąd właśnie zaczęło się uwielbienie Matyldy do tej świątobliwej kobiety, boskiej służebnicy, osoby wielkiego serca i umysłu, która podniecała jej ziemską miłość do Jeana-Marie. Kiedy wreszcie nadszedł upragniony dzień ślubu, Matylda otrzymała wzruszający dar od zakonnicy: misternie haftowany przez nowicjuszki szal z białego jedwabiu, który miał chronić szyję i gardło znakomitego organisty, gdy będzie uświetniał swą grą uroczystości w lodowatym kościele w Saint- Sulpice. Nawet przy całej swojej bystrości Marie-Josée nie mogła przewidzieć, jak wielką przysługę odda jej kiedyś ów skromny prezent.

Minęło wiele lat. Po śmierci ciotki Matylda nadal odwiedzała klasztor raz w miesiącu i nigdy nie omieszkała spotkać się z uwielbianą zakonnice. Ta zaś syczyła w nią swoje pobożne rady, stając się kimś w rodzaju jej duchowego przewodnika, o czym Matylda nie wspomniała księdzu Vidisowi, którego rolę ograniczyła do cosobotnich spotkań przy konfesjonale: zadania pokuty i udzielenia rozgrzeszenia. Matka Marie-Josée nie rozgrzeszała, ona czekała. I to tym niecierpliwiej, że marzenia o pięciu się w górę po szczeblach zakonnej kariery przestały nabierać realnych kształtów. Przełożona dała jej właśnie do zrozumienia, że pierwszą zasadą każdej karmelitanki jest pokora. Nie korespondowało to oczywiście z charakterem naszej ambitnej nad wyraz zakonnicy, którą przestały już bawić podrzędne funkcje. Wówczas zaświtała jej myśl o wśliznięciu się w otoczenie bogatej pani Bardor. Właśnie wtedy dożywotni sekretarz znalazł się w stanie wymagającym fachowej opieki i przerażona małżonka poprosiła o pomoc... Tego dnia, kiedy Napoleon ruszył spod klasztoru z dwoma pasażerkami, Marie-Josée przysięgła sobie, że nigdy tam nie powróci. I dotrzymała słowa.

Po to, by przeprowadzić swe szeroko zakrojone plany, nie potrzebowała współpracownicy. Od dawna zresztą wiedziała, że kobietom nie należy ufać, a praktyka pielęgnarska w Val-de-Grace tylko utwierdziła ją w tym przekonaniu. Potrzebowała jedynie niegłupiego sprzymierzeńca, którego celem byłoby wyrwanie się z życiowej szarzyzny. Tylko od takiego mogła oczekiwać oddania i posłuszeństwa. Ów człowiek wypełniałby misję, których nie powinna podejmować się niedawna przełożona nowicjuszek, jeśli nie chciała narażać na szwank swej godności. Przynajmniej w oczach pani Bardor! Pozostali — kuzyni i kuzynki wdowy, emerytowany admirał i brzuchaty kanonik, a już najmniej służba — nie mieli

żadnego znaczenia. W krótkim czasie zniweczy ich wpływy, jeśli tylko znajdzie właściwego człowieka do pomocy.

Taki człowiek znalazł się bardzo szybko w osobie jej własnego siostrzeńca, Charlesa Vauchessera. Był to bystry chłopiec! Szybko zrozumiał, że nie ma dla niego przyszłości w policji, gdzie pokonał już pierwsze szczeble hierarchii, ale podobnie jak jego ciotka w klasztorze, nie zamierzał czekać całe lata na znaczący awans. Nie miał zatem czego szukać w policji, gdzie awans jest nagrodą za długie lata oddanej służby. Kiedy więc znalazł się na ulicy, napisał do ciotki, której nowy adres wskazywał, że znalazła klasztor znacznie bogatszy niż ten w Saint-Ouen. W odpowiedzi Marie-Josée wyznaczyła dyskretne spotkanie wczesnym popołudniem — czas sjęsty Matyldy — w piwiarni na placu Trocadéro. Zakonna ciotka zjawiała się w czarnej pelerynie skrywającej ramiona i spodnie. Jej elegancja nie uszła uwagi byłego policjanta. Natychmiast zwęszył bogactwo.

TLR

— Nieżle się urządziłaś! — rzekł bez ogródek. — Mam nadzieję, że nie dasz zdechnąć siostrzeńcowi, który zawsze darzył cię bałwochwalczym szacunkiem...

— Nie martw się, mały! Już niedługo będę mieć coś godnego ciebie, ale jeśli chcesz, bym zajęła się tobą, musisz przysiąc, że zrobisz wszystko, co każę.

— Przysięgam!

— Posłuchaj więc...

* *

*

— Trudno mi powiedzieć, ile trwała ta dziwna rozmowa — rzekł mecenas Deliot — ale rozstając się, każde było na swój sposób zadowolone ze spotkania. Charles Vauchesser uśmiechał się z ulgą, a na ustach Marie-Josée wykwitł uśmiech sardoniczny. Ten szczegół poznałem niedawno w czasie rozmowy z Alphonsem. Tego dnia miał bowiem wolne i przypadkowo przechodził przez plac Trocadero, gdzie zobaczył zakonnicę żegnającą się z nieznanym młodzieńcem, którego już wkrótce miał poznać.

— Czyż to nie ten Vauchesser, który niebawem został administratorem dóbr Matyldy i zarządcą niezliczonych nieruchomości w Paryżu?

— Ten sam! Zna go pan?

— Nie osobiście, gdyż po pewnym obiedzie, na który Matylda zaprosiła mnie w osiem miesięcy po śmierci męża, zostałem skreślony z listy osób mających prawo odwiedzać panią Bardor.

— Proszę mi o tym opowiedzieć! Czy zdarzyło się coś złego między tą zakonnicą i panem?

— Nawet bardzo złego! Na początku muszę zaznaczyć, że nie byłem tego dnia w najlepszym nastroju. Wcześniej zadzwoniłem do Stéphanie, by powiedzieć jej, że wybieram się do Matyldy, co skwitowała słowami: „Cieszę się! Sam więc zobaczysz, co się tam dzieje”. Wiedziałem, że dwaj muszkietierowie przyjaźni — admirał i kanonik — nie przyjmowali już zaproszeń do pałacu na placu Stanów Zjednoczonych. Matylda oczywiście niczego się nie domyślała i ciągle ponawiała zaproszenia, lecz oni wymawiali się pod różnymi pretekstami. Jednak kanonik nadal był spowiednikiem Matyldy. Spotkałem go kiedyś w alei Marceau.

— Dlaczego ksiądz kanonik — spytałem — nie powie mojej kuzynce, co myśli o tej szalonej zakonnicy?

— Drogi przyjacielu — odparł — próbowałem nieraz, w końcu zrezygnowałem. Zrozumiałem, że pani Bardor jest całkowicie podporządkowana tej diabelskiej kreaturze, a nawet zdaje się przenosić na nią całe uwielbienie, jakim darzyła zmarłego Jeana-Marie! Zaczynam zastanawiać się, czy ktoś nie rzucił na nią uroku. Moim zdaniem jedynym lekarstwem byłoby odprawienie egzorcyzmów nad eks-zakonnica. Nie sądzę jednak, by na to pozwoliła. Potrzebna byłaby też zgoda pańskiej kuzynki, a ona nigdy jej nie wyrazi.

... Przybyłem na plac Stanów Zjednoczonych. W westybulu jak zwykle przyjął mnie Alphonse. Minę miał nie najszcześliwszą.

— Co ci jest, drogi Alphonsie? Czy coś ci dolega?

— To nie dolegliwości fizyczne, panie Hughesie! Cierpię z powodu pani. Ona, za przeproszeniem, zupełnie traci rozum. To wszystko przez „tamta"! Od kiedy tu jest, zawładnęła całym domem. Pani musi siedzieć cicho... Najdziwniejsze jednak, że zdaje się, iż jest jej z tym dobrze. Podczas obiadu sam pan zobaczy, jak ta zwraca się do naszej pani... Gdyby żyła lady Wandish, nigdy nie pozwoliłaby na coś podobnego! To zresztą prawdziwy cud, że został pan zaproszony. Nikogo już nie przyjmujemy z wyjątkiem „siostrzeńca", eks-policjanta, który stał się zaufanym człowiekiem „tamtej". Czy wie pan, że to on wypłaca nam miesięczne należności? Kucharka musi tłumaczyć się z każdego zakupu. To uwłacza nam, którzy służymy w tym domu od ponad czterdziestu lat! Ten siostrzeniec-księgowy nazywa się Vauchesser... Miałby pan zaufanie do gliniarza o takim nazwisku?

— Z pewnością nie powierzyłbym mu zarządzania swoimi finansami! Nie bywa już tutaj admirał, książdz czy dawni akademicy koledzy naszego nieodżałowanego kuzyna?

— Nikt! „Tamta" wszystkich zniechęciła do odwiedzin, by tym swobodniej rządzić. Honorine, Napoleon i ja codziennie spodziewamy się wymówienia. To nie tajemnica, że nie jesteśmy ulubieńcami amatorki cygar. Nie ma jednak odwagi pozbyć się nas. Spędziliśmy tu całe życie! Pani rosła na naszych oczach i, jak tylko sięgam pamięcią, zawsze byliśmy przy niej... „Tamta" wie, że pani nie zniósłaby naszej nieobecności. W przeciwnym razie dawno wypędziłaby nas, a służbę powierzyłaby personelowi wybranemu przez siostrzeńca!

— Powiedziałeś, że to cud, iż zostałem tu zaproszony na dzisiejszy obiad. Czy propozycja wyszła od mojej kuzynki?

— Pan dobrze wie, że pani nigdy specjalnie nie występowała z jakimiś propozycjami, a odkąd „tamta” tu jest, to już w ogóle... Oczywiście zakonnica zasugerowała jej to pewnego dnia. Sam słyszałem, gdyż podawałem akurat do stołu.

— A co z pani kuzynem? — spytała. — Chciałabym go poznać...

— Bardzo go lubię! Zawsze był dla mnie miły... — odpowiedziała pani.

— Proszę więc zaprosić go na obiad! — rzekła zakonnica.

— Nie wiem, czy się pani spodoba... — zaniepokoiła się pani Bardor.

— Zobaczmy... Gdyby tak się stało, nie zaprosimy go więcej! W końcu nie jest pani potrzebny do szczęścia, prawda?

— On też mnie nie potrzebuje...

— Pani w to wierzy? Jestem pewna, że podobnie jak reszta pani rodziny udaje przywiązanie i sympatię z myślą o wyciągnięciu czegoś od pani, tak jak to robi kuzynka Stéphanie...

— Nie on! — zawołała wówczas pani.

— A więc proszę go zaprosić!

Tak właśnie było! — zakończył Alphonse.

— Rozumiem, że dostałem nie lada łaski! Nie sądzę jednak, by przy podobnym cerberze stan ten mógł trwać długo. Zresztą zobaczymy, jak sama powiedziała... Idziemy, drogi Alphonsie!

... Zobaczyłem ją!... Stała sztywno, niemalże na baczność. Obok niej Matylda. W czerni wydawała się całkiem mała. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy dane mi było oglądać tę dziwną zakonnice w cywilnym ubraniu. Wcześniej widziałem ją tylko przelotnie osiem miesięcy temu. Klęczała wówczas przy łóżku, na którym spoczywało ciało Jeana-Marie Bardora w pięknym akademickim stroju. Pamiętałem jej splecione ręce, spuszczonego wzrok... Wyglądała jak rasowa karmelitanka.

Na szczęście, przekraczając próg dobrze znanej mi posiadłości, wiedziałem poniekąd, czego mogę się spodziewać. Nie byłem więc zbyt zdziwiony widokiem pięćdziesięcioletniej kobiety w spodniach, uczesanej na chłopczycę, z pomalowanymi paznokciami i wargami...

— Chyba znasz Marie-Josée... — powiedziała Matylda przedstawiając mnie swojej totumfackiej.

— Możliwe. Czy nie lepiej mówić: matka Marie-Josée?

... Ta spojrziała na mnie ponuro.—

— Zdecydowałyśmy — rzekła kuzynka — że tak będzie lepiej. Tamto było dobre w klasztorze. Teraz, kiedy zrezygnowała ze swego powołania, by poświęcić się tylko mnie, ta forma bardziej mi odpowiada. Nie sądzisz, że jest mniej ceremonialna i dużo przyjemniejsza?

— Z pewnością bardziej poufała...

... Zasiadłem do stołu jako jedyny gość. Marie-Josée zajęła miejsce naprzeciw Matyldy. Podobnie jak w swoim czasie admirał i kanonik, też miałem kłopoty z przełknięciem czegokolwiek. Czułem na sobie wzrok usługującego w głębokim milczeniu Alphonse'a. Czasem nasze spojrzenia spotykały się. W jego oczach widziałem pragnienie odkrycia moich myśli. Nie on mnie jednak interesował, lecz owa kobieto-mężczyzna! Ja zresztą też musiałem ją intrygować, gdyż podnosząc raz po raz oczy znad talerza, rzucała mi przelotne spojrzenia. Moja obecność najwyraźniej nie odbierała jej apetytu. Każde z tych spojrzeń było niczym ukąszenie żmii. W jej oczach było wszystko, z wyjątkiem miłości bliźniego. Musiałem jednak przyznać, że ktoś tak słaby i podatny na wpływy jak moja kuzynka, mógł dostrzec w tej postaci coś fascynującego. Z wyjątkiem urody i elegancji, miała w sobie coś z lady Wandish: władczość, bezwzględność... Widać ten typ kobiety był Matyldzie potrzebny.

— Nic nie mówisz? — spytała Matylda przerywając ciężącą ciszę. — Nie poznaję cię! Zwykle jesteś taki rozmowny...

— Wolę patrzeć na ciebie, kuzynko! Cieszę się, że odzyskałaś spokój i ukojenie po tych ciężkich przejściach. Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Mój ból umrze dopiero wraz ze mną. Na szczęście Bóg zechciał dać mi drogą Marie-Josée. Do ostatniej chwili z godnym podziwu oddaniem pielegnowała mojego Jeana-Marie, a teraz w swojej dobroci opiekuje się mną. Byłam taka samotna! Dzięki niej już nie jestem. Czy wiesz, kto poprosił Boga o przysłanie mi jej? Pia-Pia. Jak widzisz, Pia-Pia nie zostawił mnie na pastwę losu! Za pośrednictwem swojej wysłanniczki czuwa nad ukochaną Matyldą. Nie sądzisz, że Marie-Josée jest nawet trochę do niego podobna?

— Chyba tylko dzięki spodniom...

— Czy przeszkadza panu, że jestem w spodniach? — spytała cierpko zakonnica.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała w mojej obecności.

— Powiedzmy, że uważam je za strój dość dziwny dla zakonnicy. Nie słyszałem, by władze kościelne zwolniły panią ze ślubów. Dla mnie jest więc pani nadal siostrą zakonną i, proszę wybaczyć, ale spodnie zakonnicy nie uchodzą.

— Ale księdza w spodniach byłby pan gotów zaakceptować...

— Niezupełnie. Zostawmy ten strój pastorom protestanckim. Księży katolickich wolę w sutannie. Tak właśnie nosi się kanonik Vidis.

— Ach, ten...

— On też pani nie odpowiada? To przecież taki świątobliwy mąż...

— ... którego jedynym zajęciem jest popuszczanie pasa przy stole!

— Jak widzę, pani też nie stroni od przyjemności stołu.

— To wcale nie jest zabawne! — wtrąciła się Matyllda. — Zasmuciłeś Marie-Josée. Zobacz: nawet łzy napłynęły jej do oczu. W klasztorze musiała wyrzekać się wszystkiego, niech więc teraz korzysta z przyjemności doczesnych! Jean-Marie mówił zawsze, że życie jest zbyt krótkie, by rezygnować z tych nielicznych rozkoszy, jakie nam daje.

— Jak na przykład gruszki Bourdaloue... 1\wój mąż hołdował ciekawej filozofii. Czy siostra podziela moje zdanie?

— Pana Bardora poznałam w ostatnich chwilach jego życia. Trochę za późno na wyrobienie sobie opinii.

— Doprawdy? Sądząc po pozycji, jaką zajmuje pani w tym domu, można by rzec, że chce pani być jego powtórny wcieleniem!

— Ależ tak właśnie jest! — zawołała Matyllda.

— Jeśli tak, to może po obiedzie matka Marie-Josée zechciałaby uraczyć mnie koncertem organowym...

— Marie-Josée gra prawie tak wspaniale jak Jean-Marie. Jeśli ci to sprawi przyjemność to zaraz możemy przejść do salonu...

— Nie! — zaprotestowała zakonnica.

— Dlaczego? Uraziłem panią? Drażni panią moja szczerość? Chyba zapomina pani, że jestem częścią rodziny.

— Dość daleką! Dobrze wiadomo, co oznacza takie pokrewieństwo.

— Cóż takiego?

— Dalecy krewni zawsze są pierwsi przy podziale majątku!

— A pani?

— Ja? Opatrzność zesłała mnie tutaj, by chronić panią Bardor przed jej wrogami. I jestem zdecydowana wypełnić moją misję jak należy.

— Widzę! O ile wiem, znalazła pani wyborczego współnika w osobie własnego siostrzeńca.

— Hughes! — jęknęła Matylda. — Zabraniam ci mówić źle o panu Vauchesserze! To oddany i bardzo dyskretny człowiek. Cudownie zajmuje się moimi sprawami, uwalniając mnie od tych strasznych rzeczy, które wiążą się z zarządzaniem dużym majątkiem.

— Odnosiłem wrażenie, że te sprawy były doskonale regulowane także przed pojawieniem się tego człowieka. Wszystko zdawało się iść zwykłym torem od czasów twojego stryja i ciotki.

— Mecenaz Champenon de Viry to zacy człowiek — odparła Matylda — ale starej daty. Nie bardzo orientuje się w nowoczesnych metodach zarządzania. Charles Vauchesser wywiązuje się ze swoich obowiązków z niezwykłą energią. Nie wiem, jak dziękować drogiej Marie-Josée za znalezienie tak odpowiedniego człowieka.

— Nie przeszkadza ci, że był policjantem?

— Wręcz przeciwnie! To najlepsza gwarancja prawości!

— Hmm... No cóż, droga Matyldo, widzę, że twoim zdaniem wszystko jest w najlepszym porządku. Ja jednak wolę nie mieć nic wspólnego ani z ciotką-zakonnicy, ani z siostrzeńcem-gliniarzem. Pozwolisz więc, że cię pożegnaj. Nie zostanę na deserze, chociaż spodziewam się, że byłby równie wspaniały jak zwykle.

... Podniosłem się z krzesła. Poczciwy Alphonse spojrział na mnie z przerażeniem nie wiedząc, co robić.

— Hughes! — krzyknęła Matylda. — Nie zrobisz mi tego! Jesteś moim jedynym kuzynem! Zawsze miałam do ciebie największe zaufanie.

— Widzę, że bardziej ufasz tej zakonnicy i jej protegowanym, a więc nic tu po mnie. Żegnam!

... Marie-Josée zzieleniała ze złości. Cienkie wargi zwięzły się jeszcze bardziej i wykrzywiły w grymasie nienawiści.

— Kuzynie — powiedziała Matylda purpurowa ze wstydu — proszę cię, nie opuszczaj mnie!

... Wtedy podniosła się Marie-Josée

— Matyldo! — rzekła dobitnie z lodowatym spokojem. — Jeśli ten pan zostanie, to ja odejdę... na zawsze! Będzie musiała pani radzić sobie sama! Pan Vauchesser odejdzie także.

— Nie, nie! — zaczęła płakać. — Nie może pani oddejsć! Potrzebuję pani! Dobrze pani wie, że nie mogę obejść się bez jej cudotwórczej obecności. Wysłał panią Jean-Marie i nie może pani sprzeciwić się jego woli. Iy także, Hughesie, nie odchodź! Wy dwoje stanowicie całą moją rodzinę!

— Będzie musiała pani wybrać, Matyldo! On albo ja!

... Matylda w stanie godnym pożałowania padła jej do nóg. Uczepiła się jej nogawki jak dziecko, które błaga o przebaczenie za popełnienie jakiegoś głupstwa.

— Oczywiście pani, Marie-Josée! — wyrzuciła z siebie wśród łez. — Umarłabym, gdyby nie pani. Jean-Marie, któremu zawsze byłam posłuszna, kazał mi darzyć panią szacunkiem! On był wielki, mądry i taki silny. On wszystko przewidywał... Nie gniewaj się na mnie, Hughesie!

— Nie zamierzam! Ale żal mi ciebie Matyldo! Odchodzę, lecz nigdy o tobie nie zapomnę. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała mnie, daj znać, a przybędę natychmiast. Nie mówię ci „żegnaj”, ale „do widzenia” ufając, że nadejdzie dzień, kiedy zrozumiesz swoje położenie... Niezależnie od tego, co ta jędza naopowiadała ci o mnie, nie oczekuję od ciebie niczego prócz zwykłej przyjaźni, jaką mnie zawsze darzyłeś. Chciałbym, żeby to uczucie przetrwało mimo zerwania stosunków.

— Precz! — krzyknęła Matylda opanowawszy łzy. — Moja Marie-Josée jest aniołem, a nie żadną jędzą, jak ją nazwałaś! Obrażasz ją! Teraz nie odchodzisz już z własnej woli, ale dlatego, że ja cię wyrzucam.

... Nie było już nic więcej do powiedzenia. Wyszedłem z jadalni zostawiając obie kobiety sztywno pochylone nad stołem. Przechodząc przez duży salon, rzuciłem ostatnie spojrzenie w stronę organów, po czym zszedłem na dół. Alphonse podążył za mną. Dogonił mnie w przedpokoju, by podać mi palto.

— Niech jej pan nie opuszcza! — szepnął z trwogą. — To wszystko może się źle skończyć.

— Zostawiam ją pod waszą opieką. Liczę na ciebie, Honorine i na Napoleona... Powodzenia! We trójkę powinniście dać sobie radę.

— „Tamta” jest silniejsza, a jej siostrzeniec to łajdak!

— Zadzwoń, gdyby zdarzyło się coś poważnego, wtedy przyjdę wam z pomocą, mimo że doszło już do tego, iż zostałem wyrzucony przez Matyldę. Nie przywiązuję jednak większej wagi do tej decyzji, gdyż zdaję sobie sprawę, że chwilami sama nie wie, co robi... I to jest najbardziej niepokojące, drogi Alphon-

sie!

TLR

— Czy to był pański ostatni bezpośredni kontakt z kuzynką? — spytał Deliot.

— Ostatni. Stéphanie odwiedzała ją jednak przez całe dziesięć lat panoszenia się tej Marie-Josée. Co trzy miesiące składała jej popołudniową wizytę. Wcześniej musiała jednak umawiać się telefonicznie. Telefon odbierała zawsze zakonnica. Była też obecna podczas całej rozmowy Stéphanie z Matyldą. O żadnym teté -a-teté nie było mowy.

— Czy włączała się do rozmowy?

— Nie. Nigdy nie odezwała się nawet najmniejszym słówkiem. Również na powitanie i na pożegnanie ograniczała się jedynie do skinienia głową. Tak przynajmniej mówiła mi Stéphanie. Po prostu była...

— ... I czuwała! Cóż za organizacja! — stwierdził Deliot. — Wróćmy teraz do poczciwego Alphonse'a. Myślę, że odkryłem coś interesującego, o czym pan chyba nie wie. Dowiedziałem się o tym w czasie piątkowej wizyty starych służących. Jak panu wiadomo, Napoleon, mąż Honorine, zmarł jakoś w rok po Jeanie-Marie Bardorze...

— Tak. Dowiedziałem się o tym od Stéphanie.

— Ale z pewnością nie powiedziała panu, że Alphonse był od dawna kochankiem Honorine.

— Co?

— Tak, tak, drogi przyjacielu! Takie rzeczy zdarzają się nawet wśród wzorowej służby. Lady Wandish miała królewskiego kochanka, dlaczego więc jej oddana pokojówka nie miałaby przyjąć zalotów majordoma?

— A Napoleon?

— Był rogiaczem jak lord Wandish. Na pociechę miał swój samochód: „De-launay-Belle-ville”, a potem „Hotchkiss”. Zresztą nie wiadomo, czy wiedział. Jednak znalazł się ktoś, kto odkrył ten sekret za jego życia. Tym kimś była oczywiście zakonnica.

— Wszędzie wetknęła swój nos...

— Karmelitanka uwolniona nagle od klasztornej rygoru to najniebezpieczniejsza osoba! Taka szuka dla siebie zajęcia. Nasza — ośmielę się tak ją nazwać — natychmiast skorzystała ze swego odkrycia, by rozciągnąć swoją makiaweliczną władzę na bezpośrednie otoczenie pańskiej kuzynki. Gdy tylko Napoleon wydał ostatnie tchnienie, siostrzeniec — zarządca dóbr, wezwał „winowajców”, by poinformować ich, że w swojej łaskawości eks-zakonnica nie tylko

nie zdradziła ich długoletniej idylli pani Bardor, ale

TLR

zasugerowała nawet wdowie, by każdemu z nich podarować dwupokojowe mieszkanie z kuchnią na tym samym piętrze w dochodowej kamienicy przy ulicy Dobroczynności. Dano im do zrozumienia, że mogliby tam żyć spokojnie aż do śmierci, gdyby zdecydowali się przejść teraz na emeryturę. Decyzja należy tylko do nich samych, gdyż czcigodna zakonnica nie ośmieliłaby się odprawić ich po tylu latach oddanej służby. Mieszkając na tym samym piętrze, nie musieliby fatygować się bieganiem po piętrach, gdyby mieli ochotę na spotkanie. Nie można było opracować zręczniejszego planu... W interesie starych służących leżało przyjęcie propozycji, nawet jeśli oznaczało to zależność od Marie-Josée i jej łotrowskiego siostrzeńca. Trudno, będąc w ich wieku, odmówić przyjęcia mieszkania — prawie podwójnego gniazdka miłości — które było przecież zabezpieczeniem starości. To przecież lepsze niż przytułek czy dom starców, nieprawdaż? Alphonse i Honorine przyjęli więc te dobrodziejstwa jeśli nie z wdzięcznością, to przynajmniej w rezultacie trzeźwej oceny własnej sytuacji.

— W zamian za co?

— Nie wyrazili tego jasno w czasie naszej rozmowy, ale poczciwcy dali mi do zrozumienia, że chodziło przede wszystkim o wstrzymanie się od informowania członków rodziny o tym, co działo się w życiu pańskiej kuzynki.

— Zaczyna mnie pan niepokoić! A co się takiego działo?

— Całe mnóstwo rzeczy co najmniej oszałamiających! Czy pańska kuzynka Stéphanie doniosła panu, że Napoleona zastąpiono nowym szoferem?

— Chyba tak, ale przyznam, że nie przywiązywałem większej wagi do tej wiadomości, uznając to za normalną kolej rzeczy.

— Błąd!... Następca był dużo młodszym od Napoleona i raczej ładnym chłopcem. Nie miał wystrzępionych na końcach wąsów i nazywał się André Lapointe, ale mówiono o nim Déde...

— Skąd to przezwisko?

— Wymyśliła je Marie-Josée, a pańskiej kuzynce bardzo się spodobało. Zna pan jej słabość do pieszczotliwych przezwisk: Pia-Pia, Tonton, Fifinet... Pia-Pia odszedł, a Déde miał wszelkie dane, by wejść w coraz bardziej hermetyczny świat Matyldy. Ów Déde był także spokrewniony z zakonnica — zdaje się, że kolejny siostrzeniec — i, o ile wiem, natychmiast zażądał zamiany Hotchkissa na jakiś łatwiejszy w prowadzeniu samochód amerykański.

— Szli z duchem czasu! Czy przypadkiem eks-karmelitanka i...

— Nic z tych rzeczy! Z zebranych przeze mnie informacji jasno wynika, że nie było żadnego intymnego związku między Marie-Josée a jakimkolwiek przedstawicielem płci męskiej. Z wyjątkiem obu krewnych — zarządcy i szofera — nienawidziła mężczyzn. Tamtych zaś tolerowała chyba tylko dlatego, że byli jej potrzebni.

— A kobiety? Czy ich także nienawidziła?

— To zupełnie inna sprawa! — rzekł Deliot. — Jeszcze nie wiem, ale przyznam, że rozmyślałem nad tym. Zastanawiałem się nawet — ale proszę, żeby zostało to między nami — czy nie było czegoś między Marie-Josée i Matyldą. Nie wiadomo też, czy eks-przełożona nowicjuszek nie wyniosła z klasztoru jakichś oryginalnych upodobań... Ale po co szukać klucza do tej zagadki, skoro obie kobiety nie należą już do tego świata? „Pokój ich prochom!”, powiedziałby ksiądz Vidis. Zajmijmy się raczej wyjaśnieniem dróg, które doprowadziły panią Bardor z rodu de Raviroux-Luzensac do popełnienia zbrodni...

— O czym pan mówi?

— Dobrze pan słyszał: zbrodni! Widzi pan, jakie niebezpieczeństwo tkwi w powierzaniu sprawy staremu sądowemu wydze?... Wcześniej czy później wyewszczy coś, co może okazać się bardzo kłopotliwe! Tak, tak! Zaczyna się od dopatrywania się oszustwa w testamencie sporządzonym na korzyść podejrzanych osób i, nagle w toku dochodzenia prawdy, wychodzi na jaw, że w pewnym okresie swego życia szlachetna testatorka ułatwiła komuś zejście z tego świata.

— Ależ to przerażające! To szaleństwo!

— To rzeczywiście było szaleństwo.

— I pan powtórzy to jutro na ogólnym spotkaniu?—

— Chyba nie. Dlatego właśnie zależało mi na spotkaniu z panem w cztery oczy, by poznać pańskie zdanie na temat ewentualnych korzyści płynących z takiego odkrycia. Dodam, że wśród nas będzie jutro świadek tej zbrodni...

— Kto? Stéphanie?

— Nie. Honorine.

— To niemożliwe!

— Drogi przyjacielu, dobrze pan wie, że w całej swojej karierze adwokackiej nie splamiłem się kłamstwem nawet w obronie najszlachetniejszej sprawy.

— A mimo to nie wierzę! Honorine była przecież taka oddana Matyldzie!

— Właśnie dlatego milczała tyle lat. Jediną osobą, przed którą uchyliła rąbka tajemnicy, był Alphonse... Wszak tyle ich łączyło! Ale Alphonse, jak panu wiadomo, zawsze umiał milczeć jak grób. Możemy więc być pewni, że wieść nie rozeszła się dalej. Miał przecież dużo szacunku dla pańskiej kuzynki, a poza tym za nic w świecie nie chciałby, żeby „jego” Honorine spotkało coś złego. Mogła przecież być oskarżona o współudział w zbrodni, bowiem zataiła prawdę przed wymiarem sprawiedliwości.

— Ale jak, u diabła, udało się panu wydobyć z Honorine takie wyznanie w czasie jednej rozmowy?

— Nawet o to nie pytałem, gdyż podobna myśl nigdy nie przyszłaby mi do głowy. To Alphonse namówił ją do ujawnienia prawdy.

— Alphonse? Nie powie mi pan, że to dowód miłości!

— Ależ tak! Właśnie dlatego nakłonił ją do opowiedzenia mi całej historii. Powtarzam panu, że to najuczciwsi ludzie pod słońcem i żadne z nich nie mogło znieść dłużej ciężaru tej tajemnicy. Taka rzecz na sumieniu była trucizną dla ich miłości. Teraz, kiedy Napoleon od dawna nie żyje, a spokojna emerytura uczyniła ich sąsiadami, nic już nie brakowało im do szczęścia. Jedyne, co przyćmiewało tę radość, to właśnie owa zbrodnia popełniona przez ich panią. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak im ulżyło, kiedy Honorine skończyła swoją opowieść. Zrzucili z siebie ciężar noszony od jedenastu lat!

— Ale kogo Matylda zabiła?

— Powoli... Zanim do tego dojdziemy, musimy prześledzić całą drogę, jaką przebyła pańska kuzynka... Tylko wtedy zdołamy zrozumieć jej czyn.

* *

*

Nie tylko Napoleona zastąpili protegowani Marie-Josée. Wkrótce ludzie ekszakonnicy zajęli miejsce pary odźwiernych, których odprawiono, nie przyznając im tym razem prawa do zamieszkania w jednej z licznych kamienic Matyldy. Podobny los spotkał także kucharkę. W ten sposób Marie-Josée doszła do punktu, w którym wystarczyło już tylko doskonalić proces podporządkowywania sobie ofiary. Matylda zaś znajdowała się w takim stadium ekstazy, że nie była już

zdolna zauważyć, iż jej luksusowa posiadłość coraz bardziej przypomina więzienie.

Zdarzało się czasem, że zamiast koncertu organowego, który dla jedynej słuchaczki miał wskrzeszać ukochanego męża, Marie-Josée posuwała się do wywołania jego ducha z zaświatów. Trójnożny stolik, na którym stało zwykle grające pudełko, stanowił idealne do tego miejsce. Oprócz prowadzącej seans Marie-Josée i naiwnej Matyldy wokół stolika zasiadali także dwaj siostrzeńcy — Charles Vauchesser i Déde-szofer — oraz nowa kucharka... W czasie podobnych praktyk hierarchia społeczna zanika: wszyscy są sobie równi. Liczy się tylko osoba prowadząca. Odbywało się to w małym saloniku, gdzie łatwiej o intymny nastrój.

Najpierw gaszono światło, pozostawiając tylko stojącą na niskim stoliczku lampę z abażurem. W ten sposób pomieszczenie tonęło w mistycznym półmroku. Następnie każdy wyciągał ręce nad stolik uważając, by go nie dotknąć i zaczynało się pełne napięcia oczekiwanie. Niepokojąca cisza poprzedzająca zawsze każde nadprzyrodzone zjawisko sprawiała, że biedną Matyldę oblewały zimne poty, by po chwili ustąpić miejsca przyływowi gorąca. Wreszcie — na ogół w bardzo krótkim czasie — Marie-Josée wchodziła w trans i rozlegało się wyraźne stukanie, którego rytm każdego wieczoru był inny.

— Duchu, jesteś tu? — pytała Marie-Josée grobowym głosem.

Oczywiście był. Miało o tym świadczyć coraz głośniejsze stukanie.

Wcześniej już wyjaśniono Matyldzie, że powtarzające się rytmicznie cztery głuchoe odgłosy świadczą o obecności ducha Jeana-Marie.

I takie właśnie uderzenia dawały się słyszeć.

— Może pani do niego przemówić — polecała wtedy Marie-Josée. — Słucha panią...

— To ty, kochanie? — pytała wdowa cichutko swoim strwożonym głosem.

Cztery uderzenia znów się odzywały.

— To on! — mówiła Marie-Josée. — Może mu pani opowiedzieć o wszystkim, co ją trapi. Jest pani mężem i najlepszym przyjacielem z zaświatów. Niech się pani nie obawia z nim porozmawiać!

— Słyszysz mnie, Pia-Pia? — pytała Matylda cienkim głosem. — Czy dbasz o siebie? Uważaj na przeciągi, kochanie! U mnie wszystko w porządku dzięki Marie-Josée, twojej wysłanniczce, i wszystkim tym, których sprowadziła

tutaj, by chronić mnie przed nieprzyjawnymi mi członkami rodziny... Kocham cię!

— Wystarczy na dzisiaj! — Marie-Josée uciniała ledwie zaczęłą rozmowę. — Mówiłam już, że nie wolno zbyt długo męczyć duchów. Rozmowa z nami z miejsca, gdzie się znajdują, kosztuje je zbyt wiele wysiłku.

Rozlegały się odgłosy trzech oddalonych w czasie uderzeń.

— To znaczy, że on też panią kocha — wyjaśniało medium w spodniach.

Po dłuższej przerwie znowu dawały się słyszeć te same poczwórne uderzenia, które wcześniej anonsowały nadejście ducha Jeana-Marie. Potem zapadała cisza.

— Koniec! — oznajmiała wtedy zakonnica. — Duch Jeana-Marie odszedł w swój bezkres.

Po kilku minutach nabożnego skupienia wszyscy wstawali z miejsc, a Déde zapalał kinkiety umieszczone po obu stronach kominka. Nigdy się już nie dowiemy, kto podczas tych spotkań stukał tak tajemniczo. Na Matyldzie owe stuknięcia wywierały jednak niesamowite wrażenie i po każdym seansie w świetle zapalonych lamp jej twarz lśniła od łez.

— Teraz proszę się położyć! — radziła Marie-Josée, nadając swemu głosowi łagodniejsze brzmienie. — Potrzebuje pani odpoczynku. Jeśli jutro będzie pani dla nas miła przez cały dzień, wieczorem usłyszycie pani nowy koncert organowy, jaki przed chwilą zlecił mi duch Jeana-Marie.

W ten sposób aranżowano wieczorne „spotkania” Matyldy z duchem zmarłego męża. Raz kontaktował się z nią za pomocą stukania, czasem zaś wcielał się w „swoją” muzykę. W tych seansach Alphonse i Honorine nie brali, oczywiście, udziału. Może w oczach Marie-Josée uchodzili za nieczyste dusze?

I tak płynęło życie odizolowanej od świata Matyldy. Jedynym jej prawem było codzienne wyjście do kościoła św. Piotra na mszę poranną, odprawianą przez kanonika Vidisa, ale i wtedy nie odstępowała jej Marie-Josée. Do komunii Matylda podchodziła jednak sama, gdyż jej cerber bał się kolejnego afrontu. Dzień, w którym stary kapłan odmówił podania jej hostii, zapadł mocno w pamięć eks-zakonnicy. Tymczasem kanonik postąpił zgodnie z zarządzeniem biskupa, w myśl którego zakonnica samowolnie opuszczająca klasztor i nie zwolniona od ślubów podlega ekskomunice. Komunia była zatem jedynym momentem, kiedy nadzór odbywał się na sporą odległość, bo nawet w czasie spowiedzi Matyldy, zamotana w swoją czarną pelerynę zakonnica stawała możliwie najbli-

zej konfesjonału. „Z tymi światowymi księżmi z Paryża, nigdy nic nie wiadomo! — myślała. Do wszystkiego są zdolni, a już na pewno do wyciągania pieniędzy od swoich grzeszników”.

A fortuna Matyldy była bardzo kusząca, bardzo... Stanowiły ją pieniądze pochodzące z czynszów niezliczonych kamienic w Paryżu i dzierżawy żyznych ziem w Hautefeuille, dochody z obligacji ulokowanych zarówno na giełdzie paryskiej, jak też złożonych w londyńskim Stock Exchange czy bankach Bazylei i Zurychu, a także procenty od obligacji rządowych... Do tego imponującego kapitału dochodziła jeszcze okazała posiadłość na placu Stanów Zjednoczonych, która sama w sobie przedstawiała niezłą fortunę. Sama działka w sercu XVI dzielnicy miała już wysoką wartość, nie mówiąc

o gromadzonych od pokoleń skarbach.

Marie-Josée i jej siostrzeniec-zarządca rozumieli, że Matylda nigdy nie wyrazi zgody na sprzedaż pałacu, jak też nie pozbedzie się organów swojego Jeana-Marie. Miały wartość niemalże relikwii, a ławeczka, na której „maestro” zwykł siadać podczas koncertów, była najdroższą pamiątką dla niepokieszanej wdowy. Była to jedyna rzecz, na której jej naprawdę zależało. Wszystkie inne — w tym portrety przodków oraz konterfekt urodziwej ciotki Wandish — nie miały znaczenia.

Część majątku stanowiły klejnoty; słynna kolekcja rodzinnej biżuterii, na którą złożyły się klejnoty po matce Matyldy oraz po ciotce. Znajdowały się w kasie pancernej filii banku amerykańskiego w Paryżu.

Pewnego dnia Marie-Josée zapalała chęcią obejrzenia tego skarbu. Sama nie posiadała nic, gdyż wstępując do klasztoru musiała złożyć śluby ubóstwa, a Stwórca, któremu się ofiarowała, nie uznał za stosowne podarować jej nawet najskromniejszego pierścionka zaręczynowego.

Ustalono datę wizyty i powiadomiono dyrektora banku. W umówionym dniu Matylda i Marie-Josée w towarzystwie Honorine i Alphonse'a zostały odwiezione przez Déde do banku. Kiedy cała czwórka znalazła się w budynku, poproszono ich o zejście do sali kas pancernych. Na przedzie szedł uzbrojony strażnik i dyrektor we własnej osobie. Obecność Alphonse'a i Honorine okazała się niezbędna. Lady Wandish przekonana, że jej siostrzenica może zapomnieć szyfr lub zgubić kartkę z notatką, powierzyła magiczny kod Alphonse'owi, jedynemu człowiekowi, któremu ufała całkowicie. Honorine zaś była po śmierci lady jedyną osobą znającą historię każdego klejnotu, ponieważ zmarła pani jej właśnie opowiadała szczegółowo o klejnotach, które zakładała. Otwarto kasę i zaczął się

przeгляд kosztowności.

TLR

Z zapartym tchem i wytrzeszczonymi oczami Marie-Josée chłoneła widok zawartości sejfu. Nigdy nie pomyślała, że jedna osoba mogła posiadać tyle przepięknych soliterów, błyszczących bransolet i rzadkich kamieni. Chciwym oczom eks-zakonnicy ukazała się cała rzeka rubinów i szmaragdów oraz imponujący naszyjnik z pięcioma sznurami pereł, duma lady Wandish... Matylda złapała naszyjnik i zawiesiła na szyi Marie-Josée. „Ślicznie wyglądałaby pani w tych perłach!!” - powiedziała. Nagle jednak jakby w obawie, że zakonnica może uznać ten gest za prezent, zdjęła pośpiesznie drogocenny naszyjnik i odłożyła do szkatułki, która jeszcze szybciej powróciła do sejfu. Rozczarowana eks-karmelitanka chwyciła pierwszy z brzegu diament i nie przyglądając mu się nawet włożyła na palec. Miał zastąpić pierścionek zaręczynowy, jaki otrzymują wszystkie narzeczone świata z wyjątkiem wybranek Boga. Po chwili jednak zdjęła go i odłożyła na miejsce. Co nią kierowało? Nie wiadomo. Może odezwały się jakieś skrupuły? Może onieśmieliła ją obecność Alphonse'a i Honorine?

Wkrótce sejf zamknięto i cała czwórka w milczeniu powróciła do samochodu, gdzie cierpliwie czekał Déde. Kiedy jednak Marie-Josée znalazła się w saloniku sam na sam z Matyldą, nie mogła się oprzeć, by nie zadać jej pytania:

— Dlaczego trzyma pani wszystkie klejnoty w sejfie jakiegoś ponurego banku? Jeśli Bóg stworzył diamenty, szlachetne kamienie i drogocenne perły, to właśnie dlatego, żeby cieszyły ludzkie oko. Ukrywanie takich cudowności jest swego rodzaju egoizmem. A egoizm to brzydka przywara!

— Od śmierci Pia-Pia zrezygnowałam z noszenia biżuterii z wyjątkiem tego pierścionka, który sam podarował mi w tym saloniku w dniu naszych zaręczyn. Obnoszenie swojego bogactwa byłoby w równym stopniu niestosowne jak rezygnacja z żałobnego stroju. W głębi serca przysięgam mojemu Pia-Pia, że do końca życia pozostanę w żałobie. Dopiero w dniu, w którym podążę za nim, na nowo przywdzieję białą szatę. Jednym z moich ostatnich życzeń będzie pochowanie mnie w sukni ślubnej. W tym stroju chcę spotkać się z Jeanem-Marie...

— To wspaniałe i bardzo pobożne postanowienie, ale w kwestii kosztownych ozdób jestem innego zdania. Nie sądzę, by biżuteria nie pasowała do czerni. Nic bardziej odpowiedniego dla wdowy, niż naszyjnik z pięcioma sznurami pereł podobny do tego, jaki ma pani szczęście posiadać. To wzbudza większy respekt.

— Tak pani sądzi?

— Jestem tego pewna! Mogłaby pani zabrać ten naszyjnik z banku. Do tego jeszcze dwa lub trzy pierścionki czy diamentowe bransolety, których blask także doskonale odcinałby się od czerni. Posiada pani przecież sekretny sejf za portretem pani matki... Klejnoty byłyby tam równie bezpieczne jak w banku. Oczywiście nie zabierze pani wszystkich kosztowności, gdyż domowy sejf nie pomieściłby ich. Mogłaby pani zostawić w banku tylko rubiny i szmaragdy, które mniej pasują do żałobnej sukni.

— Zastanowię się — odparła Matylda.

Zastanowiła się i, za radą Alphonse'a, zostawiła klejnoty w banku, co bardzo zmartwiło Marie-Josée i rozwścieczyło jej błyskotliwego siostrzeńca-za rządce, który przed wyprawą do banku powiedział:

— Jeśli jest tam rzeczywiście coś wartego zachodu, nakłoń ją do zabrania przynajmniej części. Nie wiadomo, co może się zdarzyć, a klejnoty w zasięgu ręki zawsze mogą się przydać... Nie zajmują wiele miejsca, łatwo je przewozić, nawet wywieźć za granicę... Jeśli cię posłucha, trzeba będzie wrócić tam bez Alphonse'a i Honorine.

— To niemożliwe! Tylko Alphonse zna szyfr!

— Nie martw się, ciociu! Déde i ja zajmiemy się starym. Daję ci słowo, że wszystko wyśpiewa...

* *

*

— Sam pan widzi — rzekł Deliot — jak doborowe towarzystwo zaczynało gotować broń na wielkie manewry.

— Skoro wie pan to, o czym nie miałem nawet pojęcia, proszę mi powiedzieć, czy biedna Matylda została rzeczywiście złożona w trumnie w swojej ślubnej sukni?

— Skąd mogę wiedzieć? Nie widziałem przecież, jak składano ją do trumny, a i was tam wówczas nie było. Zna pan jednak mój upór: jeśli ten szczegół tak pana interesuje, być może uda mi się zdobyć odpowiednie informacje. Trzeba tylko trochę cierpliwości.

— Jak pan sądzi: kiedy miała miejsce ta wizyta w banku?

— Jakies trzy lata po śmierci Jeana-Marie Bardora....

— ... i po wprowadzeniu się Marie-Josée do pałacu na placu Stanów Zjednoczonych. W tym czasie zmarł nieodżałowany admirał Ducaze. Za niespełna sześć miesięcy skończyłby sto lat!

— Strasznie długowieczni ci akademicy!

— Pojechałem na pogrzeb do Saint-Philippe-du-Roule. Trudno tego nie pamiętać! Było pięć przemów: z każdej Akademii jedna... Był przecież dziekanem wszystkich pięciu!

— Domyślam się, że kardynał Grente także zjawił się ze swoim panegirikiem.

— Niestety nie! Nie żył już od trzech lat. To wielka strata dla literatury francuskiej, że w XXXII tomie jego „Dzieł oratorskich i pastoralnych” nie znalazło się ani słowo o admirale Ducaze!

— Czy pańska kuzynka Matylda także wzięła udział w pogrzebie?

— Nie. To z pewnością sprawka zakonnicy: admirał też był w niełasce.

— Szkoda, że nie pożegnała starego przyjaciela rodziny, który przed jej ślubem odegrał tak wspaniałą rolę mediatora między nią a dożywotnim sekretarzem.

— Trudno mieć jej to za złe. To wina jej mentorki. Pomówmy raczej o admirał... Nie można powiedzieć, żeby zostawił po sobie jakieś niezniszczalne dzieło, ale jest coś, co głęboko zapadło mi w pamięć. Pewnego wieczoru, tuż przed koncertem organowym Jeana-Marie Bardora w posiadłości jego żony, powiedział coś zaskakującego. Pamiętam, że staliśmy razem obok bufetu. Patrząc na swoje apetyczne skrzydełko z kurczaka, stary żeglarz rzekł: „Widzi pan, młody człowieku, nawet w moim wieku nie wiem jeszcze, czy przynależność do Akademii Francuskiej może się opłacać, ale jest jedna niekwestionowana korzyść: jako członek Akademii Francuskiej mam zapewnione kolacje w najlepszych domach!”

— To brzmi jak wyznanie wiary! Wróćmy jednak do pani Bardor. Z rozmowy z pańską kuzynką Stéphanie wywnioskowałem, że Marie-Josée nie zdołała jednak poznać do głębi charakteru Matyldy. Świadczy o tym niepowodzenie planów sprowadzenia biżuterii. Stéphanie też była zdziwiona, że kobieta o tak awanturnicznym umyśle nie zdawała sobie sprawy, że łatwowierność Matyldy musiała mieć automatycznie swoją drugą stronę medalu: nieufność. Nieufność wrodzoną! Matylda była przesiąknięta nieufnością do szpiku kości, co jest raczej naturalne u dzieci pozbawionych rodzicielskiej miłości. Z wyjątkiem stryja Wandisha, który zabrał ją do

cyrku, nie ufała nikomu. Nawet spowiednikowi. W jej środowisku spowiedź stanowiła część obyczaju, więc i ona miała swojego spowiednika, ale było to tylko podporządkowanie się ustalonym regułom, nic ponadto! Dla niej nie miało to nic wspólnego z zaufaniem.

Powiedział pan, że była dobra... Czy na pewno? Prawdziwie „dobra” istota działała świadomie, bo wie, czego chce. Trudno powiedzieć tak o Matyldzie, która zawsze działała pod dyktando otoczenia i — z wyjątkiem uporu w dążeniu do małżeństwa z Bardorem — nigdy nie podjęła żadnej samodzielnej decyzji!

Tłumaczył mi też pan, że należała do kobiet, które kochają tylko raz... To prawda: kochała tylko „swojego” Pia-Pia. Ale stąd wszystkie jej nieszczęścia, gdyż po jego śmierci owa miłość przerodziła się w obłęd, z którego Marie-Josée umiała wyciągnąć korzyści. Wystarczyło dotknąć jej czułego punktu wspomnieniem Jeana-Marie, by otrzymać zgodę na wszystko... Mimo że zwyczajem ludzi słabych ustępowała, to w głębi duszy czuła się wyzyskiwana.

Zakonnica i jej siostrzeńcy zasiali w jej świadomości paniczny strach przed piekłem. Piekło było wokół niej, osaczało ją ze wszystkich stron... To była prawdziwa udręka!

Pozwoliłem sobie, drogi przyjacielu, na tę małą analizę charakteru pańskiej kuzynki, by sam pan zobaczył, jak wielkie było jej posłuszeństwo względem swojego otoczenia, skoro z jego woli posunęła się nawet do czynu przestępczego. Bez dogłębnej analizy osobowości pani Bardor trudno w ogóle zajmować się tą sprawą.

... Proszę nie zapominać, że eks-karmelitanka wbiła jej do głowy rzecz prostą, a jednocześnie bardzo niebezpieczną: przekonała ją o wrogim nastawieniu wszystkich członków rodziny, a siebie i swoich wybrańców ukazała jako jedy-nych przyjaciół. Nikt poza nimi nie był zdolny zapewnić jej szczęścia i spokoju w takim stopniu, jak tego sobie życzył zmarły Jean- Marie. Czasami tylko odzywała się w Matyldzie wrodzona nieufność, o czym świadczy incydent z klejnotami, które uparła się trzymać w bankowym sejfie.

Jeśli Marie-Josée i jej siostrzeniec-zarządca sądzili na początku, że wszystko pójdzie stosunkowo gładko, to po siedmiu latach musieli doznać dużego rozczarowania. Wcale nie było rzeczą łatwą zagarnąć fortunę, którą ulokowano w naj-
różniejszych miejscach i pod przeróżnymi postaciami.

A poza tym, mimo usunięcia członków rodziny z życia Matyldy, ich prawo do dziedziczenia nie uległo najmniejszej zmianie. Działania oszustów zmierzały więc w kierunku nakłonienia Matyldy do zmiany testamentu. Ale czy istniał

wówczas jakikolwiek testament? Bardzo wątpliwe. Gdyby rzeczywiście po śmierci męża nie spisała swojej ostatniej woli, to w świetle prawa cały ogromny majątek należałby do rodziny.

... Jeśli mówimy „testament”, trzeba też wspomnieć o mecenasie Champenon de Viry, człowieku głęboko oddanym pańskiej rodzinie przez pamięć na kontradmirała de Raviroux-Luzensac i jego małżonkę oraz lorda i lady Wandish, których Matylda była jedyną spadkobierczynią. W czasie naszego wczorajszego spotkania wyznał mi, że w miarę swoich ograniczonych możliwości starał się przeszkadzać w poczynaniach i zamysłach Charlesa Vauchessera, chociaż ten był tylko marionetką, a za sznurki pociągała ciotka o diabelskiej duszy. Muszę przyznać, że udało mu się ocalić większą część fortuny. Niestety, sytuacja skomplikowała się w momencie, kiedy „opiekę” nad Matyldą przejęła panna Granjo wspólnie z księdzem Loratem. Im udało się namówić pańską kuzynkę do sporządzenia testamentu, do czego eks-karmelitanka i jej siostrzeńcy nigdy nie zdołali jej nakłonić.

... Zostawmy jeszcze te dwie postacie, powrócimy do nich w momencie odkrycia ostatnich kart, które być może pozwolą nam wyjść z impasu. Przypominam, że nie obiecywałem cudu, ale w najgorszym razie mogą państwo liczyć na pewne korzyści. Zostańmy jeszcze przy zakonnicy i jej klice... Kiedy plan przejęcia klejnotów zakończył się fiaskiem, trzeba było wymyślić coś innego. Wtedy w głowie siostrzeńca zrodził się mistrzowski pomysł podpalenia Hautefeuille! Trzeba przyznać, że to oszustwo było swego rodzaju majstersztykiem. Dodajmy, że kuzynka Matylda widziała tylko ogień...

* *

*

Zgodnie z odwieczną tradycją każdego lata przyjeżdżano na wakacje do Hautefeuille. Mimo upływu czasu niechęć Matyldy do tej posiadłości ani trochę nie przygasła. Wiele razy mówiła nawet o tym Marie-Josée i Charlesowi, który nie ukrywał zresztą swej dezaprobaty:

— To wspaniała posiadłość! — mówił. — Sam dworek jest prawdziwą perłą architektury XVII wieku...

Z zebranych informacji wynikało, że majątek Hautefeuille — rzadko spotykane meble, przepiękne gobeliny i kilka starannie wybranych płócien: La Tour, Drouais, dwa dzieła Greuze'a i Vigée-Lebrun — był dobrze ubezpieczony u Lloyda w Londynie. Zajął się tym przed czterdziestu laty drogi lord Wandish. Wprawny złodziejasek, jakim był siostrzeniec, już na pierwszy rzut oka wykluczył meble i gobeliny jako zbyt kłopotliwe w transporcie, po czym skupił się na znacznie łatwiejszych do spieniężenia za granicą obrazach. Pozostał tylko problem zorganizowania wszystkiego tak, by właścicielka nie domyśliła się kradzieży. Wychodząc z założenia, że najcieńniej zawsze pod latarnią, wpadł na pomysł przeprowadzenia całej operacji na oczach wszystkich. Trzeba było wymyślić coś, co w środku nocy postawiłoby na nogi i wpędziło w panikę cały dwór i okoliczną ludność. Oczywiście wcześniej — jakieś pół godzinki przed biciem na alarm — należało starannie wyjąć najciekawsze płótna, wynieść z budynku i umieścić w ciężarówce, która podjechałaby na zgaszonych światłach i tak samo odjechała w nieznanym kierunku z cennym ładunkiem.

Cały plan został po mistrzowsku zrealizowany przez „zarządcę” dóbr pani Bardor przy współudziale jej szofera Déde. Trzeci współnik — czyżby kolejny siostrzeniec zakonniczy? — był w tym wypadku kierowcą ciężarówki. W wielkiej tajemnicy przed Alphonsem przygotowania trwały od pierwszego dnia przyjazdu do Hautefeuille. Kiedy wszystko starannie opracowano, podpalenie zabudowań było już tylko dziecinną zabawką. W mgnieniu oka przepiękne, starodawne boazerie pokrywające ściany stanęły w ogniu! Łajdacy zaplanowali wszystko: nawet moment przebrania się w piżamy! Po podpaleniu wystarczyło więc wybiec z pokoi i, udając przerażenie, krzyknąć: „Pożar!”

Trwająca od dawna w pogotowiu, ale także w dezabilu, Marie-Josée rzuciła się natychmiast na ratunek śpiącej w swoim pokoju Matyldzie. W nocnej koszuli sprowadziła ją po schodach i wyprowadziła na zewnątrz. Na szczęście noc była ciepła o tej porze roku. Alphonse zajął się Honorine, a Déde „poświęcił” ratowaniu kucharki, która ukazała się nie tylko w nocnym stroju, ale też w papilotach na głowie. Krótko mówiąc, wszyscy znaleźli się na dziedzińcu, patrząc z przerażeniem na płonący dwór na tle usianego gwiazdami nieba.

Zanim okoliczni mieszkańcy zostali zaalarmowani biciem dzwonu z oddalonego o trzy kilometry Sain-Sevrat, zanim przybiegli na miejsce i utworzyli sze-

reg, podając sobie z rąk do rąk wiadra z wodą, zanim, po prostu, rozpoczęto akcję gaszenia pożaru, minęło sporo czasu... Dokładnie tyle, ile zaplanowali organizatorzy, by rankiem pozostały z Hautefeuille tylko dymiące mury i zgliszcza. Widok był przerażający!

Matylda patrzyła na płonący dwór z obłędem w oczach. To prawda, że go nie lubiła, ale właśnie tam wydano lunch z okazji jej ślubu z Jeanem- Marie i to wspomnienie zawsze było jej drogie... Na myśl o tym wybuchnęła płaczem, a Marie-Josée objęła ją prawie matczynym gestem.

— Przykro patrzeć, jak ginie tak wspaniała posiadłość wraz ze swymi pamiątkami i cennymi przedmiotami — powiedziała.

— Nie dbam o budynek! — krzyknęła Matylda. — Gdyby to ode mnie zależało, nigdy moja noga nie powstałaby tutaj! Płaczę z powodu Jeana- Marie, który spoczywa trzy kilometry stąd. On także nie lubił tego dworu. Mówił, że nudzi się tutaj... Najgorsze, że został pochowany w krypcie kościoła, którego także nienawidził. Twierdził, że fisharmonia brzmi fałszywie i nawet najlepszy chór, który sprowadził z Paryża na nasz ślub, nie zdołał, jego zdaniem, poprawić muzycznej oprawy tej uroczystości. Nie mógł znieść ani jednego fałszywego tonu!

— Miał rację — zgodziła się Marie-Josée. — Fałszywe tony mogą zabić największą miłość... Ach, kochany Jean-Marie! Ale pani, moja droga Matyldo, wcale nie musi się martwić z jego powodu. Potrafi pani wierzyć, że tkwiłby biernie w nudnej krypcie? Znając go, możemy być pewne — pani i ja — że wcale go tam nie ma! Cóż miałby robić w towarzystwie pani rodziny? Jak wszyscy wielcy artyści, Pia-Pia ma cygańską duszę: potrzebuje ruchu. Sama pani mówiła, że nie wytrzymał długo w jednym miejscu. Dawno musiał więc wyjść ze swojej trumny. Czyż nie odwiedza nas regularnie w Paryżu? Raz wciela się w moją postać, by cieszyć panią swoją muzyką, innym razem rozmawia z panią za pomocą stukania w stół. Chce pani wiedzieć, co myślę? Wydaje mi się, że to on podpalił dworek tej nocy. Dlaczego? Dlatego właśnie, że go pani nie lubiła. Chciał wreszcie raz na zawsze uwolnić ją od niego. Nie trzeba już będzie przyjeżdżać tutaj na wakacje dla podtrzymania rodzinnej tradycji. Nie ma Hautefeuille! Chodźmy! Déde wyprowadza buicka z garażu i odwiezie nas do miasteczka. Znajdziemy tam jakieś schronienie, gdzie odpocznie pani nieco po tej piekielnej nocy. A kiedy zdobędziemy jakieś ubrania — nasze, niestety, spłonęły — najlepiej byłoby wrócić do Paryża. O sporządzenie wykazu strat nie musi się pani martwić. Wszystkim zajmie się Charles wraz z pani agentem ubezpieczeniowym. Możemy tylko cieszyć się, że w polisie, która, nawiasem mówiąc, jest bardzo korzystna,

pani stryj przewidział wszelkie możliwe nieszczęścia. Kwota należna tytułem odszkodowania pozwoli pani odbudować Hautefeuille...

— Nigdy w życiu!

— Rozumiem. Lepiej nie wracać do nieprzyjemnych miejsc... Gdyby jednak zależało pani na jakiejś posiadłości, moglibyśmy kupić lub wybudować coś nowocześniejszego, wygodniejszego i przede wszystkim bardziej funkcjonalnego.

— Całe życie spędziłam wśród wielkich pokoi, salonów... Nienawidzę wielkich domów!

— Dlatego, że mieszka pani sama... mnie nie można uważać za towarzystwo, chociaż jestem pani oddaną przyjaciółką... Ale możemy znaleźć inny cel dla pani pieniędzy. Mogłaby pani na przykład przeznaczyć je na jakieś towarzystwo dobroczynne... Dobrze byłoby nadać mu imię naszego wielkiego zmarłego... Fundacja Jeana-Marie Bardora, to brzmi imponująco. Co pani o tym sądzi?

— Tylko pani może mieć tak cudowne pomysły, Marie-Josée ! Widzę, że przemawia przez panią prawdziwa potrzeba niesienia pomocy innym! W tej fundacji znalazłaby pani ujście dla zaspokojenia swoich świętych pragnień... Ale kim miałyby się zajmować ta fundacja?

— Starymi muzykami. Łączyłaby emerytowanych organistów. Chyba że jest już coś w tym rodzaju...

— Nie sądzę, ale nie zgadzam się na taki kształt fundacji. Mój Jean- Marie twierdził, że dobra muzyka nigdy się nie starzeje, a samo słowo „emerytura” uznawał za najgorszy wymysł.

— Dlaczego więc nie pomyśleć o samotności wdów po muzykach?

— To już lepiej... Te kobiety są chyba równie nieszczęśliwe jak ja.

— Tak właśnie jest! I jeśli pani, mając po temu odpowiednie środki, zrobi ten dobroczynny gest, zyska ich dozgonną wdzięczność. Gdyby wszystkie wdowy po artystach, wdowy po muzykach, malarzach, rzeźbiarzach i innych zechciały połączyć się stosownie do specjalności swoich zmarłych mężów, łatwiej znosiłyby samotność. Kiedyś nawet pewien poeta wyraził to ten sposób:

*Gdyby wszystkie wdowy świata
W wielkim kręgu swoje dłonie
Zapraagnęły dziś posplatać
Nie dojrzałby nikt, gdzie koniec!*

— Brawo, Marie-Josée! Recytując wiersze, znowu przypomina mi pani mojego Pia-Pia! On sam był poetą... klawiatury. Niezwłocznie przystąpimy do tworzenia tej fundacji.

— Powiem o tym Charlesowi. Z jego zdolnościami organizatorskimi poradzi sobie z tym lepiej niż ktokolwiek inny. Zadanie nie będzie proste, ale na mojego siostrzeńca możemy liczyć. Jestem pewna, że Jean-Marie Bardor z przyjemnością poparłby nasz projekt.

— On? Był samą dobrocią i uosobieniem szlachetności! Kiedy któryś z jego akademickich kolegów popadał w kłopoty, Jean-Marie mówił: „Jego nieszczęścia wynikają z tego, że na swej drodze nie spotkał kochanej Matyldy! Ona opromieniłaby mu stare lata!”

— Święta racja, Matyldo! To był człowiek wielkiego serca.

Siostrzeniec-zarządca przyłączył się do szlachetnego pomysłu z entuzjazmem.

— Widzę dwie możliwości — powiedział — budować albo kupić jakąś większą posiadłość może nawet dworek...

— Tylko nie dworek! — ucięła Matylda. — Już nie! Złe wspomnienia z Hautefeuille wystarczą. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo się tam nudziłam. Tak samo było ze stryjem i ciotką! Przyjeżdżali tam tylko z obowiązku wierząc, że robią tym przyjemność okolicznej ludności, której tak naprawdę było zupełnie obojętne, czy jesteśmy, czy nie. Wszyscy Raviroux-Luzensac nudzili się w Hautefeuille! A zatem już postanowione: nie będzie dworu dla wdów po artystach tej miary co Jean-Marie!

— Więc może duży dom w mieszczańskim stylu? — podsunął szybko siostrzeniec-zarządca, dla którego nie stanowiło to wielkiej różnicy.

Podobnie jak jego ciotka-zakonnica zrozumiał, że nie należało otwarcie przeciwstawiać się rzadko dochodzącej do głosu woli Matyldy. Lepiej było okrężnymi drogami dążyć do zmiany jej zdania, zwłaszcza że wszelkie dyskusje szybko ją męczyły i w końcu godziła się na wszystko. Chociaż nie zawsze, czego dowiódł incydent z biżuterią... Zakonnicy i jej siostrzeńcowi bardzo zależało na tej fundacji, w której widzieli wreszcie szansę na osiągnięcie szybkich korzyści.

— Moim zdaniem — ciągnął siostrzeniec — ten duży dom powinien znajdować się w rozległym parku otoczonym wysokim murem, by nikt nie niepokoił owych dam.

— Tak, park musi być otoczony bardzo wysokim murem — zgodziła się Matylda — aby nikt nie zakłócał spokoju szacownych wdów.

— Czy według pani ta posiadłość musi koniecznie znaleźć się we Francji?

— Oczywiście! Cóż za pytanie?! Czyż mój Jean-Marie nie był Francuzem?

— Spytałem dlatego, że zdawało mi się, iż chodzi pani o swego rodzaju dom wypoczynkowy, a więc klimat odgrywałby poważną rolę. Nie wyobrażam sobie naszej fundacji na przykład gdzieś w sercu Owernii czy na wysokich płaskowyżach Cevennes, chociaż wszystko jest możliwe... Ale co powiedziałyby pani na Lazurowe Wybrzeże?

— Tam jest zbyt dużo ludzi! Trzeba jakiegoś zacisznego zakątka!

— Pani Bardor ma całkowitą rację — wtrąciła Marie-Josée, po czym zwróciła się do Matyldy. — A Szwajcaria? Jak podoba się pani ten pomysł? Czyż nie słynie ze swojej zaciszności? Klimat nad Jeziorem Lemańskim uchodzi za jeden z najprzyjemniejszych w świecie.

— Szwajcaria? — powtórzyła Matylda z nagłym ożywieniem. — To genialny pomysł, Marie-Josée! Nie pierwszy raz podsuwa mi pani tak cudowne rozwiązania! Nie zgadzam się jednak na Jezioro Lemańskie. W Szwajcarii lubię tylko jezioro Neuchatel. Mojemu Pia-Pia też się podobało. Tam...

Zaląła się łzami.

— Już dobrze, moja kochana Matyldo! — szepnęła Marie-Josée. — Co tam się wydarzyło?

— Tam... tam... — jąkała się Matylda. — Nie mogę tego opowiedzieć! Jako była zakonnica nie umiałaby pani zrozumieć.

— Jest pani pewna? Zacytuję więc innego poetę: „Tylko wielkie miłości prowadzą do nieba...” Pomyślała pani o droгим Jeanie-Marie, którego pokochała w Neuchatel?

— To było na ławce...

— Na ławce? No cóż, kochać można wszędzie!

Siostrzeniec Charles poczekał, aż potok łez wyschnie, by powrócić do tematu.

— Wyborna myśl! Posiadłość nad jeziorem Neuchatel to wręcz idealne miejsce dla naszych planów!

— Zna pan Neuchatel? — spytała żywo.

— Nie, ale mogę je sobie wyobrazić. To musi być wyjątkowo czarujący zakątek.

— Niesłychanie romantyczny. Jest tam także hotel, gdzie mieszkałam ze stryjem i ciotką, a potem z Jeanem-Marie. Nie wiem, czy jeszcze istnieje...

— Dowiemy się — zapewnił Vauchesser.

— Moglibyśmy kupić ten hotel — zapaliła się Matylda. — Przerobienie go na siedzibę Fundacji Jeana-Marie Bardora nie byłoby wcale trudne. Hotel ma wiele pokoi, a na parterze także salony oraz dużą jadalnię z tarasem i widokiem na jezioro. Przy sprzyjającej pogodzie można tam naWet jadać posiłki. Już widzę te szlachetne damy w czasie obiadu na tarasie: są wesołe, uśmiechnięte, szczęśliwe...

— I taka powinna być nasza fundacja! — podchwycił siostrzeniec. — Wesoła, jak wesołym człowiekiem był pan Jean-Marie Bardor.

— To był prawdziwy figlarz, jak już wielokrotnie mówiłam. Jego akademiccy koledzy nazywali go nawet „wesołkiem z nabrzeża Conti”. Nie mamy czasu do stracenia, jeśli chcemy, by powstała nasza fundacja. Niech pan zasięgnie informacji o tym hotelu, drogi Vauchesser!

Po tygodniu zarządca wrócił w radosnym nastroju.

— Wracam z Neuchatel. Mam wspaniałe wieści dla pani, madame Bardor! Otóż hotel jest do sprzedania, jako że nie ma spadkobierców po zmarłych właścicielach. Praktycznie rzecz biorąc, już należy do pani, jeśli nadal trwa pani w swoim postanowieniu.

— Żadna nowina nie mogłaby sprawić nam większej radości— rzekła Marie-Josée — prawda, Matyldo?

— O, tak! — zgodziła się.

— Rozmawiałem już w sprawie kupna... Oczywiście trzeba będzie przygotować sporą sumę i tylko we frankach szwajcarskich, ale w końcu inwestycja w Szwajcarii jest najlepszą lokatą. Biorąc pod uwagę wieczną fluktuację pieniądza we Francji, jest to dla nas nawet pewne zabezpieczenie. Musimy jednak szybko zabrać się do dzieła, żeby nas nikt nie ubiegł.

— Proszę więc zająć się tą sprawą! — zdecydowała Matylda.

— Zawsze do usług! Potrzebna jest tylko pani pisemna zgoda, bym był jej pełnomocnikiem, poświadczona przez notariusza, mecenasa Champenona de Viry. Kiedy podpisze pani ten dokument, natychmiast zabieram się do rzeczy...

— Trzeba to niezwłocznie załatwić! — poparła zakonnica. — Charlesowi może pani zaufać. Jak zawsze będzie dbał o pani interesy.

— Ufam mu, bo jest pani siostrzeńcem.

— To dobrze!

— Doskonale! — dołączył się Vauchesser. — Problem w tym, że wypłata odszkodowań może potrwać... Wiem, że Lloyd jest najlepszą i najsprawniej działającą firmą w świecie, ale mimo wszystko... Oszacowanie strat wymaga dokładnych oględzin samego budynku, gobelinów, obrazów, sreber, przedmiotów ze złota, starych mebli. Na ekspertyzy trzeba będzie czekać całe miesiące, jeśli nie lata, a czas nagli i zupełnie nie wiem, jak zdobyć potrzebną sumę.

— Charles nigdy się nie myli — podkreśliła zakonnica. — Jeśli mówi, że trzeba się spieszyć, to na pewno są po temu powody. A może mogłaby pani zaciągnąć pożyczkę? Jestem pewna, że zostałaby przyznana pani na korzystnych warunkach, myślę o niewielkim oprocentowaniu...

— Nienawidzę pożyczek! — ucięła Matylda. — Ciotka zawsze ostrzegała mnie przed tą ostatecznością. „Spłata procentów pochłania bająnskie sumy — mawiała — a poza tym pożyczki nie uchodzą w naszej sferze. To dobre dla paniczyków utrzymujących kokoty, które ich rujnują”. A zatem pożyczki nie będzie! Zresztą, o ile znam mecenasa Champenona de Viry, nigdy nie pozwoliłby mi na to. Trzeba znaleźć inne wyjście.

— Mam nawet pewien pomysł! — zapalił się siostrzeniec. — Jak zdążyłem się zorientować, do parku Hautefeuille przylega wiele hektarów ziemi...

— To prawda! — zgodziła się Matylda. — Niestety, nie wiem, jaką przedstawiają wartość. To ponoć bardzo dobre ziemie, ale nie powiedziałabym tego na podstawie dochodów z dzierżaw. Zarządca co roku twierdził, że potrzebne są fundusze na przeprowadzenie pilnych prac konserwatorskich w obrębie zabudowań folwarcznych i w rezultacie nigdy nie zobaczyliśmy ani grosza, co wprawia-

ło stryja w furię.

TLR

— To zrozumiałe! — pospieszyła z zapewnieniem Marie-Josée. — Ale czy pani zależy na utrzymaniu tych ziem? Po co byłoby wracać w te strony, skoro nie ma już dworku i nie zamierza go pani odbudowywać? Na pani miejscu poz byłabym się wszystkiego, a pieniądze ze sprzedaży wykorzystała na zakup hotelu nad jeziorem Neuchatel. Przez pamięć dla zmarłych przodków zachowałabym tylko rodzinny grobowiec pod kościołem w Saint- Servat.

— Co pani opowiada, Marie-Josée? Dlaczego miałabym sprzedawać grobowiec, w którym spoczywa mój Pia-Pia i trzydziestu czterech członków rodziny Raviroux-Luzensac? Kto zresztą chciałby go kupić?

— Nawet gdyby znalazł się nabywca, w co mocno wątpię — odezwał się słodkim głosem siostrzeniec — nie mogłaby pani sprzedać tej krypty, gdyż nie jest jej własnością. Stanowi część kościoła i należy do Saint- Servat. Jako ostatnia i jedyna bezpośrednia dziedziczka miałaby pani jedynie prawo żądać, by szczątki wszystkich zmarłych zostały przeniesione w miejsce, które sama wskaże. Ale gdzie je przenieść?

— Podsunął mi pan pewną myśl! — zawołała Matylda. — Kiedy zamienimy hotel w Neuchatel na Fundację Jeana-Marie Bardora, mogłabym kazać wybudować grobowiec dla mojego Pia-Pia. Jestem pewna, że czułby się tam znacznie lepiej niż w ponurym miasteczku w zachodniej części Francji. Podobnie jak Wagner, jak Beethoven i jak wszyscy wielcy kompozytorzy, Jean-Marie uwielbiał duże powierzchnie spokojnej wody i sąsiedztwo gór...

— Jest pani pewna — spytała Marie-Josée — że tak bardzo kochał Szwajcarię, że chciałby w niej spoczywać? Sama pani mówiła, że był Francuzem i wielkim patriotą. Nie zapominajmy też, że był mocno przywiązany do swego mieszkania przy Instytucie Francuskim, gdzie spędził tyle lat przed waszym ślubem. Myślę, że lewe nabrzeże Sekwany byłoby bardziej stosownym miejscem spoczynku dla pana Bardora niż Szwajcaria...

— W pobliżu garsoniery, gdzie przyjmował Nelly Morval? Nigdy!

— A co będzie z pozostałymi członkami rodziny — zainteresował się Vau-chesser — jeśli zechce pani przenieść męża do Neuchatel?

— Nie wiem i nie dbam o to. Zresztą wszystko pozostanie bez zmian. Dobrze, że mi pani przypomniała, Marie-Josée, jak bardzo mój Pia-Pia kochał nasz kraj. Niech więc pozostanie we Francji!

Zaległa cisza. Wzrok Matyldy znów zaczął błądzić w nieznanym nikomu innemu świecie kontemplacji. Spojrzenia siostrzeńca i ciotki spotkały

się. Oczy zakonnicy dały mu do zrozumienia, że nadszedł moment podjęcia decyzji i powinien przerwać ciszę, co też uczynił:

— Co zatem postanawiamy, madame?

— Niech pan sprzeda ziemię Hautefeuille wraz z parkiem. Nigdy już tam nie wrócę!

* *

*

— I tak — rzekł Deliot — ekipa zakonniczy i „zarządcy” szybko znalazła środki na kupno hotelu w Neuchatel i urządzenie Fundacji Jeana- Marie Bardora. Mój przyjaciel, Champenon de Viry, nie mógł się niczemu sprzeciwić, gdyż posiadłość Hautefeuille nie podlegała jego kancelarii. Do zarządzania nową fundacją utworzono spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, na czele której stanął oczywiście sam Charles Vauchesser jako dyrektor generalny. Reszta personelu składała się ze starannie wybranych przez zakonnicę i siostrzeńców Szwajcarów. Inaczej być nie mogło, bo spółka była szwajcarska, z siedzibą w Szwajcarii. Akcjonariuszami mogli być jednak Francuzi, toteż czołowe miejsca zajęli oczywiście: Marie-Josée, Vauchesser i Déde. Spyta pan zapewne, jaki był w tym udział Matyldy...

... Otrzymała właściwą zapłatę za swoją wielkoduszność i naiwność. Jako jedyna dostarczycielka funduszy powinna była zatrzymać przynajmniej większość akcji. Niestety! Pani Bardor popełniła wielki błąd oddając, tak po prostu, cały dochód ze sprzedaży ziem w ręce swoich błyskotliwych doradców, którzy natychmiast zamienili go na akcje fundacji. Fundacja nie musi przecież trwać wiecznie! Można ją rozwiązać lub zmienić jej profil, jeśli taka będzie wola głównych akcjonariuszy, czyli prawowitych właścicieli. Matylda zajmowała miejsce czysto honorowe jako honorowa przewodnicząca fundacji noszącej imię jej niezastąpionego małżonka. Po zakończeniu prac jej właśnie miał przypaść zaszczyt podejmowania wdów po muzykach, stu naraz, bo tyle było pokoi. Ekskarmelitanka, były gliniarz i Déde mieli absolutną pewność, że zainteresowanie będzie ogromne. Ze wszech stron ściągają będą szlachetne wdowy, by korzystać z hojności najzaciejszej spośród nich.

— To bez sensu! — zawołałem.

— Ale tak to właśnie wyglądało!

— Czy rzeczywiście służyło to wdowom po muzykach?

— Absolutnie nie! Noga żadnej z nich nigdy tam nie powstała.

— Co pan powie?!

— Prawdę. Jedynymi beneficjentami tej operacji byli siostrzeńcy z ciotką na czele.

— Jak to?

— To już zupełnie inna historia, drogi przyjacielu...

Po tych słowach Victor Deliot podniósł się z krzesła z lekkim uśmiechem, jakby bawiła go moja niecierpliwość poznania dalszego ciągu frapującej opowieści. Zaproponował mi whisky, sobie też nalał. Podniosłem szklanę.

— Za pański talent, drogi obrońco!

— Na razie proszę mnie tak nie nazywać! Za chwilę sam pan zobaczy, jak daleko jeszcze do końca naszych kłopotów.—

Usiadł ponownie, łyknął whisky, powoli odstawił szklanę.

— Czy mogę kontynuować

— Dobrze pan wie, że tylko na to czekam.

— Szacowne wdowy nie skorzystały z fundacji — rzekł — z tej prostej przyczyny, że dyrektorowi generalnemu, panu Charlesowi Vauchesserowi, w ogóle nie zależało na ich obecności. Kiedy wdowie spodoba się jakiś zakątek, nigdy nie wiadomo, czy zechce go opuścić. Ukrytym przeznaczeniem Fundacji Jeana-Marie Bardora — z uwagi na bliskość granicy francuskiej — było stworzenie w podziemiach, piwnicach i przybudówkach dawnego hotelu składu różnego rodzaju towarów, które czekałyby tam na odpowiedni moment, w którym będzie je można przewieźć przez granicę bez uiszczania cła. A gdyby przypadkiem ów specyficzny handel nie osiągnął spodziewanych rozmiarów lub został szybko wykryty, zawsze istniała możliwość odstąpienia akcji innej spółce szwajcarskiej pod pretekstem, że ku rozczarowaniu hojnej fundatorki i jej oddanych współpracowników, wdowy nie wykazały zainteresowania tym przedsięwzięciem. Korzyści z takiej transakcji wpłynęłyby na konta głównych akcjonariuszy — tj. Marie-Josée, Charlesa Vauchessera i Déde — którzy nie omieszkali otworzyć ich w bankach szwajcarskich. Nigdy dość przezorności...

... W sposób zupełnie banalny i przypadkowy całą prawdę odkryła pańska kuzynka Stéphanie. Pewnego dnia zadzwoniła do paryskiego mieszkania Matyldy, by zgodnie z umową zawartą z zakonnicą, prosić o pozwolenie złożenia wizyty kuzynce. Jakież było jej zdumienie, gdy zamiast grubego głosu Marie-Josée, do którego przywykła podczas tych dziewięciu lat, usłyszała dużo przyjemniejszy głos Alphonse'a.

— Co się stało? — spytała. — Teraz ty, Alphonisie, pełnisz dyżur przy telefonie?

— Nikogo innego tu nie ma, pani baronowo. Zostaliśmy sami z Honorine.

— Gdzie jest pani Bardor?

— Przed dwoma miesiącami wyjechała do Szwajcarii.

— Kiedy wraca?

— Nie wiemy, a z tego, co mówił administrator, który zjawił się tutaj przed czterema dniami, by wypłacić nam pensje i uregulować rachunki za gaz, światło, wodę, itp., wynikało, że nie wiadomo, czy w ogóle wróci.

— Co to za historia? Administrator?... Czy to urzędnik z biura Champenona de Viry?

— Ależ skąd! To pan Charles Vauchesser, siostrzeniec tej jędzy. Jego możemy spodziewać się co miesiąc, ponieważ obiecał regularne wizyty dla sprawdzenia, czy wszystko w porządku, wypłacenia należności i zainkasowania czynszów za mieszkania i sklepy mieszczące się w niezliczonych paryskich kamienicach należących do pani.

— A gdzie jest zakonnica?

— Z panią, w Szwajcarii. Szofer Déde także.

— Gdzie mieszkają? W hotelu?

— Z tego co wiem, pani baronowo, to nie jest już hotel, ale jaka fundacja.

— Fundacja? Nie przytułek?

— Prawie... Tylko że nabyto go za pieniądze pani... Pochłonęło to cały dochód ze sprzedaży ziem Hautefeuille.

— O ile dobrze rozumiem, kuzynka zdecydowała się na ulokowanie go w Szwajcarii...

— Dziwna to lokata, pani baronowo, bo siostrzeniec dał nam do zrozumienia, mnie i Honorine, że pani Bardor nie jest właścicielką, a za ledwie honorową przewodniczącą Fundacji Jeana-Marie Bardora.

— A cóż to takiego?

— Nazwa tej inwestycji, pani baronowo. To podobno ma służyć wdowom po muzykach. Z pewnością dlatego pani Bardor zdecydowała się tam zamieszkać.

— A dom, w którym mieszkacie, nie został jeszcze przekształcony w jakiś klasztor czy schronisko dla kloszardów?

— Na razie nie, pani baronowo. Pałac, jak dotąd, pozostał w nienaruszonym stanie. Czuwamy nad nim, pani baronowo. Gdyby coś się działo, nie omieszkamy zawiadomić pani lub jej kuzyna — pana Hughesa.

— Cała rodzina liczy na was dwoje, Alphonsie! Jakie szczęście, że tam jesteście.

— Nigdy nie zgodzilibyśmy się wyjechać do Szwajcarii. Klimat tego kraju nie służy Honorine.

— Czy proponowano wam wyjazd?

— Prawdę mówiąc: nie.

— Byłabym mocno zdziwiona, gdyby tak było. A zatem Matylda jest teraz zupełnie w rękach tych kanalii! Wybiorę się tam, by sprawdzić, jak się sprawy mają... a propos, nie dałeś mi adresu. Gdzie dokładnie mieści się ta fundacja?

— Na jeziorze Neuchâtel. Siostrzeniec mówił, że widok jest wspaniały.

— Coś podobnego! Tylko nie mów im nic o moim przyjeździe!

— Nie będzie nawet okazji, pani baronowo! Nikt do nas nie pisze, więc nie musimy odpowiadać.

— Tym lepiej! Zależy mi na zrobieniu niespodzianki Matyldzie i zakonniczy. Do widzenia, Alphonsie! Po powrocie zadzwonię do ciebie, jak również do Bei i kuzyna, by opowiedzieć o wszystkim.

— Zadzwoniła? — spytał Deliot.

— Tak. Z bardzo ogólnej relacji wywnioskowałem, że wizyta miała dla niej równie przykre konsekwencje jak ta, którą złożyłem Matyldzie osiem lat wcześniej; zakończyła się wyeliminowaniem jej z życia kuzynki. Szczegółów spotkania nie znam.

— W zeszłą środę baronowa de La Rochejaquet dokładnie opowiedziała mi o wszystkim. Niech pan wyobrazi sobie taką scenę...

* *
*

Z Paryża wyjechała o świcie samochodem. Sama. W mieście Neuchâtel rozpytała o słynną fundację i wkrótce znalazła się przed bramą główną osadzoną w

wysokim murze. Krata była zamknięta. Nie doszukawszy się dzwonka, nacisnęła klakson samochodu. Po chwili wyszedł jasnowłosy szwajcarski olbrzym, który wzrostem przypominał papieskiego strażnika.

— Czego sobie pani życzy? — spytał rozciągając słowa. W jego głosie brzmiało wahanie.

Przeczuwając, że gdy wymieni prawdziwe nazwisko, nigdy nie dostąpi zaszczytu przekroczenia progu, zdecydowała się na podstęp. Mimo że miała na sobie swój ulubiony kostium w kolorze bladej zieleni, rzekła:

— Może nie wyglądam na to, ale jestem wdową. Słyszałam wiele dobrego o Fundacji Jeana-Marie Bardora i zapalałam chęcią poznania jej.

— Nie jest pani przypadkiem dziennikarką? Wszelkim przedstawicielom prasy wstęp jest wzbroniony.

— Czy wyglądam na dziennikarkę? Powtarzam panu, że jestem najautentyczniejszą wdową. Wprawdzie mój mąż, wybitny muzyk, zostawił mi spory majątek, ale źle znoszę samotność. Nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż, więc przyjechałam tutaj w nadziei, że znajdę towarzystwo i pociechę, której tak bardzo potrzebuję.

Po drugiej stronie kraty szwajcarski cerber słuchał tej imponującej improwizacji ze zmarszczonymi brwiami. Zdawał się nie bardzo rozumieć, o co chodzi. Wreszcie po dłuższej chwili intensywnych rozmyślań rzekł:

— No dobrze, proszę pani, ale proszę mi podać nazwisko, żebym mógł zatelefonować do pana dyrektora, który poinstruuje mnie względem dalszego postępowania.

— Proszę zaanonsować panią Dufour z Rouen.

— Zechce pani zaczekać.

Wszedł do małego budynku po prawej stronie, który zapewne spełniał rolę jego mieszkania służbowego.

Dobrze utrzymana alejka biegnąca między starannie przystrzyżonymi trawnikami prowadziła w głąb parku. Hotel z tego miejsca był niewidoczny. Po kilku minutach wrócił strażnik i otworzył kratę.

— Może pani wjechać — powiedział. — Proszę jednak o ostrożność! Utrzymanie alejek w takim stanie wymaga wiele pracy. My, Szwajcarzy, umiemy to docenić.

Wbrew swoim przyzwyczajeniom piękny park przejechała więc w bardzo wolnym tempie. Alejka przeszła w końcu w rozległy dziedziniec, w głębi którego

wznosił się duży, trzypiętrowy budynek, biały i starannie utrzymany. Z drugiej strony musiał znajdować się słynny taras z widokiem na jezioro.

Pogoda była cudowna, a błękit nieba sprzyjał rozmarzeniu. „Chmury mogą nadciągnąć tylko wewnątrz tego budynku — pomyślała Stéphanie — w czasie rozmowy z zakonnica”.

Na schodach byłego hotelu stał jasnowłosy lokaj, zdecydowanie młodszy od Alphonse'a. Ubrany był w nienagannie skrojony spencer. Widać znał doskonale swoje obowiązki, gdyż w momencie zatrzymania samochodu pospieszył otworzyć drzwi.

— Pan dyrektor czeka na panią — poinformował, rozwlekając słowa jak jego rodak przy bramie.

Przedsionek zajmował miejsce dawnego hallu recepcji hotelu. Było to duże, przestronne pomieszczenie o nagich ścianach. Jediną ozdobę stanowił puszysty dywan, prawie zupełnie pokrywający czarno-białą glazurę podłogową. Na bocznych drzwiach widniała metalowa tabliczka z napisem „DYREKCJA”. Służący zapukał, odczekał, by usłyszeć zaproszenie do wejścia, po czym odsunął się, przepuszczając Stéphanie. Biuro było funkcjonalnie i wygodnie urządzone. Za stolikiem zarzuconym papierami siedział młody człowiek. Podniósł się na widok gościa i oniemiał, rozpoznając Stéphanie. Przemówiła pierwsza, nie dając mu czasu na zebranie myśli.

— My się znamy, panie Vauchesser. Widziałam pana w Paryżu podczas jednej z wizyt u kuzynki Matyldy. Jak widzę, jest pan teraz dyrektorem tej fundacji. Szczerze gratuluję awansu!

— Ależ, proszę pani...

— Och, nie żądam wyjaśnień! Wszystko rozumiem... To pan jest tym słynnym siostrzeńcem byłej matki Marie-Josée, który został narzucony pani Bardor w charakterze administratora dóbr lub przynajmniej ich części, gdyż o ile wiem, nad główną częścią fortuny czuwa, na szczęście, mecenas Champenon de Viry. Domyśla się pan, że nie odbyłam tej podróży, by spotkać się z panem lub z jego drogą ciotką, lecz z myślą o zobaczeniu Matyldy. Gdzie ona jest?

— Ja... ja... zaraz powiadomię ją o pani przybyciu — jąkał się siostrzeniec.
— Z... z pewnością się ucieszy.

— Jestem tego mniej pewna niż pan, ale zobaczymy. Poczekam tutaj!

— Ależ nie, madame! Proszę do salonu! Zechce pani pójść za mną...

Pospiesznym krokiem poprowadził ją przez przedsionek do drzwi głównych, za którymi był ów salon. Uwadze baronowej nie uszedł dysonans między rozmia-

rami pomieszczenia godnymi hotelu pierwszej klasy, a ubóstwem i niegustownym doborem mebli. Wyglądało na to, że zakupione zostały w pośpiechu u jakiegoś podrzędnego handlarza. Stéphanie nie mogła sobie wyobrazić życia Matyldy w podobnych wnętrzach, Matyldy przywykłej do wyszukanego luksusu pałacu na placu Stanów Zjednoczonych i elegancji Hautefeuille. Chyba że ten salon z trzema drzwiami balkonowymi wychodzącymi na taras był zarezerwowany wyłącznie dla pensjonariuszek fundacji... Trudno było sobie jednak wyobrazić, by mogły się one czuć dobrze w otoczeniu tych bazarowych mebli.

Nagie, białe ściany przypominały bardziej klinikę niż dom spotkań, który, według słów siostrzeńca-dyrektora, miał cieszyć, budzić radość, poprawiać nastrój. Tymczasem wszystko było strasznie smutne i pozbawione wyrazu. Stéphanie miała dość czasu, by dokładnie przyjrzeć się wystrojowi salonu. Trudno było uwierzyć patrząc na ten hotel, że przed laty przyjeżdżali tutaj lord i lady Wandish, a Matylda uczyniła go później celem swojej podróży poślubnej.

Wszystko to, co składało się na ów niepowtarzalny klimat hotelu, sprzedano zapewne na licytacji, a spółce założonej przez Vauchessera pozostały puste pomieszczenia, które uprzątnięto i umeblowano w przyspieszonym tempie, by fundacja mogła zacząć swoją działalność możliwie najszybciej. Tylko takie mogło być wytłumaczenie katastrofalnego wrażenia, jakie salon wywarł na Stéphanie.

W końcu drzwi się otworzyły, ale zamiast Matyldy stanęła w nich Marie-Josée. Wyraz twarzy eks-zakonnicy trudno było nazwać przyjaznym, w jej oczach wyraźnie malowała się niechęć, a nawet nienawiść. Stéphanie nie zamierzała podnieść się na jej widok. Ta zaś stanęła naprzeciw niej i rzekła:

— Życzy sobie pani zobaczyć panią Bardor? Z przykrością muszę panią zawiadomić, że kuzynka nie pragnie pani widzieć.

— Czyżby? Nie odejdę, dopóki jej nie zobaczę!

— Mocno w to wątpię. Nie jest pani u siebie!

— Proszę sobie wyobrazić, że czuję się tu jednak tak, jak u siebie, gdyż o ile wiem, ta godna pożałowania fundacja została zakupiona i urządzona za pieniądze należące do rodziny!

— Ale pani Bardor nie jest właścicielką. Rada administracyjna stowarzyszenia właścicieli Fundacji Jeana-Marie Bardora, chcąc uczcić pamięć tego wielkiego muzyka, wyraziła zaledwie zgodę, by pani Bardor, jako wdowa po nim, objęła honorowe przewodnictwo fundacji. Ten czysto honorowy tytuł nie daje żadnych uprawnień do kontroli finansów i administracji naszej inwestycji. Mogę więc pani poradzić, by zechciała łaskawie opuścić teren. Przedtem jednak

chciałabym poznać przyczynę, dla której przedstawiła się pani nazwiskiem Du-four.

— Rozczarowałam was! Mieliście nadzieję zobaczyć kolejną klientkę, chyba że byłaby ona w ogóle pierwszym gościem... No cóż, czułam, że wyjawiając prawdziwe nazwisko, nie mogłabym przekroczyć bramy wejściowej, a tym samym nie miałabym przyjemności zobaczyć pani w tym salonie!

— Pani przecucia były nieomyślne, madame! A teraz proszę już iść albo wezwę swój personel, by pomógł pani to uczynić.

— „Pani” personel? Jak rozumieć te słowa w ustach kogoś, kto składał śluby ubóstwa? Powtarzam, że nie wyjdę, zanim nie zobaczę kuzynki! W przeciwnym razie udam się natychmiast do Konsulatu Francuskiego w Neuchatel, jeśli taki istnieje, albo do ambasady francuskiej w Berlinie z prośbą o wszczęcie dochodzenia w sprawie uwięzienia członka mojej rodziny przez ludzi prowadzących podejrzaną działalność, którzy w dodatku nie są obywatelami szwajcarskimi...

— Spółka jest szwajcarska w stu procentach, madame!

— Jeszcze jeden wybieg bystrego siostrzeńca...

— A pani Bardor nie jest więziona, lecz przebywa tutaj z własnej woli. Jeśli zechce, w każdej chwili może wrócić do Paryża.

— Ach, więc jest tu tylko na wywczasach jak niegdyś, gdy przebywała tu ze swymi opiekunami, a po powrocie nie było końca zachwytom nad urokami Neuchatel. No dobrze, gdzie ona jest?

— W swoim pokoju. Tym samym zresztą, który zajmowała z Jeanem- Marie w czasie podróży poślubnej.

— Cóż za wspaniałomyślność z waszej strony! A jak jej zdrowie?

— Doskonale. Odnalazła tu wreszcie spokój, którego jej było trzeba. Nie wierzy pani? A więc proszę się przekonać!

Zadzwoiła i pojawił się ten sam lokaj, który czekał na Stéphanie na schodach.

— Proszę powiedzieć pani Bardor, żeby zeszła do salonu — wydała polecenie. — Zbliża się pora jej spaceru.

Kiedy zamknęły się drzwi za służącym, Stéphanie powiedziała:

— Widzę, że nie jest zamknięta na klucz i może wyjść z domu. Cieszy się więc większą swobodą niż swego czasu pani w swoim klasztorze.

Marie-Josée wyduła pogardliwie wargi, ale nie odezwała się. Stojąc czekała na wejście Matyldy i obserwowała gościa, który z trudem krył rozdrażnienie. Wreszcie drzwi otworzyły się i stanęła w nich Matylda taka sama jak zawsze:

piegowata twarz i tylko włosy, wskutek farbowania, coraz bardziej rude... I jak zawsze żałobny strój! Wzrok miała bardziej nieobecny, a głos cieńszy niż zwykle.

— Stéphanie? Po co przyjechałaś?

— Nadszedł czas mojej kwartalnej wizyty, zapomniałaś? Nie mogłam ci jej złożyć w Paryżu, więc przyjechałam tutaj.

— Wyjechałam, żeby cię więcej nie widzieć. Ani ciebie, ani nikogo z rodziny! Tbtaj czuję się wspaniale! Otaczają mnie ludzie, którzy mnie kochają. Tutaj jest też mój Pia-Pia...

— On także?

— Nie wiedziałaś? Przyjechał z nami z Paryża. Nie może się beze mnie obejść. Brakuje mu tylko organów... Zastanawiamy się nawet z Marie- Josée, czy nie powinniśmy zakupić podobnego instrumentu do tego salonu. Myślę, że jest dość miejsca.

— Miejsca? To pomieszczenie jest dwa razy większe od twojego salonu w Paryżu!

— Musi być duże, by pomieścić wszystkie wdowy, kiedy wreszcie przybędą.

— Jeszcze ich nie ma?

— Dyrektor, który jest porządnym człowiekiem, mówił, że szlachetne damy wstrzymały się z przybyciem, by uszanować moje tete4-tete z Jeanem-Marie. Przybędą, kiedy my, czyli ja i on, wrócimy do Paryża. Wiesz, to będzie wielki sukces! O ile wiem, wszystkie pokoje są już zarezerwowane, co mnie nie dziwi: te biedne wdowy po muzykach nie miały dotąd żadnej fundacji tego rodzaju. Zapomniałam, że ty też jesteś wdową, ale, niestety, nie będziesz mogła tu przyjeżdżać, bo twój mąż nie był muzykiem.

— Niestety? Ale gdyby był, przyjęłabyś mnie tutaj?

— Nie ja o tym decyduję, ale za pośrednictwem drogiej Marie-Josée poprosiłabym dyrektora, by traktował cię ze szczególnymi względami.

— Dla pani nie byłoby tu miejsca! — zawyrokowała zakonnica.

— Dlaczego? — spytała Stéphanie.

— Przyjmujemy tylko świątobliwe kobiety.

— W pani rodzaju? A więc mogę panią zapewnić, moja Matko Dobrej Rady, że nigdy nikogo nie znajdziecie. Zresztą wam wcale na tym nie zależy. Wasze pokoje pozostaną rozpaczliwie puste, ponieważ, jeśli mierzyć świątobliwość pani przykładem, to nie ma już świętych kobiet na świecie.

— Stéphanie! — wrzasnęła Matylda. — Zabraniam ci mówić w ten sposób do Marie-Josée! Precz stąd!

— Nie obawiaj się, kuzynko, nie zamierzam pozostać tu dłużej. Chciałabym się tylko dowiedzieć, gdzie znajduje się twój mąż, skoro przybył tu wraz z tobą? Czy jest na górze w twoim pokoju?

— Podobnie jak w Paryżu, przychodzi do mojego łóżka, kiedy śpię, ale wieczorem, po kolacji, rozmawia ze mną, gdy w piątkę gromadzimy się wokół okrągłego stolika, który przywieźliśmy tu z Paryża.

— W piątkę?

— Tak: Marie-Josée, ja, dyrektor, Déde i Rolande.

— Rolande? Jest więc ktoś nowy! — zauważyła Stéphanie.

— Panna Granjo — wyjaśniła zakonnica — jest dyplomowaną pielęgniarką. To osoba równie delikatna jak kompetentna.

— Nietrudno się domyślić, że to jakaś znajoma z Val-de-Grace, gdzie pani sama odbywała staż pielęgniarski, zanim wstąpiła do zakonu...

— Muszę panią rozczarować, gdyż zadanie znalezienia pielęgniarki pozostawiłam panu dyrektorowi.

— Ale do czego potrzebna tu pielęgniarka? Czy pani kompetencje już nie wystarczą, by zajmować się kuzynką?

— Nie chodzi o zajmowanie się panią Bardor, która cieszy się doskonałym zdrowiem! Pannę Granjo zatrudniliśmy z myślą o przyszłych pensjonariuszkach. Mogą się wśród nich zdarzyć osoby cierpiące. W tym celu urządziliśmy na trzecim piętrze izbę chorych.

* *

*

— Zechce pan zauważyć — rzekł Deliot przerywając opowiadanie — że tu po raz pierwszy w całej tej niezwykłej historii pojawia się nazwisko głównej spadkobierczyni. Tego dnia, a było to ich ostatnie spotkanie, zakonnica nie wyjawiała baronowej, że ten cenny nabytek w postaci dyplomowanej pielęgniarki został sprowadzony z Paryża przez siostrzeńca. Stéphanie nie mogła też wiedzieć, że od roku panna Granjo była kochanką dyrektora. Tak!... Opuszczając teren fundacji, zobaczyła ją przelotnie w parkowej alejce. Miała na sobie biały pielęgniarski strój i, jak wynika z relacji baronowej, była raczej ładną osobką.

— Kiedy w zeszłym tygodniu zobaczyłem tę pannę w biurze notarialnym, nie doszukałem się w niej śladów wielkiej urody.

— Od chwili, kiedy Stéphanie widziała ją w Szwajcarii, minęło dwanaście lat. Człowiek zmienia się po tylu latach.

— Niestety, a poza tym Rolande nie miała już na sobie owego białego stroju pielęgniarskiego, który zapewne stanowił o jej uroku. Dla mnie była po prostu grubą babą o bardzo pospolitej powierzchowności. Oszacowałem ją na jakieś czterdzieści lat...

— A zatem w parku fundacji mogła mieć dwadzieścia osiem lat. Ho, ho! Dwudziestoosmioletnia kobieta to bardzo apetyczny kąsek. W tym wieku życie ma się dopiero przed sobą... A propos wieku, ile — pana zdaniem — może mieć lat następny wybraniec losu, ksiądz Lorat?

— Mniej więcej tyle samo co ona, chociaż dzięki swej smukłej sylwetce wygląda młodziej... Powiedziałbym nawet, że to niczego sobie mężczyzna... Ale po kiego diabła interesuje pana jego wiek, mecenasie?

— Wyjaśnię to panu później. Teraz powiem tylko, że to ważny szczegół w sprawie... Na razie wróćmy jednak do Stéphanie, Matyldy i Marie-Josée, które zostawiliśmy w niezbyt gustownie umeblowanym salonie nowo powstałej Fundacji Jeana-Marie Bardora...

* *

*

— Matyldo, — powiedziała nagle zakonnica — czas spotkać się z mężem! Na pewno już czeka.

— Idę! Biegnę... Biedny Pia-Pia! Zawsze musi na mnie czekać, ale to nie moja wina: za każdym razem ktoś przeszkadza mi w spotkaniu się z nim o właściwej porze. Kiedyś robiła to ciotka Wandish, teraz Stéphanie! Jestem pewna, że przybyłaś tu dzisiaj i to o tej właśnie porze, by nie pozwolić mi na to spotkanie. Ale nigdy — słyszysz? — nigdy nie uda się wam nas rozłączyć! Jesteśmy jak Filemon i Baucis, jak Romeo i Julia, jak wszyscy ci, których połączyła niegasnąca miłość!... Ja i Jean-Marie to jedno! I tak będzie po wsze czasy.

Wybiegła na taras.

— Gdzie ona pędzi?

— Do męża. Przejdzie przez taras i znajdzie się na ścieżce okalającej jezioro. Tam, na trzeciej ławce z lewej strony spotyka Jeana-Marie.

— Czcigodna matka kpi sobie ze mnie?

— Proszę za mną, wtedy sama pani zobaczy.

I przeprowadziła Stéphanie przez taras na ścieżkę. Minęły pierwszą ławkę i zatrzymały się obok drugiej, skąd mogły widzieć następną, oddaloną o jakieś sto metrów.

— Widzi pani? Siedzi na ławce, którą nazywa „ławką miłości”.

— Tak, ale co ona tam robi? Gestykułuje... Wydaje się być bardzo ożywiona...

— Czy nie rozumie pani, że ona rozmawia ze „swoim” Pia-Pia? Dla niej on siedzi obok.

— Jesteście zwykłymi przestępcami! Wpędziliście ją w kompletny obłąd!

— Zabraniam pani mówić w ten sposób! Jesteśmy uczciwymi ludźmi, a wszystko, co robimy, służyć ma tylko temu, by pani Bardor była szczęśliwa. To prawda, podejmujemy w tym celu działania, które mogą się czasem wydawać śmieszne. Mówi pani, że jest obłąkana? Ależ tak było od lat! Wszyscy dobrze o tym wiecie. A zaczęło się to wtedy, gdy w wieku dwudziestu lat wymyśliła sobie to niemądre małżeństwo...

— Nie mogę tego słuchać! Można wszystko zarzucić mojemu kuzynowi Jeanowi-Marie Bardorowi, ale na pewno nie to, że był niemądry.

— Dowiódł tego, żeniąc się z takim brzydactwem i oddając się przygodzie ze śpiewaczką.

— Ani słowa więcej!

— Zamilknę, kiedy zechcę! — wrzasnęła Marie-Josée. — Moim obowiązkiem jest trwać przy tej nieszczęsnej istocie, by bronić jej przed wami wszystkimi, którzy czyhacie tylko na jej fortunę!

— Czy mam wierzyć, że tylko chrześcijańska miłość bliźniego kazała pani opuścić klasztor, zerwać śluby i wyrzec się zakonnego habitu?

— Dlaczego nie? W każdym razie cieszę się, że was ubiegłam. To jest dla was najbardziej nieznośne! Wścieka was, że znalazłam dobrego administratora, który doskonale broni jej interesów.

— Sprzedaż ziem w Hautefeuille, kupno tego hotelu, utworzenie niepotrzebnej fundacji... to nazywa pani interesami Matyldy? Wybornie! Upiedzam jednak, że nie damy za wygraną. Natychmiast po powrocie do Paryża zwołam naradę rodzinną.

— I co ona wskóra? Nic! Pani Bardor jest osobą dorosłą, a jej obłąd nigdy nie okazał się dla nikogo zgubny. Nawet jeśli wasza rodzinna rada zwoła komisję lekarską, to i tak żadne badania nie wykryją u niej choroby psychicznej. W grun-

cie rzeczy, co można jej zarzucić? Że żyje w kulcie zmarłego męża? To chyba nie jest wielkie przestępstwo.

— Ten kult rozwinęła w niej pani sama za pomocą godnych politowania koncertów organowych, stuków-puków w okrągły stolik, tej fundacji szumnie nazywanej filantropijną i codziennych pielgrzymek do tej ławki, gdzie rozmawia z wyimaginowaną osobą...

— Dość! — krzyknęła zakonnica. — Zawołam służbę!

— Niech pani nie krzyczy tak głośno! — powiedziała Stéphanie opanowując się nagle. — Hałas może zwrócić uwagę Matyldy i wyrwać ją z jej codziennego snu na jawie. To z pewnością jedyna prawdziwa radość, jaka jej została.

— Zbędny niepokój! — rzekła Marie-Josée ścisząc jednak głos. — Kiedy jest tam, świat mógłby się rozpaść, a ona nawet by tego nie zauważyła. Czy teraz rozumie pani, w jakim stanie ona się znajduje i jak bardzo potrzebuje kogoś oddanego? Kogoś, kto nie spuści jej z oczu ani na sekundę... Kogoś, kto czuwa bez przerwy...

— Kogoś, kto stosuje metody lady Wandish!

— Nie były takie złe.

— To okropne!

— Gdyby pani podeszła teraz do niej i pocałowała ją na pożegnanie, nie zauważyłaby, że to pani. Ten pocałunek byłby tylko nadprogramową pieśczętą drogiego Pia-Pia.

— Odchodzę, ale panią przeklinam w imieniu całej rodziny. Gorąco pragnę, by nadszedł dzień, kiedy odpowie pani za krzywdę wyrządzoną nieszczęsnej Matyldzie.

— Ja zaś modlić się będę za panią i resztę rodziny, by Bóg zechciał wreszcie ukazać wam prawdziwą drogę Dobra.

— Tę, którą podąża pani?

— Tę samą!

To były ostatnie słowa, jakie usłyszała Stéphanie. Nie oglądając się już na ławkę, na której Matylda nadal prowadziła ożywioną rozmowę z cieniem, Stéphanie obeszła dawny hotel i wróciła do samochodu zaparkowanego przed schodami. Usłużny lokaj otworzył jej drzwi i zamknął, kiedy usiadła za kierownicą. Uruchamiając silnik, zauważyła uchylającą się firankę w oknie gabinetu dyrektora. W ostatniej chwili dostrzegła jeszcze drwinę na twarzy mężczyzny, który ją obserwował.

* *

*

— To, co teraz usłyszałem, drogi przyjacielu, wyjaśnia mi zachowanie Stéphanie po powrocie do Paryża. Następnego dnia zadzwoniła do mnie i do Bei, prosząc o złożenie jej wizyty. A kiedy zjawiliśmy się u niej, powiedziała nam tylko, że czym prędzej powinniśmy zwołać radę rodziny.

— Jakim prawem? — spytałem.

— A takim, że jako najbliżsi żyjący krewni Matyldy mamy prawo przeszkodzić jej w tak niemądrym trwonieniu majątku.

— Nie wiem, czy mamy takie prawo. Jesteśmy dość dalekimi krewnymi. Załóżmy, że uda się nam — w co mocno wątpię — zebrać tylu członków rodziny, że można będzie utworzyć taką radę. Ale to nie wszystko, trzeba będzie zwrócić się do sądu, który może udzielić nam takiej samej odpowiedzi, jaką usłyszałaś wczoraj od Marie-Josée: że Matylda ma prawo dysponować swoim majątkiem według własnego uznania.

— A jeśli dowiedziemy, że jest obłąkana?

— To nie takie proste, jak myślisz. To także wyczerpująco wyjaśniła ci zakonnica. Słuchanie czyjegoś koncertu organowego i wyobrażanie sobie, że przy instrumencie siedzi zmarły małżonek, komunikowanie się z nim za pomocą stolika, przekonanie, że jego duch podpalił znienawidzony dworek, rozmawianie z nim na pustej ławce, to tylko objawy pomieszania zmysłów, ale nie można uznać ich za prawdziwe szaleństwo. A po drugie, jej stan nikomu nie szkodzi. Ma również pełne prawo przekazać pieniądze tym, których uważa za przyjaciół, odmawiając ich tym samym swojej rodzinie. Możesz być zatem pewna, że żądania rady poparte takimi argumentami zostaną natychmiast odrzucone przez prawo.

— I jak się sprawa potoczyła? — spytał Deliot.

— Nie było żadnej sprawy. Cała reszta rodziny, której pokrewieństwo z Matyldą było jeszcze odleglejsze od naszego, nie wykazała najmniejszego zainteresowania tą sprawą, podobnie jak w swoim czasie zlekceważyła jej ślub z Jeanem-Marie. W rezultacie nigdy nie udało się nam zebrać quorum wymaganego przez prawo dla utworzenia rady i piękny zamysł Stéphanie spalił na panewce.

— Gdyby pan wiedział, jak wielki ma za to żal do rodziny, wyjąwszy oczywiście Beę i pana...

— No, myślę!

— W czasie naszej rozmowy odniosłem wrażenie, że należy do osób pamiętających urazy.

— Taka właśnie jest!

— Najciekawsze jest to, że anatema, jaką rzuciła na Marie-Josée szybko zadziałała.

— W jaki sposób?

— Kilka tygodni po burzliwym spotkaniu poważna choroba przykuła zakonnicę do łóżka. Wyglądało tak, jakby Opatarżność zaczynała żądać zapłaty za popełnione grzechy. Matyldę ogarnął strach przed śmiercią „świętej kobiety”, którą wyznaczył jej drogi Pia-Pia. Wezwano lekarza, potem drugiego, wreszcie profesora z Lozanny... Wszyscy byli zgodni co do tego, że stan jest ciężki i natychmiast trzeba rozpocząć terapię promieniami X. W Neuchatel znalazłoby się wszystko, co potrzebne do leczenia, ale chora najwyraźniej wolała wrócić do Paryża, do pałacu na placu Stanów Zjednoczonych, jakby tam bardziej czuła się „u siebie”.

Wierny strażnik mienia, Alphonse, przekazał tę wiadomość Stéphanie pewnego dnia o świcie:

— Mam nadzieję, że pani baronowa nie będzie miała mi za złe, że niepokoję ją o tak wczesnej porze, jeśli powiem, iż wracają do Paryża. Spodziewamy się ich wieczorem.

— Co się stało? Fundacja zbankrutowała?

— Nie wiem, pani baronowo. Wiadomo mi tylko, że wracają ambulansem. Wczoraj wieczorem dzwonił siostrzeniec, by wydać nam dyspozycje. Honorine i ja mamy wszystko przygotować na ich powrót.

— Powiedziałaś: ambulansem? Czy Matylda jest chora?

— Nie pani, to tamta...

— Zakonnica? To dobrze. Jej śmierć byłaby dla nas błogosławieństwem.

— Nie musi mi pani tego mówić, pani baronowo!—

— Mój drogi Alphonsie, żal mi ciebie i Honorine... Mieliście święty spokój po wyjeździe ekipy do Szwajcarii i nagle... wszystko zacznie się od nowa. Wszyscy wracają?

— Z wyjątkiem pana Vauchessera. Powiedział, że zatrzymują go tam sprawy fundacji. Wraca natomiast Déde, który prowadzić będzie buicka podążającego w ślad za ambulansem, w którym będzie leżeć zakonnica pod opieką pielęgniarki.

— Leżeć? — powtórzyła Stéphanie. — A więc jest nadzieja... Oby tylko ta nowa pielęgniarka nie okazała się zbiegłą zakonnica. Rozumiem, że Honorine zajmie się przygotowaniem pokoju dla niej.

— Będzie musiała zająć pokój lorda Wandisha, by być w zasięgu ręki zakonnicy, która wróci do łóżka lady Wandish...

— Widać, że nie jest najlepiej... Drogi Alphonsie, nie będę dzwonić, by dowiadywać się o stan zdrowia Marie-Josée, wolę, żebyś ty sam informował mnie od czasu do czasu o rozwoju wypadków.

— Pani baronowa może liczyć na moją lojalność!

— Wiem, Alphonsie i bardzo ją sobie cenię.

... Życie w pałacu na placu Stanów Zjednoczonych powróciło do zwykłego rytmu, z tą tylko różnicą, że co trzy dni zajeżdżał ambulans i zabierał chorą do szpitala amerykańskiego na naświetlanie. Po kilku godzinach ten sam ambulans odwoził pacjentkę. Jego śladem podążał zawsze buick z Matyldą w środku. Role odwróciły się: teraz ona opiekowała się Marie-Josée. Oczywiście wynikało to ze szczerego oddania, podczas gdy tamta widziała w tym swój interes.

— A co w tym czasie robiła pielęgniarka przywieziona ze Szwajcarii?

— Towarzyszyła Marie-Josée w drodze do i ze szpitala, a w domu dotrzymywała towarzystwa pańskiej kuzynce. Zwłaszcza w porach posiłków... Zresztą także siadała naprzeciw niej, zajmując dawne miejsce pana Bardora. Stawała się trzecim mężczyzną...

— Nie powie mi pan, że ona także nosiła spodnie!

— Nie, ale tylko dlatego, że — jak mi się wydaje — była przebiegłjsza niż ta, którą zastępowała. Już wówczas starała się zdobyć pozycję w tym domu udając tymczasem całkowitą obojętność... Ową dyplomowaną pielęgniarką była oczywiście panna Rolande Granjo.

— Pielęgniarka i kochanka siostrzeńca-dyrektora!

— Ta druga rola nie trwała już długo.

— Co się stało?

— To, co zdarza się kochankom: zerwanie.

— Inna kobieta?

— Nie. To raczej w życiu pielęgniarki pojawił się inny mężczyzna, ale o tym za chwilę. Na razie rozdzielone gołąbki rozumiały się doskonale. Każde z nich dbało o interesy w miejscu, w którym się znajdowało: on w Neuchatel, ona w Paryżu. On zajmował się dyskretną likwidacją Fundacji Jeana-Marie Bardora według od dawna obmyślanego planu, który wcześniej panu przedstawiłem. Wiedział już, że ciotka nie zdoła wyzdrowieć mimo leczenia promieniami, a po jej śmierci Matylda na pewno nie zechce wrócić do Szwajcarii. Wkrótce udało mu się odstąpić budynek i park jakiejś spółce szwajcarskiej, która postanowiła na powrót uczynić go hotelem. Wie pan, jaką nazwę nadali mu nowi właściciele? Hotel Bliskowschodni. Faktem jest, że już od kilku lat klientela w Szwajcarii zaczynała się zmieniać...

— I nigdy nie wspomiano o Fundacji Jeana-Marie Bardora?

— Po prostu zniknęła bez śladu!

— A co z pieniędzmi ze sprzedaży?

— Zapewne wpłynęły na wcześniej przygotowane konta... Chyba że Vau-chesser wszystko roztrwonił, ale nie sądzę: lubił oszczędzać... dla siebie!

— A jego kochanka?

— Docieramy do momentu, kiedy dramat zacznie się rozgrywać na dwu płaszczyznach: kryminalnej i uczuciowej.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że ta Rolande Granjo także udawała Jeana-Marie przy organach lub wywoływała jego ducha za pomocą okrągłego stolika...

— Nie! Wcale nie musiała tego robić, by wzmocnić swoją władzę nad pańską kuzynką. Jej metody były bardziej bezpośrednie, mniej subtelne i dużo, dużo skuteczniejsze. Muszę jednak opowiedzieć panu najpierw o bardzo ważnym wydarzeniu, w którym wziął udział sam kanonik Vidis.

— Kanonik? Nie widziałem go od śmierci admirała. Zastanawiam się, jak Matylda radziła sobie w Szwajcarii bez swojego spowiednika.

— Może w ogóle się nie spowiadała? Dla niej był to zapewne nowy grzech, a dla kanonika — odpoczynek, ale gdy tylko wróciła do Paryża, natychmiast pobiegła do kościoła św. Piotra w Chaillot, by otrzymać rozgrzeszenie za tę przewinę. Tam właśnie trzeba szukać źródeł wydarzenia, o którym przed chwilą wspomniałem. Opowiedzieli mi o nim Alphonse i Honorine, chociaż sami zdołali skojarzyć pewne fakty dużo, dużo

później...



... Przykuta do łóżka Marie-Josée nie mogła już chodzić z Matyldą do kościoła. Pańska kuzynka chodziła tam wreszcie sama i nie tylko mogła spokojnie wypowiadać się, ale także wejść do zakrystii, by porozmawiać z księdzem kanonikiem. Oczywiście opowiadała mu o strasznym nieszczęściu, jakie spadło na „świętą” Marie-Josée, czego kapłan słuchał bez większego zainteresowania i bez cienia współczucia. Pewnego dnia, kiedy znowu zaczęła swoje opowiadanie o cierpieniach chorej, ksiądz przerwał zniecierpliwiony:

— To jest bardzo przykre, madame, ale czyż nie powinniśmy przyjmować wszystkich doświadczeń, jakie zsyła na nas Opatrzność dla odpokutowania za nasze grzechy? A, niestety, pani przyjaciółka ma ich wiele na sumieniu, że wspomnę tylko o opuszczeniu zakonu!...

— Zrobiła to dla mnie! O to prosił ją także z zaświatów mój Jean-Marie.

— Jest pani tego pewna? Nie sędzę, by ten wielki człowiek o bardzo liberalnych poglądach mieszał się w sprawy klasztorne... Nie, madame, niech pani nie wierzy w oddanie tej kobiety! To bardzo podejrzana osoba, jej siostrzeniec także.

Korzystając z okazji, chciałbym opowiedzieć pani o czymś, co wydaje mi się bardzo dziwne... Winien to jestem pani jako stary przyjaciel rodziny.

Proszę sobie wyobrazić, że wśród moich parafian jest pewne małżeństwo, które zaprasza mnie czasem na obiad. Ci ludzie są właścicielami przepięknego mieszkania w alei Jerzego V i starannie dobranej kolekcji obrazów. Jak pani wie, trudno mnie zaliczyć do znawców w tej dziedzinie. Niemniej jednak, gdy przed dwoma laty przechodziłem przez przedpokój tego mieszkania, który rozmiarami przypomina galerię, i którego ściany zdobią wyjątkowe dzieła, uderzył mnie pewien szczegół... Widok pewnego obrazu pobudził mą pamięć... „Gdzie ja widziałem ten piękny obraz?” — zacząłem się intensywnie zastanawiać. Pytanie powróciło także po obiedzie, kiedy gospodarze zaprosili mnie do obejrzenia ekspozycji. Zaintrygowany moim zainteresowaniem pan domu spytał:

— Lubi ksiądz malarstwo Vigée-Lebrun?

— Lubię wszystko, co piękne, ale ten kobiecy portret coś mi przypomina. Niestety, nie wiem co.

— Może jedną z parafianek?

— Możliwe...

— Nabyliśmy ten portret w zeszłym tygodniu.

— Nic więc dziwnego, że nie zauważyłem go wcześniej.

— Zainteresowanie tym obrazem przynosi zaszczyt subtelnemu smakowi księdza. Ten portret jest chyba najlepszym, jaki wyszedł spod pędzla pani Vigée-Lebrun. Przypadkowo odkryliśmy go u handlarza w Genewie...

— To przykre, że dzieło tej miary zostało wywiezione za granicę. Gratuluję państwu sprowadzenia go do kraju.

Tego dnia nie myślałem już więcej o tym obrazie, ale przy okazji kolejnego obiadu u moich znajomych znowu powróciło przekonanie, że gdzieś go już widziałem. Olśnienia doznałem dopiero po miesiącu, kiedy już któryś raz z kolei opuszczałem to mieszkanie: „Do licha! Toż to słynna Vigée-Lebrun, którą lord Wandish pokazywał mi w salonie w Hautefeuille w dniu ślubu panny Matyldy!”

Przypomniałem sobie wówczas scenę sprzed trzech lat, kiedy odchodząc od konfesjonału, by powrócić do zakonnicy w spodniach, która obserwowała panią ze swego miejsca na krześle, powiedziała mi pani, że nic nie pozostało z pięknego dworku ani z jego bezcennych przedmiotów.

— Żaden obraz nie ocalał? — spytałem wówczas.

— Wszystko spłonęło! — odpowiedziała pani".

A zatem, madame, jak to się mogło stać, że Vigée-Lebrun nie podzieliła losu budynku? Cud czy świadome działanie koneserów sztuki, którzy uratowali dzieło z płomieni lub wynieśli je przed pożarem? Dlaczego pani nie została poinformowana o tym fakcie?

Matylda słuchała w osłupieniu.

— Kto wie, madame, — ciągnął kanonik — czy inne dzieła sztuki z kolekcji w Hautefeuille nie miały podobnego szczęścia uniknąć płomieni? Czy to nie byłoby cudowne?

Matylda wybiegła z zakrystii bez odpowiedzi i bez pożegnania. Ledwie na powrót znalazła się w swoim pałacu, natychmiast pobiegła do dawnego pokoju ciotki, gdzie leżała Marie-Josée, przy której nieustannie czuwała pielęgniarzka Rolande Granjo, i natychmiast powtórzyła słowa spowiednika. Zakonnica słuchała z przymkniętymi oczami, po czym otworzyła je szeroko i zaczerpnąwszy oddechu, który od pewnego czasu zdawał się w niej zamierać, rzekła swym grubym głosem:

— Cóż to za kanonik, który zamiast w kościele, spędza czas na przyjęciach?! Jak mógł dopuścić się podobnych insynuacji, przecież tej tragicznej nocy ja sama pospieszyłam pani na ratunek! Czy domyśla się pani, dlaczego to zrobił? Dlatego tylko, że trudno mu pogodzić się z myślą, że nie jest już zapraszany przez panią na obiady. A poza tym sam przyznał, że nie zna się na malarstwie. Jak więc mógł odróżnić oryginał od falsyfikatu? To, co mu pokazano, nie było niczym innym jak zręczną imitacją. Niewielu jest malarzy równie często kopiowanych jak pani Vigée-Lebrun! A ludzie, u których bywa kanonik, specjalizują się z pewnością w handlu falsyfikatami i dlatego właśnie urządzili ową galerię w swoim przedpokoju. Kto wie, czy nie posłużyli się tym gadatliwym niczym dozorczyńni księdzem, by szerzył sławę ich kolekcji? W końcu nic prostszego jak po rozgrzeszeniu szepnąć parafiance lub parafianinowi: „Interesuje się pan (pani) malarstwem?“, a w wypadku pozytywnej odpowiedzi dorzucić: „Proszę więc wybrać się na aleję Jerzego V do państwa X! To uroczy ludzie! Pokażą panu (pani) prawdziwe perły malarstwa!“... Oto, jak poczyną sobie ten kanonik, drogie dziecko! Dlatego nie jest godzien, by nadal być pani spowiednikiem.

Swoimi szatańskimi uwagami byłby zdolny wzbudzić w pani niebezpieczne odruchy, a ja już, niestety, niedługo będę mogła panią chronić, jak tego chciał drogi Jean-Marie.

— Nie, Marie-Josée! — krzyknęła Matylda. — Musi pani zostać ze mną! Może pani nigdy nie podnieść się z łóżka, ale musi tu być! Będziemy czuwać

przy pani na zmianę z Rolande... Nie przeżylibyśmy pani odejścia, prawda, Rolande?

— Z pewnością... — zgodziła się tamta bez większego przekonania.

— Nikt nie jest w stanie pani zastąpić! Powiedział to sam Pia-Pia, kiedy rozmawialiśmy z nim ostatniego wieczoru... Czyż nie tak, Rolande?

— Dokładnie tak!

— Powiedział też, że nie będzie koncertów organowych w czasie pani choroby... Pani jest NIM! A jeśli chodzi o księdza, ma pani całkowitą rację. Nie pójdę już do tego przeklętego kanonika! Ale kto będzie mnie spowiadał?

— Ten uroczy ksiądz, który co tydzień przychodzi spowiadać Marie- Josée. Jego wiara równa jest sile jego młodości! To duszpasterz naszych czasów! Nie ma w nim nic ze starego zużytego klechy, który żyje od przyjęcia do przyjęcia... To nie ksiądz, który kwestuje... By żyć, nie wstydzi się pracować. Oto współczesny, prawdziwie świątobliwy mąż!

— Widywałam go w pałacu — rzekła Matylda — ale początkowo myślałam, że jest lekarzem, gdyż nie miał sutanny. Dopiero później Rolande wyjaśniła mi, że nowocześni księża nie noszą zewnętrznych oznak swego stanu.

— Tylko pseudo księża—podkreśliła pielęgniarzka—trwają w swoich sutannach, by wzbudzać respekt. W rzeczywistości są oszustami korzystającymi z ludzkiej naiwności. Ksiądz Lorat będzie idealnym spowiednikiem dla pani, madame Bardor.

W ten sposób przyszły beneficjent testamentu „oficjalnie" wszedł w życie Matyldy. Dotąd był tylko spowiednikiem cierpiącej Marie-Josée, która darzyła go bezgranicznym zaufaniem z tej prostej przyczyny, że został zarekomendowany przez słodką przyjaciółkę ukochanego siostrzeńca-dyrektora Fundacji, który zajmował się w dalszym ciągu likwidacją inwestycji w Neuchatel. W Paryżu zjawiał się tylko od czasu do czasu, by sprawdzić, czy mimo choroby ciotki wdowa trzymana jest dostatecznie mocno w garści. Tym trzymaniem zajmowała się oczywiście Rolande Granjo!

* *

*

— Przywodzi mi to na myśl — odezwałem się — pewien incydent z tego okresu. Pamięta pan, że w dniu, w którym zostałem wyrzucony przez Matyldę z pałacu na placu Stanów Zjednoczonych szepnąłem Alphonse'owi, żeby dał mi

znać, jeśli zdarzy się coś złego, wtedy przybędę, mimo oficjalnego zakazu wchodzenia do tego domu?

— Pamiętam.

— A więc pewnego ranka, około godziny jedenastej, zadzwonił telefon i usłyszałem strwożony głos Alphonse'a:

— Panie Hughes! Stało się coś strasznego!

— Co takiego?

— Trudno mi mówić o tym przez telefon. Czy mógłbym się z panem spotkać? Wezmę taksówkę i przyjadę, jeśli zechce pan mnie przyjąć. Czasu mam niewiele, bo nigdy nie wiadomo, co jeszcze może się zdarzyć... Na razie wszystko w porządku.

— A może ja przyjadę, Alphonsie?

— Lepiej nie! Nie chciałbym pana urazić, ale po tym, co się wydarzyło, pańska obecność nie wpłynie na poprawę sytuacji.

— A zatem czekam na ciebie...

Wkrótce zjawił się w moim gabinecie, a oto, co usłyszałem:

— Jak panu wiadomo, już od dawna, zwykle o godzinie ósmej, pani uczestniczy we mszy w kościele św. Piotra w Chaillot i z rąk kanonika Vidisa przyjmuje komunię. Po śmierci lady Wandish pani Bardor chodziła tam sama, gdyż jej mąż nie był zbyt gorliwym katolikiem. Kiedy i ten zmarł, pani towarzyszyła zawsze zakonnica. Odwoził je buickiem następcą Napoleona, niejaki Dedć. Wreszcie karmelitanka zachorowała — pielęgniarka dała nam, Honorine i mnie, do zrozumienia, że to rak, że Marie-Josée pozostało zaledwie kilka tygodni życia — i pani znowu chodzi do kościoła sama. Oczywiście odwozi ją Déde. Wczoraj po powrocie z kościoła była bardzo poruszona. Gdy tylko samochód zatrzymał się przed pałacem, wybiegła z niego nie czekając aż otworzę jej drzwi, jak burza wpadła do przedpokoju i pomknęła do dawnego pokoju lady Wandish, z którego zakonnica od powrotu ze Szwajcarii nie wychodziła o własnych siłach. Dwa razy w tygodniu podjeżdża ambulans, wychodzą dwaj sanitariusze i wynoszą ją na noszach. Po około pięciu godzinach w ten sam sposób wraca do swego pokoju. Zdaje się, że poddawana jest leczeniu promieniami w jakimś szpitalu specjalistycznym...

... To wszystko Alphonse wyrecytował mi na jednym oddechu.

— Opowiedz mi spokojnie, co się stało tego ranka i co kazało ci zadzwonić do mnie.

— A więc dzisiejszy dzień zaczął się zupełnie inaczej niż wszystkie inne dni. Mogła być godzina siódma, kiedy zszedłem do służbówki. Miałem około kwadransa do rozpoczęcia pracy, więc piłem kawę w towarzystwie Honorine. Nagle wpadła dozorczyń, z którą nie łączą nas zbyt dobre stosunki, wołając:

— Prędko! Pani wybiegła! Biegnie teraz chodnikiem wzdłuż placu Stanów Zjednoczonych i krzyczy: „Zabiję go! Zabiję go!” wymachując tasakiem, który tej nocy musiała zabrać z kuchni. Jest tylko w nocnej koszuli i zupełnie boso. Skrapiałam dziedziniec, kiedy zobaczyłam, że wychodzi. Podbiegłam, chcąc ją zatrzymać, ale nie zdążyłam. Pobiegła jak furia! Déde usłyszał moje wołanie i rzucił się za nią. Niech mu pan pomoże, panie Alphonsie! Jest w takim stanie, że nawet jeśli ją złapie, nie zdoła jej sprowadzić do domu, nim wybuchnie skandal!

Nie słuchając więcej, wybiegłem i ja... Déde rzeczywiście ją złapał, ale szarpała się z siłą, o jaką nigdy bym jej nie posadzał. Niewiele brakowało, a zatopiłaby w nim tasak, który ciągle trzymała w ręku. Prawdziwy napad szału! Ciągłe krzyczała: „Zabiję go! Zabiję go!” Wkrótce dozorca z innych posiadłości stali już w drzwiach i przyglądali się widowisku. Całe szczęście, że o tej porze w naszej dzielnicy nie ma zbyt wielu ludzi na ulicy! W przeciwnym razie kobieta w dezbilu, wykrzykująca podobne słowa, spowodowałaby niezłe zbiegowisko. Wraz z Déde i dozorcą, który też przybiegł na pomoc, zdołaliśmy wyrwać jej tasak, obezwładnić ją i uciszyć nieco... Ja sam zasłoniłem jej usta ręką. Wiem, że w stosunku do pani nie było to zbyt grzeczne, ale nie widziałem innego sposobu. Nie miałem knebla, a nie wypadało użyć chusteczki do nosa; to byłoby jeszcze gorsze...

— Zasłonięcie ust ręką było rzeczywiście najlepszym wyjściem. Postąpiłeś znakomicie. I co dalej?

— Zaprowadziliśmy ją do domu. U wejścia czekała już Honorine z jednym z futrzanych płaszczy pani, by ukryć jej niestosowny strój i uchronić od przeziębienia. Na szczęście o tej porze roku nie jest zbyt zimno.

— Zdaje się, że zawsze, kiedy moja kuzynka znajduje się na zewnątrz w nocnej koszuli, szczęście jej sprzyja: nie pada i jest raczej ciepło... Pamiętasz, podobnie było w noc, gdy płonął Hautefeuille...

— To prawda! Zawsze miała dużo szczęścia.

— Mam nadzieję, że natychmiast zaprowadziliście ją do jej pokoju i położyliście do łóżka.

— Zaalarmowana pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk, który ją uspokoił. Teraz śpi. Pielęgniarka zapewniła mnie, że nie obudzi się przed południem. Skorzystałem więc z okazji, by zadzwonić do pana.

— Doskonale postąpiłeś, ale wolałbym, żeby ta cała historia nie dotarła do uszu baronowej de La Rochejaquet. Ja natomiast zadzwonię do profesora Alavoine'a.

— Rzeczywiście, to on leczył pana Bardora, był też jego przyjacielem. Może warto zwrócić się do niego. Na razie pielęgniarka wezwała lekarza zajmującego się zakonnicą. To jeden z osobistych przyjaciół panny Granjo.

— Czy to was nie niepokoi?

— Nie w przypadku matki Marie-Josée, gdyż jej sytuacja jest już i tak beznadziejna, ale jeśli chodzi o panią — to tak.

— Co powiedział ten lekarz?

— Że to przejściowy atak szału na tle nerwowym. '

— Ciekawe, co mogło być jego przyczyną?

— Nie wiem, ale już poprzedniego dnia pani wróciła z kościoła bardzo wzburzona.

—A gdzie w tym czasie była zakonnica?—

— W swoim pokoju. Niczego nie słyszała i nic nie wie o zdarzeniu z tasiakiem. Pielęgniarka powiedziała, że tak będzie lepiej.

— Ale kogo Matylda miała na myśli krzycząc: „Zabiję go! Zabiję go!?”

— Nie wiem, proszę pana.

— Teraz już wiadomo — rzekł Deliot — że chodziło o kanonika Vidisa. Myśl o zabójstwie zaczęła nurtować pańską kuzynkę w momencie, gdy ekszakonnica i Rolande Granjo wmówiły jej, że jest on „fałszywym księdzem zmyślającym bajki o skradzionym portrecie z Hautefeuille. Fala obrzydzenia zalała wówczas bardzo kruchy umysł pani Bardor i już tylko jedna myśl pozostała w jej głowie: zgładzić człowieka nieprzyjaznego Marie-Josée, która jest przecież wysłanniczką Jeana-Marie. W tym momencie ksiądz Vidis stał się automatycznie jej osobistym wrogiem.

...Resztę dnia i cały wieczór musiała skrycie rozważać swój plan... Tak jak powiedział panu Alphonse, zakradła się do kuchni, zabrała tasak i przechowała go do świtu w swoim pokoju. Kiedy zaczęło dzień, wyszła w nocnej koszuli na

korytarz. Boso zeszła po marmurowych schodach, przemknęła przez przedpokój i otworzyła drzwi główne, po czym była już na zewnątrz. Wszystko to robiła mechanicznie, jakby stała się jakimś robotem, zdalnie sterowanym przez Marie-Josée, która nie przestawała nią kierować ze swego łóżka. Wypadki potoczyły się tak, jakby w podświadomości wdowy zabrakło hamulców, które mogłyby ją powstrzymać przed popełnieniem zbrodni. Jest prawie pewne, że w tym stroju nie udałoby się jej dotrzeć do kościoła, gdyż nie wierzę, żeby mogła między siódmą a ósmą rano przejść spokojnie aleję Jeny, ulicę Bizeta i skrócić w ulicę Chaillot, nie spotkawszy żywej duszy. Załóżmy jednak, że miałyby to szczęście, czy wyobraża pan sobie, do czego mogłoby dojść w kościele, gdyby zdołała tam dotrzeć? A jeśli wpadłaby na szalony pomysł ukrycia się w konfesjonale, a w momencie, gdy kanonik Vidis zbliżyłby się do Stołu Pańskiego, by udzielić komunii, rzuciłaby się na niego z tasakiem w rękę? Gdyby nawet chybiła, zdaje pan sobie sprawę z tego, do jakich rozmiarów urósłby ten incydent w prasie, radiu czy telewizji? A zwłaszcza gdy odkryto by tożsamość sprawczyni? Wdowa po słynnym Jeanie-Marie Bardorze, nieodżałowanym sekretarzu Instytutu, potencjalną morderczynią! Przestańmy jednak fantazjować i wróćmy do rzeczywistości, która na szczęście zakończyła się tego dnia sporą dawką środka uspokajającego.

... Dziwi mnie tylko to, że wydarzenie nie wywołało żadnej reakcji z waszej strony. Dlaczego nie próbował pan dowiedzieć się czegoś więcej? Dlaczego nie pomyślał pan, że skoro chęć popełnienia przestępstwa zaświtała już w głowie Matyldy, to nie jest wykluczone, iż może próbować tego jeszcze raz, a wtedy nie będzie ani dozorczyńni, ani Déde, ani Alphonse'a, ani nawet Rolande Granjo, by ją zatrzymać i nie dopuścić do najgorszego? Dla mnie ten incydent z tasakiem był dowodem kompletnego pomieszania zmysłów, do jakiego doprowadziło Matyldę dziesięć lat „opieki” Marie-Josée i jej akolitów.

... Znając pańską wrażliwość i dobre serce wiem, iż będzie pan próbował jej bronić — jak to już miało miejsce — wmawiając mi, że może Matylda rzeczywiście nie była zbyt inteligentna, ale z pewnością nie posunęłaby się do zbrodni. A więc odpowiem panu tak: Zapomina pan o Marie-Josée, która posługując się jedną miłością pani Bardor zdołała wpędzić ją w taką psychozę, że mogła uczynić z nią wszystko, co chciała. Bez większego wysiłku nakłoniłaby ją do sporządzenia testamentu, w którym cały majątek zapisałaby jej, Marie-Josée.

...Na szczęście Opatrzność czuwała i w końcu jej sprawiedliwość dosięgła eks-zakonnicę, zsyłając nieuleczalną chorobę, która trawiła ją ponad rok, unie-

możliwiając doprowadzenie do końca dzieła zagarnięcia majątku. Gdy jej zabrakło, siostrzeńcy nie mieli żadnego znaczenia. Żaden z nich nie miał dostatecznego wpływu na Matyldę: jeden był w jej oczach jedynie zarządcą nieruchomości czy nieokreślonym dyrektorem Fundacji, drugi — Déde, zwykłym służącym... Jediną osobą, która mogła osiągnąć zamierzony cel, była zakonnica.

... Tymczasem życie nieubłagane uchodziło z tej kobiety... Drogi przyjacielu, nadchodzi moment, w którym nie będziemy się już zajmować zbrodniami związanymi z osobą pocziwego praskiego kanonika, zbliżamy się natomiast do prawdziwej zbrodni, jakiej dopuściła się pańska kuzynka. Zaraz wszystko panu opowiem i wspólnie zdecydujemy, czy jest to fakt, o którym Stéphanie i Bea powinny wiedzieć, czy też zachowamy go dla siebie...

Co powiedziałby pan na łycezek whisky? Myślę, że ułatwiłby nam przejście przez ten najtrudniejszy moment w życiu pańskiej kuzynki.

Wypiliśmy w milczeniu i mecenas Deliot podjął temat z właściwą sobie prostotą. Nigdy od niej nie odstępował, nawet w sprawach tak poważnych jak ta.

— Czuję, że ma pan ogromną ochotę powiedzieć mi: „To wszystko jest z pewnością bardzo interesujące, ale w końcu zakonnicy nie udało się doprowadzić do sporządzenia korzystnego dla siebie testamentu, natomiast jej następczyni, owa Rolande Granjo, zakrzętnęła się znacznie zręczniejszą wokół sprawy”. To prawda i w tym całe nieszczęście, że pani Bardor umarła dopiero w jedenaście lat po zakonnicy. Pielęgniarka miała zatem mnóstwo czasu, by doprowadzić do końca rozpoczęte dzieło, unikając przy tym błędów poprzedniczki. Gdyby wasza kuzynka zmarła tuż po zakonnicy, nie byłoby całej sprawy, wiadomo bowiem, iż wcześniej nie został sporządzony żaden testament. Panna Granjo działała z taką zręcznością, że możemy tylko żałować, iż w tej chwili naszym przeciwnikiem jest ona, a nie Marie- Josée... Powróćmy tymczasem do tej ostatniej... Zgodnie z przewidywaniami lekarza stan pacjentki uległ zdecydowanemu pogorszeniu i tu właśnie dochodzimy do kluczowego momentu naszej historii...

* *

*

Pewnego razu, kiedy pielęgniarka wyszła do apteki, Matylda została sama przy łóżku chorej, a wtedy ta słabym głosem odezwała się do niej:

— Moja droga Matyldo! Wiem, że niewiele pozostało mi życia, ale nie mogę już znieść cierpień. Dobry Bóg nie powinien tak doświadczać swoich wiernych wybranek. Opuszczając klasztor chciałam tylko spełnić wolę pana Bardora, który zlecił mi czuwanie nad panią, ale nigdy nie zdradziłam mojego Boga. Nigdy w moim życiu nie "było innego mężczyzny!

— Ja również na zawsze pozostałam wierna mojemu Jeanowi-Marie.

— Postąpiła pani bardzo słusznie. Ze wspomnień tej jedynej miłości czerpać będzie pani siłę do życia po moim odejściu. Proszę mi wierzyć: moim marzeniem było, aby owa serdeczna więź, jaka nas łączyła, trwała na zawsze. Niestety, Opatrzność zdecydowała inaczej i jestem zmuszona jej ulec... Na szczęście tym razem nie zostanie pani zupełnie sama, jak stałoby się to przed dziesięcioma laty, gdybym nie stanęła na pani drodze. Dzięki moim siostrzeńcom, którzy darzą panią głębokim szacunkiem, nie musi pani obawiać się zakusów swojej rodziny czyhającej na pani fortunę. Cieszę się, że udało mi się skupić wokół pani prawdziwych przyjaciół. Do nich może pani zaliczyć także narzeczoną Charlesa, uroczą Rolande. Bardzo panią lubi i będzie jej równie oddana jak mnie. W osobie nowego spowiednika, księdza Lorata, zyska pani dobrego doradcę duchowego. Pozostają jeszcze Alphonse i Honorine... Nie wątpię w ich wierność, ale to starzy ludzie, nie wypada ich dłużej męczyć służbą. Wspólnie z Charlesem podejmie pani decyzję o ich losie. Ja zaś będąc już w miejscu, z którego nie ma odwrotu, ośmielę się tylko zapytać wprost: co zamierza pani uczynić ze swoim majątkiem, Matyldo?

— Przekażę go w całości biednym.

— Wielce chwalebny pomysł! Proszę jednak uważać: są biedni i biedni! Niektórzy udają ubóstwo, by wzbudzić litość takich szlachetnych dam jak pani. Na razie radzę nie spieszyć się z realizacją tego zamiaru i pozostawić nadal zarządzanie dobrami w rękach Charlesa. On najlepiej zadba o pani interesy... Niech pani nie ufa notariuszowi! Nie podoba mi się ten Champenon de Viry! Źle mu z oczu patrzy. Czy nie zauważyła pani, że on nigdy nie spogląda prosto w oczy?

— To prawda! — zgodziła się Matylda.

— Widzi pani? To niezbity dowód nieczystych intencji! Być może' czeka panią jeszcze długie życie... Tam, gdzie się wybieram, mam nadzieję spotkać pani drogiego Jeana-Marie i wspólnie z nim czuwać nad pani losem.

— Ale kto będzie grał dla mnie na organach?

— Rolande powiedziała, że ksiądz Lorat jest znakomitym muzykiem.

— To dobrze! A kto będzie wzywał panią przy okrągłym stoliku, byśmy mogły pozostać w kontakcie?

— Rolande. Czyż nie udało się jej wywołać ducha Jeana-Marie w czasie mojej choroby?

— To też prawda!

— A zatem nie ma powodu do niepokoju. Czuję, że siły mnie opuszczają... Wkrótce nie będę już mogła mówić... Dlatego dzisiaj proszę panią o ostatnią przysługę, moje dziecko... Nie chcę dłużej znosić cierpień, więc proszę: niech mnie pani od nich uwolni!

— Jak to, Marie-Josée: mam panią zabić?

— Tylko pani może to zrobić! Charles jest w tej chwili w Szwajcarii, Déde nie zdobyłyby się na to, zaś Rolande nie pozwoliłaby na to etyka zawodowa... Do kogóż więc mam się zwrócić? Do Alphonse'a? Do Honorine? Za bardzo mnie nienawidzą, by oddać mi podobną przysługę. Moje cierpienia sprawiają im radość i na pewno życzą sobie, by trwały możliwie najdłużej.

— Proszę tak nie mówić! Alphonse i Honorine kochają panią jak my wszyscy...

— Nie. Są wierni rodzinie, której pani się wyrzekła, a nie otaczającym ją przyjaciółom. Dlatego powtarzam: po mojej śmierci będzie musiała pani ich oddalić.

— Zrobię to, jeśli tak pani mówi.

— Obiecuje mi pani?

— Obiecuję.

— Skorzystajmy więc z tego, że jesteśmy same i porozmawiajmy o uwolnieniu mnie od cierpień...

— Nie mogę tego zrobić! Nie mam prawa!

— Uwolnienie mnie od cierpień to pani obowiązek! Kiedy pani była w potrzebie, ja bez wahania przyszedłam z pomocą...

— Wierzę, że pani cierpienia muszą być straszne, ale ja nawet nie wiem, co należy zrobić... Nigdy nikogo nie zabiłam.

— Przecież chciała pani zabić księdza Vidisa.

— To zupełnie co innego! Gdyby mi wtedy nie przeszkodzono... Jeśli jednak go spotkam...

— Nie zabije go pani, Matyldo, gdyż jest to sługa Boży, a morderstwo nie zdałoby się na nic: nie on cierpi, lecz ja. Musi pani mnie słuchać i być mi posłuszną.

— Zawsze byłam pani posłuszna... A więc tej nocy mam iść do kuchni po nóż?

— Nie. Nóż zostawiłby ślady: obrzydliwa rana, krew, odciski palców na rękojeści... Nie chcę, żeby panią podejrzewano lub oskarżano o zabójstwo. Pragnę, by pani spokojnie żyła w otoczeniu starannie wybranych osób

1 wspominała mnie równie często jak Jeana-Marie. Nikt nie może wiedzieć, że mi pani pomogła. Niech myślą, że umarłam śmiercią naturalną! Dlatego trzeba działać tak, by nie zostawić śladów... Ufam, że pani sympatia do mnie podpowie jej, jak spełnić moją prośbę. Może trucizna? Niech pani dyskretnie zasięgnie informacji u Rolande. Nie wolno jednak wykazywać zbyt wielkiego zainteresowania, to powinno wyglądać na zupełnie niewinne pytanie. Ona jest tu jedyną osobą, która wie co i ile wziąć... Proszę tylko nie mówić mi, kiedy to się stanie. Nie chcę o niczym wiedzieć, wolę przejść do wieczności zupełnie nieświadomie.

— Ale religia zabrania zabijania bliźniego!

— Religia! Chrystus umarł na Golgocie w straszliwych męczarniach, chociaż Wszechmocny mógł uwolnić świat od grzechu bez skazywania swego syna na podobną śmierć. Czy pani skazałaby mnie na równie okropną agonię?

— Nie! Nie!

— A zatem proszę zrobić dokładnie to, o co proszę. Kiedy zaś to się stanie, nie powie pani o tym nikomu. Obiecuje pani?

— Tak.

— A teraz proszę już iść! Chcę odpocząć. Wszystko mnie męczy.

— Ale skoro jest pani przygotowana na śmierć, to może lepiej pozwolić jej działać. Ona lepiej wykona swoje zadanie...

— Nie chcę dłużej czekać!... Nie mogę już... Niech mnie pani zostawi samą! Wróci pani, kiedy znajdzie sposób... Takie jest moje polecenie!

Przez najbliższe trzy dni i trzy noce Matylda nie odważyła się wejść do pokoju Marie-Josée. Ostatniego dnia, widząc wychodzącego stamtąd księdza Lora-ta, omal nie padła mu do nóg z błaganem o wysłuchanie jej spowiedzi. Miała wielką ochotę wyjawić mu całą rozmowę z chorą. Nie ośmieliła się jednak. Strach przed sprzeciwieniem się ostatniej woli Marie- Josée wziął górę nad jej własną wolą. W pewnym momencie chciała nawet poradzić się księdza Vidisa, ale zrezygnowała. Wszak był zaciekłym wrogiem jedynej kobiety, jaka liczyła się w jej życiu.

Snuła się więc po swoim ogromnym pałacu: z pokoju szła najpierw do salo-nu, gdzie wpatrywała się w organy żywiąc skrytą nadzieję, że odezwą się pod do- tknięciem niewidzialnych rąk Jeana-Marie, co byłoby dla niej wyrazem jego aprobaty; z dużego salonu przechodziła do małego, by zasiąść przy trójnożnym stoliku w oczekiwaniu na znak obecności ducha zmarłego męża i w nadziei, że usłyszy odpowiedź na nurtujące ją pytanie: „Czy powinnam uwolnić ją od cier- pień?” Ale stolik milczał uparcie... Dwadzieścia razy na dzień wchodziła i scho- dziła po marmurowych schodach. Dwadzieścia razy wzdłuż i wszerz przemierza- ła przedpokój, wiedzona niespokojnym wzrokiem Alphonse'a. „Czy pani nic nie dolega?” — pytał wielokrotnie, ale ona nie odpowiadała. Jej cierpienia moralne były straszniejsze — tak sądziła — od cierpień fizycznych, jakich doznawała Marie-Josée. Nie odzywała się do nikogo, nie jadła... Jej zmysły mieszały się jeszcze bardziej.

Mimo to w jej głowie dojrzewał już plan spełnienia ostatniego życzenia za- konnicy. W końcu udało się jej znaleźć coś, co eks-karmelitanka nazywała „środkiem”. Całym swoim jestestwem odetchnęła z ulgą. To był sposób, który nie pozostawiał śladów, a więc dokładnie taki, o jaki chodziło. A przy tym znacznie praktyczniejszy niż trucizna, którą trzeba podać, patrząc choremu w oczy. Ten środek można było zastosować w czasie snu, zwłaszcza tak głębokie- go, jakim zasypiała Marie-Josée, której Rolande co wieczór wstrzykiwała potęż- ną dawkę środków nasennych. Gdyby Matylda umiała robić zastrzyki, mogłaby podać eks-zakonnicę śmiertelną dawkę tych środków, ale nikt nigdy nie nauczył jej posługiwania się strzykawką jak zresztą wielu innych pożytecznych rzeczy. A

poza tym bardzo bała się zastrzyków... Nie, jej pomysł był znacznie prostszy do wykonania i stary jak świat, a zatem wypróbowany, a przy tym dysponowała wymarzonym do tego celu narzędziem. Z całą oczywistością uświadomiła to sobie rankiem, czwartego dnia po kolejnej nieprzespanej nocy. Sama dziwiła się, że też od razu o tym nie pomyślała; wszak co noc miała na sobie owo cudowne narzędzie zbrodni. Sięgnęła po nie zaledwie kilka godzin po śmierci męża, by się w nie wtulić. Doznała wówczas uczucia, jakby ramię Jeana-Marie otoczyło czule jej szyję. Odtąd co wieczów zakładała „cudowny środek” pomagający jej przez dziesięć lat zasypiać z przekonaniem, że jej ukochany śpi obok.

Tym zbawiennym przedmiotem był jedwabny szal haftowany przez nowicjuszkę, który droga Marie-Josée wręczyła jej jako prezent ślubny w obecności ciotki Wandish. Przeznaczeniem owego szala miało być chronienie gardła Jeana-Marie przed przeziębieniem podczas koncertów w lodowatym kościele Saint-Sulpice. Pia-Pia nie chciał jednak go nosić uznawszy, że haft jest zbyt ozdobny. Teraz natomiast pomoże posłusznej Matyldzie spełnić oczekiwania zakonniczy. Posługując się nim, udusi przyjaciółkę i nie znajdzie się ani jeden świadek, który mógłby rzucić na nią choćby cień podejrzenia. Wprawdzie pielęgniarka śpi obok, w dawnym pokoju stryja Wandisha, ale drzwi łączące oba pokoje, zgodnie z życzeniem Marie-Josée, zawsze były zamknięte. Jako osoba przyzwyczajona do szpiegowania innych nie mogła znieść nieustannego nadzoru pielęgniarce. Teraz to zarządzenie chorej miało ułatwić Matyldzie zadanie. Z szalem na szyi zaczeka w swoim pokoju, aż cisza nocna zapadnie w całym domu, potem na palcach — starając się poruszać prawie bezszelestnie — przejdzie przez korytarz, cichutko otworzy drzwi dawnego pokoju lady Wandish, wślizgnie się do środka, podejdzie do łóżka, posłucha ostatniego oddechu chorej pogrążonej w głębokim sprowadzonym przez środki uśmierzające śnie... i do dzieła! Nie wolno jej tylko zastanawiać się, bo gotowa jeszcze uciec w przerażeniu, zamiast spełnić wolę przyjaciółki. Musi mocno zacisnąć szal na jej szyi i chwilę przytrzymać, nie zważając na ewentualne rzeżenie. A może nawet umierające ciało przyjaciółki nie będzie się bronić? Marie-Josée jest już przecież osłabiona chorobą... I to będzie koniec!

Zaślepiona narastającym obłędem, Matylda już kilka godzin wcześniej czuła, że mimo swojej delikatnej budowy zdoła zebrać dość siły, by doprowadzić do końca to niewdzięczne zadanie. Wiedziała też — sprawdziła, zaciskając szal na własnej nodze — że po niespełna godzinie nie będzie nawet najmniejszego śladu na skórze: taka była moc jedwabiu.

Rano pielęgniarka pomyśli, że osłabione serce samo z siebie przestało bić... Najlżejsza śmierć, jaką można sobie wyobrazić! Zaskakuje we śnie i w ciągu kilku sekund uwalnia umęczone ciało od cierpień. Wszyscy będą przekonani, że Opatrzność uznała, iż w ciągu ostatniego roku Marie-Josée dostatecznie odpokutowała za swe grzechy i zesłała jej lekką śmierć.

Tymczasem ów szal, podarunek klasztoru, który Marie-Josée porzuciła, będzie nie tylko narzędziem zbrodni Matyldy, ale także zemstą zdradzonego zakonu.

* *

*

— Tak właśnie wszystko się odbyło — rzekł Deliot — i w ten sposób pani Bardor popełniła prawdziwe morderstwo. W moim opowiadaniu nie ma żadnych spekulacji. Nawet sama rozmowa między pańską kuzynką i Marie-Josée musiała wyglądać właśnie tak, jak ją przedstawiłem. Nie mogło być inaczej!

W gabinecie adwokackim zaległo milczenie. Byłem zbulwersowany i nawet nie próbowałem poddawać w wątpliwość usłyszanej historii. W gruncie rzeczy była w niej pewna logika, logika osobowości Matyldy. Logika jej obłądu!

— Wszystko odbyło się zatem — odezwał się wreszcie Deliot — dokładnie tak, jak to Matylda przewidziała. Z małym wyjątkiem... W ciemności nie zauważyła, że nie jest sama w pokoju. W berżerze lady Wandish, wciśniętej między dwa okna, siedziała pewna osoba. Sparaliżowana ze zgrozy stała się mimowolnym świadkiem całej sceny. Złamanym głosem szepnęła tylko: „Na Boga! Co pani zrobiła?” To była Honorine.

Przerażona Matylda wybiegła z pokoju, a za nią stara służąca. Uciekając, pańska kuzynka nie zapomniała jednak szala, który wrócił na swoje zwykłe miejsce na jej szyi. Ten szczegół i całe wydarzenie znam z relacji Honorine sprzed czterech dni... W terminologii prawnej nazywamy to zeznaniem naocznego świadka i najlepszy w świecie adwokat nic tu by nie wskórał. Matylda musiałaby zostać skazana... Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, zaawansowany wiek i stan psychiczny, skończyłoby się zapewne na zakładzie dla obłąkanych.

— Skoro motywem jej działania było uwolnienie Marie-Josée od cierpień, można uznać to za swego rodzaju eutanazję.

— Niezupełnie... Eutanazji dokonuje osoba w pełni świadoma swego czynu, kierując się litością dla cierpiącego, a tego — jak mi się zdaje — nie można chy-

ba powiedzieć o pańskiej kuzynce. obrońca bez tniudu dowiódłby niepoczytalności swojej klientki.

— Jest pan pewien, że w tym czasie można już było uznać ją za niepoczytalną? Czy sporządzenie testamentu wiele lat później nie przeczy temu? Czy nie jest to dowód pełni władz umysłowych?

— Powtórzę panu to, co już powiedziałem wam na początku: mam absolutnie pewność — i nie omieszkać użyć tego argumentu podczas ewentualnego procesu — że testament został sporządzony przez pielęgniarkę lub księdza Lorata. Zadaniem pańskiej kuzynki było tylko przepisanie przygotowanego tekstu.

— Jej charakter pisma...

— Bez wątpienia, ale ani pan, ani Alphonse nie bylibyście w stanie określić, czy pisała to osoba zrównoważona psychicznie. Między dziecinnym charakterem pisma, a pismem półwariata nie ma zbyt wielkiej różnicy... Nie znaczy to oczywiście, że w ciągu tych jedenastu lat pańskiej kuzynce nie zdarzały się przebłyki świadomości! Nie wydaje się jednak, co potwierdzają zeznania Honorine, żeby w momencie popełnienia zbrodni wiedziała, co czyni... Muszę tutaj dodać, że był jednak ktoś jeszcze, kto odkrył prawdę: pielęgniarka. Oczywiście nie jako naoczny świadek! Ale ona także zachowała tę prawdę dla siebie, wtajemniczając w nią tylko swojego kochanka.

— Pana Vauchessera?

— Nie, kogoś innego.

— Kogo?

— Księdza Lorata.

— Co pan mówi?

— Jak zawsze prawdę i tylko prawdę. Miejsce zdetronizowanego gliniarza zajął w sercu Rolande Granjo młody, energiczny, nowoczesny ksiądz, ale o tym porozmawiamy w innym momencie.

— Skąd pan o tym wie?

— Od mojego starego przyjaciela, Champenona de Viry. Od początku nie miał zaufania do nowej ekipy rządzącej życiem i majątkiem pani Bardor po śmierci zakonniczy i zlecił przeprowadzenie dyskretnego, lecz szczegółowego wywiadu w południowo-zachodnim regionie Francji, gdzie znajduje się posiadłość Tenelles. Podobnie jak w przypadku efemerycznej Fundacji Jeana-Marie Bardora i tym razem udało się skłonić Matyldę, by kupiła ten dworek. Uczyniła to z entuzjazmem. Wkrótce „przyjaciele” zamknęli staruszkę w nowym nabytku, zmusili do starannego przepisania przygotowanego testamentu, a kiedy osiągnęli

już swój cel, pozwolili jej spokojnie doczekać śmierci, która nadeszła w osiemdziesiątym pierwszym roku jej życia. Kiedy mówię „spokojnie” nie oznacza to, iż nie mam co do tego pewnych wątpliwości, ale tym zajmiemy się nieco później, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

— Zawsze mnie pan zadziwiał, drogi Deliot, ale teraz po prostu wprawia mnie pan w podziw!

— Doprawdy? Chyba z wiekiem nabrałem więcej doświadczenia... Uwierzyłyby pan, gdybym powiedział, że coraz mniej rzeczy mnie zdumiewa?

— To zrozumiałe.

— A zatem wróćmy do momentu, kiedy obie kobiety — morderczyni i przerażona Honorine — stanęły naprzeciw siebie. Wyraz twarzy Matyldy był tak niewinny, a spojrzenie tak czyste, że kanonik Vidis dałby jej rozgrzeszenie bez spowiedzi.

* *

*

— Nie powinna była pani tego robić! — zaczęła szeptem Honorine. — Wiem, że to była zła kobieta, ale pani nie miała prawa tak postąpić!

Matylda ożywiła się niespodziewanie, jakby nagle otrząsnęła się ze złego snu, i odezwała się swoim cienkim głosem:

— Zabraniam ci tak mówić! Marie-Josée to najcudowniejsza z kobiet! Była wysłanniczką mojego ukochanego... Ale nie mogła już znieść tych straszliwych cierpień... Dlatego kazała mi przeciąć nić jej nieszczęsnego żywota. Sama wybrałam ten szal, bez którego nie wyobrażam sobie żadnej nocy. A teraz i jej przyniósł błogość wiecznego spoczynku... Widziałaś? Nawet nie pisnęła. Małeńkie chrapnięcie i już było po wszystkim... Czy to nie dowód, że nie cierpiała? Wszystko poszło wyjątkowo gładko.

— To straszne, co pani opowiada! Czy pani nie zdaje sobie z tego sprawy?

— A co ty robiłaś w jej pokoju? Czy też chciałaś ją zabić, by jej ulżyć? Przyznaj się!...

— Nie mam się do czego przyznawać, gdyż nigdy nie postąpiłabym jak pani.

— Rozumiem! Nie ciebie o to prosiła. To byłoby zresztą nieładnie z jej strony, gdyby zwróciła się z tym do ciebie, a nie do mnie, jej najlepszej przyjaciółki. Tylko przyjaciele mają prawo wyświadczać sobie podobne przysługi. A więc co tam robiłaś? Dlaczego schowałaś się w ciemności?

— Nie schowałam się. Odmawiałam różaniec — rzekła pokazując dowód rzeczowy. — Doktor powiedział, że nie ma dla niej ratunku, a panna Rolande potwierdziła to dodając, iż pozostało jej zaledwie kilka dni życia. Powiedziałam więc do Alphonse'a: „Wypada, żeby był ktoś przy niej w nocy, na wypadek, gdyby nastąpił koniec... Trzeba się też pomodlić za nią, przyda się jej to bardziej niż komukolwiek”.

— Ależ to zupełnie niepotrzebne! Marie-Josée była samą dobrocią. Z pewnością jest już w niebie, gdzie spotkała mojego Pia-Pia. Teraz razem będą czuwać nade mną z zaświatów...

— Tak pani uważa...

— Ksiądz Lorat także! Sam dał mi to do zrozumienia w zeszłą sobotę. Zresztą i tak była wolna od wszelkiego grzechu, ponieważ spowiadała się codziennie.

Honorine nic nie odpowiedziała.

— Teraz wreszcie zasnę—szepnęła Matylda. — Jestem taka zmęczona.

— Właśnie! Niech pani się położy... A co zrobimy z „tamtą”?

— Nic, Honorine. Pozwólmy jej odpoczywać... Tego właśnie jej potrzeba.

Nazajutrz rano Rolande Granjo znalazła Marie-Josée martwą. Nie byłaby pielęgniarzką, gdyby uznała to za normalne. Wprawdzie należało się spodziewać rychłego końca, ale ta nagła śmierć wyglądała bardzo podejrzanie. Wątpliwości zachowała jednak dla siebie. Mogły się przecież przydać do przejęcia władzy nad domem i Matyldą. Czuła, że ma do tego pełne prawo...Wszak ta, która leżała teraz martwa, dostatecznie długo korzystała ze swej pozycji. Jej siostrzeńcy także, a już najbardziej Charles!

Trzyletni związek z Charlesem zaczął już nużyć Rolande i nie zamierzała go kontynuować. To prawda, że Vauchesser sprowadził ją do tego domu, ale na tym kończyła się jego rola. Nie był jej już potrzebny, a teraz jeszcze zniknęła główna przeszkoda na drodze do całkowitego triumfu. Przyszłość należała do niej. Bez Charlesa! Czuła się młoda i pełna niezaspokojonych pragnień, a w zasięgu ręki miała cennego sprzymierzeńca w osobie księdza Lorata, z którym zamierzała zrealizować swoje plany. Młody ksiądz był przystojny, inteligentny, wykształcony i... dość wyzwolony, by nie zawracać sobie głowy idiotycznymi skrupułami, jakie przez całe wieki powstrzymywały duchownych przed prowadzeniem życia normalnego mężczyzny.

Na imię miał Yves... Yves Lorat: jakże to pięknie brzmiało! Ksiądz Yves... Dla niej po prostu Yves, była przecież jego kochanką. Stało się to w dniu, kiedy wybrała go na spowiednika zakonnicy. Żaden inny ksiądz nie chciał podjąć się tej roli. Tymczasem ksiądz Lorat nie odmawiał ani spowiedzi, ani komunii.

Kiedy zaś sam kanonik Vidis popadł w niełaskę z powodu historii z Vigée-Lebrun, na jego miejsce podsunęła natychmiast Matyldzie Yvesa. Teraz mieli ją w garści i nie zamierzali wypuścić do momentu, aż przekaże im wszystko. By jednak zyskać całkowitą swobodę działania, należało jak najszybciej pozbyć się Charlesa Vauchessera oraz jego kuzyna, Déde, a także Alphonse'a i Honorine.

O pozbyciu się Charlesa myślała od chwili, kiedy została kochanką księdza. Gotowy plan czekał na realizację, która według Rolande nie powinna być nastęrczyć większych trudności. Komplikacji nie przewidywała także w przypadku pary starych służących-kochanków. Miała nawet w zanadrzu pomysł, który powinien spodobać się starym, a jej zaskarbić ich wdzięczność.

Déde nie stanowił żadnego problemu: był taki nierozgarnięty...

Świadcstwo zgonu zostało wystawione przez znajomego lekarza ze szpitala Salpetriere, gdzie Rolande odbywała praktykę. Jakże mógł podać w wątpliwość prawdziwość słów pielęgniarce, której kompetencje zawodowe sam niedawno uznał? Nie pozostało mu nic innego, jak stwierdzić zgon.

— To dla niej lepiej, że tak się to wszystko skończyło — rzekł. — Oszczędziło jej to wielu niepotrzebnych cierpień, które musiałaby znosić jeszcze przez długie tygodnie.

Obecny był także ksiądz Lorat. Pobłogosławił zmarłą, po czym usiadł w berżerze lady Wandish i półgłosem mamrotał jakieś modlitwy, czytając je z przypominającej mszał książki, której nikt dotąd u niego nie widział. Często podnosił głowę znad swojej nabożnej lektury i przyglądał się kolejno twarzom zebranych wokół łóżka. Rolande, Honorine, Alphonse, Déde... Zdecydowanie największe wzruszenie manifestowała blada Honorine. Matyldzie oszczędzono widoku sztywnego, zimnego ciała Marie-Josée, który mógłby wywołać w niej niepotrzebny wstrząs. Usłużna pielęgniarce zaaplikowała jej środki nasenne. Nieobecność Matyldy pozwalała na poczynienie niezbędnych przygotowań do pogrzebu bez pytania jej o zdanie. Powiadomiony telefonicznie przez Rolande Charles Vauchesser przyleciał pierwszym samolotem. Na placu Stanów Zjednoczonych zjawił się około południa i od razu przystąpił do rzeczy. Mając zapewne na względzie klasztorne aspiracje dawnej Czcigodnej Matki Marie-Josée, obaj siostrzeńcy postanowili, że ceremonię pogrzebową ograniczy się do niezbędnego

minimum. Nie będzie nawet mszy. Po krótkiej modlitwie księdza Lorata nad trumną Marie-Josée zostanie pochowana jak żebraczka w zbiorowym grobie na podmiejskim cmentarzu. Oczywiście nie będzie żadnej mowy pogrzebowej. Co zresztą można by powiedzieć?

W pogrzebie — oprócz księdza Lorata — wezmą udział tylko dwie osoby: Vauchesser i Déde, którzy podążą za karawanem w nieodłącznym buicku. Alphonse i Honorine nie wyrazili chęci, by im towarzyszyć. Natomiast pielęgniarka, zwolniona z obowiązku czuwania przy chorej, postąpi dokładnie tak samo, jak uczyniła to nieboszczka po śmierci Jeana-Marie Bardora: dotrzyma towarzystwa Matyldzie, dla której ceremonia „złożenia do grobu” wielkiej przyjaciółki byłaby zbyt bolesna.

Biedna Matylda i jakże pociągająca ze względu na swoją fortunę! Jak bardzo byłaby nieszczęśliwa tracąc jedną po drugiej życziwe dusze, gdyby za każdym razem nie pojawiała się u jej boku jakaś litościwa istota, gotowa do największych poświęceń!

Rolande była jedną z takich osób. Dowiodła tego już podczas pierwszego têt-à-tête, które miało na celu pocieszenie przygnębionej Matyldy wtedy, gdy gdzieś na przedmieściu odbywał się pospieszny pogrzeb Marie-Josée:

— Nie trzeba o tym myśleć, moja droga Matyldo! — powiedziała używając ulubionego zwrotu Marie-Josée. — Kiedy coś się kończy, trzeba wyrzucić to z pamięci i myśleć już tylko o przyszłości! Co teraz zamierza pani robić?

— Ja... ja... nie wiem... Chcę do Marie-Josée!

— Ona nie pochwaliłaby tego pomysłu! Kogo miałyby chronić z zaświatów, gdyby pani już tu nie było? Pani mąż, pan Jean-Marie Bardor, także nie pozwoliłby na to. Nie mógłby wówczas rozmawiać z panią przy okrągłym stoliku. Musi pani być rozsądna. Czyż nie jestem tu po to, by nie czuła się pani całkiem opuszczona?

— Jest pani bardzo dobra! Naprawdę zostanie pani ze mną? Błagam o to, Rolande...

— Zostanę, jeśli przyrzeknie mi pani całkowite posłuszeństwo.

— Przyrzekam!

— To dobrze!... Korzystając z tego, że jesteśmy dzisiaj same i nikt nas nie słyszy — bo to musi pozostać naszą tajemnicą — powiem pani, że w pełni pochwalam pani postępek! Dobrze, że pomogła pani umrzeć biednej Marie-Josée...

— Więc pani też o tym wie?

— Wiem. A kto jeszcze o tym wie?

— Honorine. Wszystko widziała... Spowita w ciemności, siedziała w berzerce ciotki i odmawiała różaniec...

— Nie może być! — zawołała pielęgniarka. — Nic mi pani o tym nie mówiła!

— Nie mogłam!... Albo było zbyt wielu ludzi wokół mnie, albo spałam.

— Dzięki komu? Dzięki Rolande, pani nowej przyjaciółce!... Honorine także nic mi nie powiedziała. Zbesztam ją za to... No, dobrze! Co się stało, już się nie odstanie; nie warto dłużej o tym mówić, nie wskrzesi to Marie-Josée. Honorine musi mi jednak obiecać, że nigdy nikomu o tym nie wspomni. Nie dlatego, żeby był to czyn karygodny! Wręcz przeciwnie: pani uczynek oszczędził drogiej Marie-Josée straszliwej agonii, jaka ją czekała... Ale zna pani złośliwość ludzką, a zwłaszcza kąśliwość niektórych członków swojej rodziny! Zdaje sobie pani sprawę z tego, co by było, gdyby się dowiedzieli? Z pewnością kazaliby panią aresztować jak przestępczynię, a przecież pani nią nie jest! W więzieniu zaś nie mogłaby pani rozmawiać ani z Jeanem-Marie, ani z Marie-Josée! Mnie też by tam nie było... Zostałaby pani kompletnie sama!

— Nie! Nie! — jęknęła Matylda. — Boję się być sama.

— Dlatego nie może być mowy o więzieniu! Potrzeba pani swobody i dużo, dużo spacerów... Obiecuję pani, że wspólnie odbędziemy wiele pięknych wycieczek. A może zabierzemy ze sobą księdza Lora ta? Czasem dobrze jest mieć przy sobie mężczyznę.

— To prawda! Ale niech to nie będzie mój kuzyn, Hughes! Nienawidzę go! Mówił takie okropności o Marie-Josée!

— To do niego podobne! Cała pani rodzina jest taka sama: złośliwa, interesowna, zawistna... Wszyscy zazdroszczą pani fortuny! We pani, do czego byliby zdolni, gdyby znali okoliczności śmierci Marie-Josée? Mogliby uznać panią za szaloną i umieścić w zakładzie. Wówczas pani, taka cicha i spokojna, znalazłaby się wśród hałaśliwych wariatów!

— Nie chcę! Nie! Tylko nie wariaci! — prosiła Matylda.

— Może jako pielęgniarce — ciągnęła Rolande bezlitośnie — pozwolono by mi odwiedzać panią od czasu do czasu, ale na pewno ani duch Jeana-Marie, ani też duch Marie-Josée nie zgodziłby się nawiedzić podobnego miejsca. Dlatego właśnie nie może pani opowiadać nikomu o tym, co wydarzyło się tutaj przed trzema dniami.

— Nikomu!... A jeśli Honorine opowie?

— Nie opowie, jeśli natychmiast każe jej pani opuścić pałac. Radzę też tak samo postąpić z tym starym Alphonsem, który na nic już się nie przyda, a w dodatku jest jej kochankiem... Wiedziała pani o tym?

— Cóż za okropność! Honorine i Alphonse?

— Tak. To już trwa od wielu lat! Zdaje się, że już za życia Napoleona, którego zresztą nie znałam...

— Kto pani o tym powiedział?

— Marie-Josée.

— A więc to musi być prawda! Marie-Josée nigdy nie kłamała. Biedny Napoleon! Moja ciotka bardzo go lubiła. Miał takie wspaniałe wąsy... Zaraz odprawię Alphonse'a i Honorine! Będą mieli nauczkę za oszukiwanie mnie!

TLR

— I Napoleona... Ale nie będzie się tym pani zajmować! Zostawmy tę delikatną misję księdzu Loratowi! On to załatwi z właściwym sobie taktem. Któż lepiej niż on zna się na ludzkiej niedoli?

— A przy tym jest znakomitym spowiednikiem. Nigdy nie zadaje mi pokuty, jak to czynił zawsze kanonik Vidis. Powiedział, że pokuta niczemu nie służy, bo i tak popełniamy nowe grzechy, a gdybyśmy nie grzeszyli, miłosierdzie boskie nie byłoby potrzebne.

— Ma rację. To doskonały doradca. Co powiedziałyby pani, gdybym zaproponowała mu zamieszkanie z nami? Moglibyśmy nawet przekształcić duży salon w kaplicę... Mały salonik pani wystarczy. Nie musiałyby pani wtedy chodzić do żadnego z tych nie ogrzewanych kościołów, gdzie tylko katar można złapać. To kościół przychodziłby do pani. Msza w domu: czyż to nie szczyt marzeń?

— Tak! Mamy nawet organy.

— A Yves potrafi świetnie grać.

— Yves?

— To imię księdza Lorata. Czy nie sądzi pani, że lepiej byłoby nazywać go po imieniu, gdyby zgodził się zamieszkać z nami? To zresztą nic pewnego — jest bardzo niezależny!

— Niech pani spróbuje namówić go do uczynienia nam tej łaski! — jęła prosić Matylda składając ręce jak do modlitwy.

— Spróbuję. Ale jeśli się zgodzi, nie możemy bez przerwy mówić do niego „proszę księdza”. Byłoby to zbyt ceremonialne, a on uwielbia prostotę. Nie cierpi się wyróżniać. Dlatego właśnie zrezygnował z sutanny.

— Podobnie jak Marie-Josée! Mówiła, że nie lubi swojej zakonnej szaty, gdyż to onieśmiela ludzi i wpędza ich w kompleks niższości.

— Yves i Marie-Josée mieli wiele cech wspólnych, dlatego tak świetnie się rozumiecie. Musi też pani wiedzieć, że jest bardzo inteligentny i jeśli byłoby to konieczne, mógłby nawet zastąpić pana Vauchessera w prowadzeniu pani interesów, a jako ksiądz robiłby to z większą bezinteresownością niż jego poprzednik.

— Jaki poprzednik?

— Vauchesser.

— Więc on odszedł?

— Nie, ale wkrótce tak się stanie. Pani jednak nie musi się tym martwić.

— Marie-Josée mówiła, że jest pani narzeczoną.

— Ja jej tego nie powiedziałam. Nie mogę go znieść od czasu, gdy w sposób tak katastrofalny zaprzepaścił chwalebne dzieło, jakim była Fundacja Jeana-Marie Bardora utworzona dzięki pani hojności. Gdyby Yves zajmował się tą sprawą, wszystko byłoby inaczej. Uczyniłaby go pani kapłanem, a wtedy zobaczylibyśmy, czy wdowy wołałyby zostać w swoich samotniach. Gdyby tylko dowiedziały się o młodym, przystojnym księdzu w tego rodzaju fundacji, ściągałyby ze wszystkich stron świata... Ksiądz Lorat umiałby rozprawić się z marnotrawstwem, a tymczasem — wszystko skończone. Czy pani wie, że fundacja zamknęła swoje podwoje i została sprzedana?

— Pan Vauchesser nic mi o tym nie mówił.

— Nie miał odwagi przyznać się do tego. Uważam jednak, że pani powinna znać prawdę.

— To miło z pani strony, Rolande! Sądzę, że niełatwo pani o tym mówić, bo przecież kocha pani Charlesa.

— Powiedzmy, że na początku, kiedy zaangażował mnie do pracy w izbie chorych owej fundacji, darzyłam go pewnym uczuciem, ale muszę wyznać, że dalekie było ono od prawdziwej miłości. Bardzo szybko jednak rozczarował mnie... Jego ciotka, Marie-Josée, także nie była z niego zadowolona.

— Marie-Josée? Nie wiedziałam. Przecież sama zaproponowała mi go na stanowisko zarządcy niektórych moich posiadłości. Ona też mianowała go dyrektorem fundacji.

— I bardzo tego żałowała. Nie dalej jak dwa tygodnie temu, pewnego dnia, kiedy byłyśmy same, wyznała mi, co sądzi o nim. Gdyby ją pani słyszała...! Powiedziała mi nawet — ale niech to pozostanie między nami — że gdyby czuła się lepiej, poradziłaby pani, aby ksiądz Lorat przejął jego obowiązki.

— Tak powiedziała?

— Tak.

— To wszystko zmienia. Polecenia Marie-Josée trzeba wypełniać! Zechce pani zająć się tą sprawą?

— Warto też pozbyć się Déde: jest taki niezaradny... Powinien odejść tak jak jego kuzyn, Charles.

— Ale kto będzie prowadził samochód?

— Yves! On wszystko potrafi. Jeśli zwolnimy jeszcze Alphonse'a i Honorine, zaoszczędzimy sporo pieniędzy. Jestem przeciwna niepotrzebnym wydatkom. Yves i ja wystarczymy w zupełności!

— Ma pani rację. Stryj Wandish zawsze mówił, że w tym domu wydaje się zbyt dużo pieniędzy. A kucharka?

— Na razie zatrzymamy ją, gdyż nienawidzę zajmowania się kuchnią.

— Doskonale to rozumiem! Kiedy byłam młodą dziewczyną, ciotka wysłała mnie do pewnej instytucji prowadzonej przez siostry od św. Wincentego z Paul, gdzie panienki z dobrych domów poznawały sekrety kuchni. Miałam tam chodzić popołudniami trzy razy w tygodniu, ale już pierwszego dnia, kiedy kazano mi wypatroszyć rybę, zniechęciłam się do tych zajęć. W rezultacie nigdy więcej tam nie poszłam. Nie jestem stworzona do zajmowania się kuchnią, Rolande!

— To nie ma żadnego znaczenia, skoro Opatrzność dała pani środki na zapewnienie sobie personelu kuchennego.

— A co zrobimy z dozorcami?

— Musimy ich na razie zatrzymać, ale dołożymy im więcej obowiązków. Oni przecież nic nie robią! Przecież nie muszą oboje siedzieć w służbówce przez cały dzień. W ciągu dnia ona będzie sprawować dozór, a jej mąż zastąpi Alphonse'a w pracach domowych. Wieczorem zaś wróci do służbówki: lepiej, żeby o tej porze mężczyzna był u drzwi.

— Ale kto będzie zajmował się moimi sukniami, jeśli zwolnimy Honorine?

— Ja.

— Umie pani prasować?

— Miałam trudne dzieciństwo. Musiałam wszystkiego się nauczyć.

— A kto poda do stołu, jeśli odejdzie Alphonse?

— Kucharka sama nakryje do stołu. Yves zaś będzie miał klucz od piwnicy: nikt lepiej nie zna się na winach niż on. W naszych czasach trzeba upraszczać sobie życie, moja droga Matyldo!

— Chyba ma pani rację... Ksiądz i pani jesteście najcudowniejszymi przyjaciółmi!

— ...którzy uczynią z pani najszczęśliwszą kobietę na świecie!

Jako osoba szybko obracająca w czyn swoje słowa, Rolande Granjo bez zwłoki przystąpiła do usuwania niepożądanych osób. Rozstanie

z Charlesem przybrało charakter prawdziwej burzy. Odbyło się to nazajutrz po pogrzebie Marie-Josée w bibliotece lorda Wandisha—w której Matylda nigdy się nie pojawiała, nie lubiąc książek na równi z zapachem cygar — i w dodatku o godzinie pierwszej, kiedy pani Bardor oddawała się swojej sjeście poobiedniej. Pora i miejsce były zatem starannie wybrane tak, by do uszu Matyldy nie doszły odgłosy rozmowy Rolande z Charlesem.

— Jak długo potrwa ten cyrk? — zaczął Vauchesser.

— Jaki cyrk?

— Durzenie się w tym groteskowym księdzu! Myślisz, że nic o tym nie wiem?

— Déde ci powiedział?

— To chyba normalne! Kuzyni muszą trzymać się razem.

— Skoro już wiesz, to nie ma sensu tracić czasu: rozstajemy się i koniec!

— Ty tak zdecydowałaś?

— Nie, chlebodawczyni.

— Chlebodawczyni? Kpisz sobie ze mnie? Czyż ona jest zdolna do decydowania o czymkolwiek?

— Dowiedziała się, że roztrwonileś fundację i nie jest z tego zadowolona. Sama ci to powie w mojej obecności. A teraz wracaj do swojej garsoniery, której na szczęście się nie pozbyłeś: czasem przezorność bywa opłacalna. W ciągu doby otrzymasz zwolnienie listem poleconym z potwierdzeniem odbioru.

— Tak? A kto zredaguje ten list?

— Ja. Matylda tylko przepisze i złoży podpis. W ten sposób zarząd przejdzie w ręce kogoś innego.

— Kogo?

— Z pewnością nie w ręce twojego kuzyna Déde. On też zresztą wyleci tego samego dnia co i ty. Chyba nie spodziewałeś się, że powierzę administrację dóbr takiemu idiocie.

— A więc kto się tym zajmie?

— Ktoś odpowiedni! Ktoś, kto zna się na tym lepiej niż inni.

— Ksiądz?

— Właśnie! Ksiądz. Przeszkadza ci to?

— Ona wie, że jest twoim kochankiem?

— Nawet jeśli jej powiesz, nie uwierzy ci. Czy ksiądz, który jest jej spowiednikiem, grzeszyłby ze mną? Podobna rzecz nigdy nie przejdzie

przez myśl ostatniej z rodu Raviroux-Luzensac. Odkrycie przed nią prawdy odniosłoby dokładnie ten sam skutek, co próba uświadomienia jej, że twoja „święta” ciotka, Czcigodna Matka, była współautorką wszystkich twoich oszustw, począwszy od historii z obrazami. Pamiętasz chyba, że nie uwierzyła nawet kanonikowi Mdisowi. Wierzy tylko mnie, bo nie jestem taka głupia jak kanonik, a poza tym uważa mnie za najzacniejszą z kobiet.

— Ciebie?

— Tak, bo nigdy nie miałam nic wspólnego z twoimi brudnymi interesami. W dniu, w którym zechcę zgarnąć całą fortunę tej starej wariatki — tak, tak! całą! — uczynię to drogą legalną. Uczciwie cię jednak ostrzegam, że jeśli ty lub Déde spróbujecie mnie oczernić przed kimkolwiek lub w inny sposób mi zaszkodzić, nie będę miała dla was litości. Powiadomię policję o kradzieży obrazów, byłeś tak głupi i nieostrożny, że sam mi o tym opowiedziałeś. A gdyby to nie wystarczyło, podam także numery trzech kont w bankach szwajcarskich. Zapisaleś je w notesiku, który, twoim zdaniem, starannie ukryłeś, ale ja go odnalazłam! Zanotowałam nawet kwoty, jakie tam ulokowałeś, a które pochodzą przecież ze sprzedaży akcji fundacji.

— A gdybym zmienił numery i banki?...

— Przewidziałam i to! Zasięgnęłam informacji i muszę cię rozczarować: dzisiaj nie jest to już takie proste jak sądzisz... A gdybyś nawet to zrobił — do tej pory nie miałeś jednak powodów, bo niczego się nie domyślałeś — powtarzam: gdybyś to zrobił, zostałby jakiś ślad i z pewnością zapytano by cię, co stało się z tymi funduszami. Żaden urząd skarbowy nie uwierzy, że podobne kwoty mogły po prostu zniknąć. Zrozumiałeś? Jeśli jednak nie będziesz robił głupstw, obiecuję milczeć jak grób. Na sprzedaży obrazów, akcji i całej reszty musiałeś się zresztą nieźle obłowić i z pewnością starczy ci teraz na dostatnie życie, a nawet na utrzymywanie nowej przyjaciółki... Ach, i jeszcze jedno! Jeśli przypadkiem coś mi się przytrafi uprzedzam, że to, co powiedziałam, nie umrze wraz ze mną. Wszystko łącznie z waszymi nazwiskami jest zapisane i złożone w bezpiecznej skrytce. Szyfr zna ksiądz — tak, znowu on! — i jest doskonale poinstruowany, co robić na wypadek nieszczęścia. Możesz być pewny, że w poczuciu kapłańskiego obowiązku nie zawaha się przed wypełnieniem mojej ostatniej woli. A teraz idź! Jeśli spotkasz Déde, powiedz, żeby też się stąd zabierał. Ksiądz, który właśnie wprowadza się do tego domu, wypłaci mu pensję za trzy miesiące, zapłaci ubezpieczenie i wszelkie inne należności. Może mu

także wystawić pochlebne referencje jako szoferowi. Przedłożę je do podpisania jego pracodawczyni, pani Bardor... To wszystko, Charles! Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia!

— A ja tak!

— Słucham...

— Zapłacisz mi za to!

— Czyżby?

* *

*

— Sprzeczkę między Vauchesserem i Rolande — powiedział mecenas Deliot — poznałem dzięki Alphonse'owi, który zawsze podsłuchiwał — w końcu to podstawa jego zawodu — po drzwiach. Ileż dysput między lordem i lady Wandish wysłuchał z tego miejsca! Ich eleganckie w słowie kłótnie mogły jednak uchodzić za szczyt wyrafinowania w porównaniu z tym, co dało się słyszeć podczas starcia eks-pielegniarki z eks-gliniarzem. W taki oto sposób wymieciono resztki ekipy zakonnicy. Dodam jeszcze — to z kolei wiem od Honorine — że tego samego wieczoru Rolande Granjo opuściła pokój lorda Wandisha, gdzie „jej” Yves wniósł swoje rzeczy, i zajęła sypialnię lady Wandish. Nazajutrz zaś, idąc śladem swojej poprzedniczki, rozstała się z pielęgniarzkim strojem przydającym jej tyle wdzięku i zaczęła ubierać się normalnie. To wcielenie eks-pielegniarki poznał pan w biurze notarialnym. Czy w tym nowym odzieniu było choć trochę elegancji?

— Najmniejszej! Wyglądała bardzo przeciętnie.

— Czy była w czerni?

— Nie. W brązowym kostiumie.

— Uważam, że to błąd z jej strony. Dziwne, że przy swojej przebiegłości nie pomyślała o wystąpieniu w żałobie i to w dniu otwarcia testamentu, na mocy którego stawała się główną spadkobierczynią. Nie sądzi pan?

— W świetle tego, co usłyszałem, jej strój nie dziwi mnie ani trochę. Wszak nie lubiła niepotrzebnych wydatków...

— Zapomniałem! Ma pan rację.

— Ciekaw jestem, czy w ciągu ostatnich jedenastu lat siostrzeńcy zakonnicy próbowali zemsty?

— Zdaje się, że nie... w obawie przed denuncjacją ze strony Rolande. A poza tym, jeśli nie jest się hazardzistą, pijakiem lub narkomanem, wyczerpanie tak bogatych zasobów wymaga jednak długiego czasu! Niewykluczone natomiast, że zaczną działać, kiedy dowiedzą się, iż „stara wariatka” zmarła, a słodka Rolande odziedziczyła lwią część fortuny. Moim zdaniem, byłoby to bardzo zabawne... Jeszcze trochę whisky?

— Opróżnimy całą butelkę...

— I co z tego? Jeśli od dwóch godzin operujemy — cóż, że tylko słownie? — milionami, które do nas nie należą, do diabła ze skąpstwem! Opróżnijmy całą butelkę! Następnym razem postawi pan... W każdym razie, jeśli wziąć pod uwagę ilość szklaneczek wysączonych w przerwach między poszczególnymi wątkami, widać jak bardzo posunęliśmy się w całej opowieści... Pozostała jeszcze kwestia sposobu, jakiego użyto, by usunąć dwie najbardziej zakorzenione w rodzie i domu na placu Stanów Zjednoczonych osoby: Alphonse'a i Honorine.

— Zanim do tego dojdziemy, drogi mecenasie, opowiem coś, co pozwoli panu wytchnąć przez kilka minut.

— Słucham.

— Pewnego ranka zadzwonił do mnie Alphonse. W jego głosie nie było już trwogi, z jaką opowiadał mi o tym, jak Matylda biegała po placu Stanów Zjednoczonych w dezabilu z tasakiem w ręku, a wręcz przeciwnie, przebrzmiewała w nim nutka radości:

— Dobra nowina, panie Hughes! Ona nie żyje!

— Kto? — spytałem zdziwiony, że śmierć Matyldy wierny Alphonse nazywa dobrą nowiną.

— Zakonnica.

— Ach, więc to się stało! To rzeczywiście doskonała wiadomość, Alphonse! Już widzę radość Stéphanie... Czy ona wie?

— Nie. Pana powiadomiłem pierwszego, ale nie omieszkałem też i pani baronowej ucieszyć tą wiadomością.

— Na co umarła?

— Na raka. Nosiła go w sobie od powrotu ze Szwajcarii. Dziś rano pielęgniarka znalazła ją martwą w łóżku.

— Myślę, że kamień spadł wam z serca. Honorine jest chyba bardzo zadowolona...

— No... tak... — tu głos Alphonse'a załamał się nieco, zmatowiał stracił swoją pewność.

— Co z Matyldą?

— Pani jest u siebie. Pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk uspokajający. Teraz śpi.

— To dobrze. Kiedy pogrzeb?

— Chyba pojutrze, ale my z Honorine nie pójdziemy.

— Mam nadzieję, że nie pochowają jej w krypcie w Saint-Servat!

— Nie. Mówi się o przedmieściu. Wszystkim zajmują się siostrzeńcy.

— Co teraz będzie?

— Nie wiem.

— Zadzwoń więc, jeśli wydarzy się coś nowego!

... Zrobił to po czterech dniach.

— Panie Hughes! Jest coś nowego: Vauchesser i Déde odeszli!

— Niemożliwe! Szczury uciekają z tonącego okrętu...

— My nie toniemy. Dowództwo objęła pielęgniarka.

— Już? Może to dla was dobry znak...

— Nie byłbym tego taki pewny... Na razie wprowadziła się do pokoju lady Wandish, a ksiądz Lorat — wie pan, nowy spowiednik pani — do pokoju lorda Wandisha. Oba pokoje połączone są wewnętrznym przejściem.

— To obiecujące... Jest jeszcze coś nowego, Alphonsie?

— Honorine i ja jesteśmy bardzo niespokojni! Obawiamy się, że niebawem podzielimy los siostrzeńców. Oczywiście, nie o nas tu chodzi — każde z nas od dawna posiada maleńkie mieszkanie na ulicy Dobroczynności — ale o panią. Co z nią będzie, kiedy pozostanie sama w rękach tej ekipy? Odnoszę wrażenie, że nie jest więcej warta od poprzedniej.

— Podzielam twoje obawy. Czekam na dalsze wieści...

... Zadzwoił po dwóch dniach, by oznajmić grobowym głosem:

— Honorine i ja zostaliśmy wyrzuceni!

— A oto — odezwał się Deliot — jak to się odbyło... Zgodnie ze szczegółowo opracowanym przez panią Granjo planem, odprawieniem Alphonse'a i Honorine zajął się jej nowy kochanek, ksiądz Lorat, który właśnie wprowadził się do luksusowej posiadłości Matyldy. Chociaż nie nosił sutanny, zachował jednak pewne kapłańskie dostojeństwo i z niezwykłą zręcznością zabrał się do działania. Odbyło się to w bibliotece.

Dziwnym zbiegiem okoliczności miejsce relaksu i poobiedniego wypoczynku przybrało charakter egzekucyjny.

— Drodzy przyjaciele — zaczął — domyślacie się zapewne, że po przeżyciach ostatnich dni, pani Bardor może czuć się zmęczona. Mnie zatem zleciła tę niewdzięczną misję, której wolałbym uniknąć... Jest mi tym bardziej niezręcznie, że panna Granjo i ja mamy dla was wiele szacunku. Proszę mi wierzyć, że nie jest on mniejszy od uczucia, którym darzyliście lorda i lady Wandish, a po ich śmierci państwa Bardor. Niestety, wszystko ma swój koniec. Bez względu na to, kim jesteśmy, wszystkich czeka starość. Dla was ten moment właśnie nadszedł i czas, byście skorzystali z zasłużonej emerytury. Każde z was otrzymało mieszkanie, gdzie spokojnie doczeka ostatniej godziny. My, ze swej strony, zdołaliśmy nakłonić panią Bardor, by zgodziła się przyznać wam ponadto dożywotnią pensję, którą otrzymywalibyście co miesiąc. Oczywiście jej wysokość podlegać będzie indeksacji w zależności od ceny złota. W ten sposób nie dotkną was wahania pieniądza, którego wartość, jak wiemy, rzadko zwyżkuje, a raczej niepokojąco spada. Czy odpowiada wam ta propozycja?

— My... — zaczął się jąkać Alphonse.

— Jesteście wzruszeni? Rozumiem! — pospieszył z pomocą ksiądz Lorat. — Ale znając od tylu lat niemalże przysłowiową hojność rodziny Raviroux-Luzencac, trudno było spodziewać się innego zachowania ze strony ostatniej z tego znamienitego rodu. Ja zaś pragnę dodać, że od 1 lutego każde z was będzie otrzymywać przekazem pocztowym sumę równą podwójnym dotychczasowym poborom. Wypłatą zajmę się osobiście, a w razie mojej nieobecności, wyznaczone przeze mnie biuro. Oczywiście za zgodą pani Bardor! Ona też podpisze dokumenty prawnie gwarantujące wam wypłatę wspomnianych należności i każde z was otrzyma taki dokument w dniu odejścia... Nie wiem, co o tym sądzicie, ale, moim zdaniem, nie można było spodziewać się godziwszej zapłaty za długoletnią wierność.

— Kiedy mamy odejść? — spytała cicho Honorine

— Dlaczegoż by nie w ciągu najbliższych dni? Macie przecież dokąd pójść, a w dodatku jest już 29 stycznia. Za trzy dni, tj. 1 lutego, zaczniecie otrzymywać wypłatę nie „emerytury” — wszyscy czujemy jednakową niechęć do tego słowa — ale, nazwijmy to, „nagrody” za wszystko, co uczyniliście tutaj i w czasie pobytu w Hautefeuille.— Chciałbym jeszcze zwrócić się do Honorine z pytaniem dość delikatnej natury... Panna Granjo i ja wiemy, w jakich okolicznościach, jeśli wolno mi tak określić, zostałaś świadkiem nagłej śmierci czcigodnej matki Ma-

rie- Josée. Postanowiliśmy nie wracać do szczegółów tego przykrego zajścia wierząc, że i ty, Honorine, nie powtórzysz ich nikomu... z wyjątkiem Alphonse'a, ale to przecież zrozumiałe, skoro od śmierci męża jesteście sobie bliscy. Opowiedziałas mu o tym, prawda?

— Nie mogłam się powstrzymać — szepnęła.

— Dobrze zrobiłaś! Nikt nie może ci mieć za złe szczerości wobec mężczyzny, z którym związałaś swoje życie. Dlaczego właściwie nie poślubisz Alphonse'a? Czyż nie wykazał anielskiej cierpliwości, czekając na ciebie przez tyle lat? Bóg nie lubi niejasnych sytuacji, a w swojej niezmierniej łaskawości umie wybaczać grzechy młodości. Tak, Honorine... Twój związek z Alphonsem nie jest niczym innym, nawet jeśli trwa tak długo... Miłość czyni nas wiecznie młodymi! Jestem gotów pobłogosławić wasze małżeństwo, jeśli wyrazicie na to ochotę.

— Za pozwoleniem księdza — odparł Alphonse — wolelibyśmy, by zrobił to kanonik Vidis, nasz spowiednik...

— Rozumiem! Wasza wola!... Ale nie radzę zwlekać z decyzją. Doszły mnie słuchy o jego nie najlepszym zdrowiu. Zdaje się, że wkrótce opuści naszą parafię, aby przeżyć resztę swoich dni w specjalnym domu starców dla sług bożych. Myślę, drodzy przyjaciele, że już wszystko sobie powiedzieliśmy. Może się zdarzyć, że nie zobaczymy się przed waszym odejściem, a więc już teraz składam wam najszczerze życzenia małżeńskiego szczęścia, jeśli za moją radą zechcecie uregulować waszą sytuację. Już i tak trwacie zbyt długo w grzechu.

— Czy wolno nam będzie — ośmielił się Alphonse — pożegnać się z panią?

— Prawdę mówiąc, panna Granjo i ja wolelibyśmy uniknąć tych pożegnań. To smutne i w gruncie rzeczy niepotrzebne. W dodatku mogłoby to sprawić pani ból. Chyba dość już łez! Wystarczająco dużo płakała w swoim życiu, a od śmierci jej drogiego Jeana-Marie prawie nic innego nie robi. Do tego dochodzi jeszcze żal po stracie Marie-Josée. To za dużo, o wiele za dużo dla tak wrażliwej istoty. Dlatego właśnie panna Granjo i ja połączymy swoje siły, by wnieść trochę radości w jej życie, wywołać uśmiech na jej twarzy, może nawet szczery śmiech... Niczego bardziej nie trzeba jej w tej chwili... Gdy tylko otrzymacie obiecane poświadczenia, które, mamy nadzieję, podpisze nie czytając, odejdziecie bez zwracania jej uwagi. Nie wolno zakłócać jej spokoju. Jako starzy, wierni przyjaciele powinniście pragnąć jej dobra w równym stopniu jak my, a dyskretnym odejściem dacie właśnie tego dowód.

— Oto jak po pięćdziesięciu latach pracy — podsumował Deliot — odprawiono tych dwoje służących. Przyzna pan, że to bardzo podłe!

— Bardzo! Może nawet zniechęcić do wiernej służby... Ale skoro znowu wspomniał pan nazwisko poczciwego kanonika Vidisa, ostatniego z tych szlachetnych ludzi, którzy związani byli z historią miłości Matyldy, opowiem panu o ślubie Alphonse'a i Honorine. Wzięli go w małej kaplicy w krypcie kościoła Św. Piotra w Challiot w miesiąc po odejściu ze służby. O ile wiem, był to ostatni ślub, jakiego udzielił kanonik, zanim duszpasterską opiekę nad tą parafią przejął jego następca.

... Alphonse i Honorine powiadomili mnie i Stéphanie o swoim odejściu z posiadłości na placu Stanów Zjednoczonych, ale o tym, że otrzymali godziwą rekompensatę, dowiedziałem się dopiero od pana. Myślę, że wobec nas woleli uchodzić za ofiary. Czuli się niezręcznie —jako jedyni z naszego obozu, nie zostali skrzywdzeni pod względem finansowym.

... Krótko mówiąc, Stéphanie i ja zostaliśmy poproszeni na świadków. Ja miałem być świadkiem Honorine, Stéphanie zaś — stanąć u boku Alphonse'a. Oprócz nowożeńców i świadków jedyną osobą obecną wówczas w kaplicy była kuzynka Bea, nieodłączny element wszelkich uroczystości kościelnych. Ślub cywilny odbył się jednak bez jej udziału, gdyż do merostwa żadna siła nie jest w stanie jej zaciągnąć. Oprócz błękitnej krwi w jej żyłach płynie wrodzona awersja do popiersia Marianny. Dla Bei Marianna to republika. A tam w dodatku jakiś człowiek przepasany trójkolorową szarfą bredzi coś o legalnym łączeniu ludzi „na dobre i na złe” w imieniu tej, pogardzanej przez nią, republiki. Trudno byłoby jednak połączyć Alphonse'a i Honorine węzłem małżeńskim w imieniu króla, nawet jeśli życie spędzili w służbie u arystokratów. Tak więc Bea wywinęła się od uroczystości cywilnej. Zupełnie niepotrzebnie, bo żadnej przemowy nie było. Nie było jej także w kościele. Nie siląc się nawet na oratorskie uniesienia w stylu kardynała z Akademii Francuskiej, kanonik powiedział tylko kilka słów, płynących jednak z głębi serca. Było to równie wzruszające jak krótkie.

Podczas każdej wizyty w pałacu na placu Stanów Zjednoczonych — czy to z okazji obiadu, czy koncertu organowego pana Bardora — ksiądz Vidis chwalił doskonale urządzenie szatni pod głównymi schodami, które było dziełem Honorine, oraz jakość bufetu przygotowanego przez Alphonse'a w jadalni na pierwszym piętrze. Zaczynając nigdy nie omieszkał zapytać: „Dla księdza kanonika odrobina szampana, jak zwykle?“, na co kanonik odpowiadał: „Widzę, że znasz moje słabości, drogi Alphonsie...”

... Po błogosławieństwie, podczas którego Alphonse i Honorine nie bez wzruszenia wymienili obrączki, przeszliśmy do zakrystii. Zostawiwszy nowożeńców, by w samotności cieszyli się swym szczęściem, mogłem wreszcie porozmawiać przez chwilę z kanonikiem Vidisem.

— Co się teraz dzieje w pałacu na placu Stanów Zjednoczonych? — spytał.

— Nie wiem nic prócz tego, co i księdzu wiadomo.

— Bywało często, że przechodząc obok tego pałacu, do którego z woli czcigodnej matki Marie-Josée — niech Bóg ma w opiece jej duszę! — nie miałem prawa wstępu, czułem nieprzepartą ochotę, by wejść tam, lekceważąc wszelkie zakazy, by choć przez moment zobaczyć biedną panią Bardor.

— I ja miałem podobną chęć — przyznałem się — za każdym razem, kiedy przejeżdżałem tamtędy samochodem... I, tak jak ksiądz, nigdy się na to nie odważyłem. Bynajmniej nie ze strachu, lecz ze względu na drogą Matyldę, na którą taka wizyta mogłaby ściągnąć surową reprimendę ze strony jej cerbera.

— Z relacji Alphonse'a i Honorine wynika, że „nowi” nie są wcale lepsi!

— Jeśli nie gorsi, księżę kanoniku. Zdaje mi się, że teraz Matylda jest prawie jak w więzieniu.

— A najgorsze, że „nasi” poczciwi donosiciele, których właśnie pobłogosławiłem, nie będą już mogli informować nas o poczynaniach nowych „opiekunów” pani Bardor.

... Kilka dni później dobry kanonik Vidis odszedł do domu starców i nigdy już go nie spotkałem. Nie upłynęło wiele czasu, a Alphonse zawiadomił mnie telefonicznie o jego śmierci. Wyznam, drogi mecenasie, że bardzo lubiłem tego starego duszpasterza.

Przez dłuższą chwilę Victor Deliot trwał w milczeniu, a ja przywołałem w pamięci mocno zbudowaną, lecz jakże sympatyczną sylwetkę starego kanonika i tę emanującą z niego promienną filozofię oraz gotowość niesienia dyskretnej pomocy potrzebującym.

— Drogi przyjacielu — odezwał się Deliot wrywając mnie z tych rozmyślań — odnoszę wrażenie, że dotarliśmy do miejsca, w którym zatrzymał się stary kanonik przed dziesięciu laty... W ciągu jednego wieczoru opowiedział mi pan wszystko, co wiedział o dzieciństwie, młodości, małżeństwie i pierwszych dniach wdowieństwa swojej kuzynki. Tej nocy ja zaś przedstawiłem ciąg dalszy, który poznałem w czasie przesłuchań różnych osób. W rezultacie znamy dwa pierwsze rozdziały historii życia Matyldy. Niestety, jest jeszcze trzeci i chyba najokrutniejszy. Musimy jednak do niego zajrzeć, jeśli chcemy zdobyć broń do walki o sukcesję. Moim zdaniem, wiedzę należy czerpać u źródła, a zatem odpowiedzi na pytanie, co naprawdę wydarzyło się w ciągu ostatnich jedenastu lat życia pani Bardor, w czasie których była całkowicie uzależniona od pielęgniarzki i tego wątpliwego księdza, wypada szukać na miejscu. W tym celu zamierzam udać się do Tenelles w południowo-zachodniej części Francji, gdzie leży posiadłość pańskiej kuzynki. Tam właśnie wydała ostatnie tchnienie i tam nadal mieszka panna Granjo. Przy okazji zajrzę do tamtejszego kościoła, by rzucić okiem na słynne organy, które po tym, jak rozmontowano je i wywieziono z pałacu na placu Stanów Zjednoczonych, zostały przewiezione i zmontowane na nowo w Tenelles. A propos, co pozostało z pięknej paryskiej posiadłości? Champenon de Viry powiedział mi, że wkrótce po śmierci zakonnicy przeznaczono ją na sprzedaż, ale nabywca znalazł się dopiero po wielu latach.

— Została całkowicie zrównana z ziemią, a na jej miejscu powstał nowoczesny, dziesięciopiętrowy budynek. Chyba mieszczą się tam jakieś biura... To, co powiedział panu przyjaciel notariusz, jest prawdą: pałac rzeczywiście opustoszał w niespełna trzy miesiące po ślubie Alphonse'a i Honorine... Zastanawiam się tylko, dlaczego, u diabła, Honorine przedstawiła się panu jako „pani Duchamp? Dlaczego pod tym nazwiskiem figuruje w testamencie? To nazwisko jej pierwszego męża, Napoleona. Dlaczego nie nosi nazwiska „Boutu“?

— Zadałem im to pytanie i w odpowiedzi usłyszałem, że były po temu dwa powody. Po pierwsze: swego rodzaju uczczenie pamięci Napoleona Duchampa, którego oboje lubili. Może to brzmi dość zaskakująco, ale tak się właśnie wyrazili. A po drugie: obawa przed wstrzymaniem wypłat Honorine, co mogłoby zaświatać w głowie pełnomocnika księdza Lorata — niejakiego Raynauda — skłoniła ich do zachowania w tajemnicy faktu zalegalizowania ich związku. Stąd też właśnie w testamencie spreparowanym przez „tamtych”, a tylko przepisany przez Matyldę na kilka miesięcy przed jej śmiercią, nazwisko „Honorine Duchamp” zostało utrzymane. To również dowód, że Rolande Granjo i ksiądz Lorat nie mie-

li pojęcia o ślubie Alphonse'a i Honorine. Prawdopodobnie będę mógł wykorzystać to, by zakwestionować ważność testamentu, w którym nazwisko jednego ze spadkobierców nie jest uaktualnione. Ale powróćmy do sprzedaży pałacu.

— To prawda, że były z tym kłopoty mimo doskonałego usytuowania budynku: mógłby być wspaniałą ambasadą! Tymczasem, przynajmniej przez trzy lata, widziałem ogromną tablicę z napisem: „Na sprzedaż”, przytwierdzoną do fasady pałacu. Był na niej również numer telefonu, pod który należało się zgłaszać. Pod tym numerem — sprawdziłem z czystej ciekawości — można było skontaktować się z panem Raynaudem...

— To zaufany człowiek księdza Lorata, jak poinformował mnie notariusz. A teraz, kiedy wtajemniczyłem już pana we wszystkie sekrety, czekam na pańską opinię o tym, jaką postawę powinienem przyjąć wobec obu kuzynek w czasie naszego spotkania ogólnego?

— Ani jednej, ani drugiej nie wspominać o okolicznościach śmierci Marie-Josée. To nie miałyby najmniejszego sensu. Jak pan słusznie zauważył, Stéphanie nie jest aniołem, a jedyna rzecz, jaka ją interesuje, to pieniądze. Bea zaś powie „amen” na wszystko, co tamta zadecyduje. Już wyobrażam sobie reakcję tej tygrysicy-Stéphanie, gdyby za życia Matyldy dowiedziała się o jej porannym spacerze w dezabilu z tasakiem w ręku oraz o „dobroczynnej” roli, jaką w krytycznym okresie życia eks-zakonnicy odegrał szal haftowany przez młode karmelitanki. Z pewnością udałoby się jej zwołać radę rodzinną, a ta bez trudu uzyskałaby zgodę trybunału na zamknięcie Matyldy w zakładzie psychiatrycznym. W ten sposób, z pomocą wyznaczonego syndyka, przejęłaby zarządzanie majątkiem. To prawie szczęście, że biedna Matylda już nie żyje. Zniosła dyktaturę ciotki Wandish, permanentną presję wywieraną przez Marie-Josée, przeżyła piekło w rękach Rolande Granjo i jej kochanka, ale uniknęła przynajmniej „sprawiedliwych” rządów kuzynki Stéphanie...

— Co za los! — westchnął Deliot. — A zatem nie wspomnę jutro o niczym. I bez tego możemy pokrzyżować plany panny Granjo i księdza Lorata. Podczas naszego spotkania przedstawię swoją taktykę. Zrobiło się już późno. Myślę, że czas się już pożegnać. Obaj musimy wypocząć.

— Nie zdradzi mi pan, jak zamierza się do tego zabrać? Zawahał się chwilę, ale w końcu powiedział:

— W imię naszej starej przyjaźni zaspokoje pańską ciekawość... Oto jak wszystko powinno przebiegać: zacznę od wszczęcia postępowania sądowego w

celu zablokowania sukcesji. W ten sposób udowodnię naszym przeciwnikom, że nawet jeśli wygrają proces, jestem gotów uczynić wszystko, by przez wiele jeszcze lat nie mogli korzystać ze spadku. Kiedy zaś dojrzeją do dialogu, spróbuję wyciągnąć z nich interesujące mnie wyjaśnienia. Mam dziwną ochotę, drogi przyjacielu, poznać eks-pielegniarkę i tego nowoczesnego księdza, a przede wszystkim prawdę o śmierci drogiej pani Bardor.

TLR

WYRÓWNANIE RACHUNKÓW

TLR

Wreszcie nadeszła chwila, w której mieliśmy poznać trzeci rozdział życia Matyldy. Zgodnie z umową stawiliśmy się wszyscy w gabinecie mecenasa Deliota.

— Drogie panie, drodzy panowie, miły przyjacielu... — zaczął tonem, który mimo wszystko wydał się niezbyt uroczysty — dzięki cennej pomocy, jaką uzyskałem od was w czasie naszych indywidualnych rozmów, jestem gotów do działania. Wyznam nawet, że nie czekałem do naszego spotkania, by zabrać się do pracy, ale już wcześniej poczyniłem pewne kroki. Po pierwsze: jutro komornik przekaże pani Rolande Granjo i księdzu Loratowi pozew sądowy na adres posiadłości w Tenelles w departamencie Hautes- Pyrenees, gdzie wspólnie mieszkają. Jest to pozew o unieważnienie testamentu i wyłudzenie spadku, wraz ze wszystkimi konsekwencjami, jakie z tego wynikają. Po drugie: nie uprzedzając naszych przeciwników, by nie dać im okazji do ukrycia niektórych ruchomości, papierów wartościowych lub cennych dzieł sztuki, udam się jutro z identycznym pozwem do prezesa sądu najwyższej instancji. Poproszę go o wydanie zarządzenia, by podjęto niezbędne środki zachowawcze, to znaczy: opieczętowano posiadłość w Tenelles, organy Jeana-Marie Bardora umieszczone przed dziesięciu laty w kościele tegoż miasteczka, szkatułkę z rodzinnymi klejnotami o ogromnej wartości, zdeponowaną w filii banku amerykańskiego, oraz zablokowano pokaźne konta w dwóch prywatnych bankach paryskich, których adresy podał mi pan Alphonse Boutu. To prawdziwe szczęście, że ten wierny służący posiada tak cenne informacje i że nasi przeciwnicy popełnili błąd, zostawiając wszystko na swoim miejscu. I wreszcie po trzecie: ten sam pozew otrzyma pan Raynaud, administrator wielu paryskich nieruchomości pani Bardor, wybrany przez księdza Lorata na miejsce Charlesa Vauchessera, oraz mecenas Champenon de Viry zajmujący się sprawą sukcesji.

Myślę, że wszyscy jesteście zgodni co do tego, że sprawa nie cierpiała zwłoki.

— Absolutnie! — przytaknęła Stéphanie, zawsze gotowa do decydowania za wszystkich.

— Niestety, przedsięwzięte przeze mnie kroki zabezpieczające nie są w stanie objąć całości ogromnego dziedzictwa pani Bardor. Za bezpowrotnie utracone trzeba uznać to, co przejęła i roztrwonila ekipa zakonniczy. Rzecz miała bowiem miejsce na wiele lat przed sporządzeniem testamentu. Mam tu na myśli pieniądze pochodzące ze sprzedaży obrazów skradzionych z Hautefeuille, z odszkodowań wypłaconych po pożarze przez Lloyda, jak również dochód ze sprzedaży dobrych ziem Hautefeuille, którego większa część została zainwestowana w urządzenie Fundacji Jeana-Marie Bardora nad jeziorem Neuchatel, wreszcie pieniądze z licytacji tejże fundacji po dwóch latach jej istnienia, które we frankach szwajcarskich wpłynęły na konta oszustów. Rolande Granjo odkryła numery tych kont i nazwy banków, mogła dzięki temu pozbyć się niewygodnego kochanka. Tylko że tamten nie był głupi: tuż po odejściu zmienił numery swoich kont, a także banki... A zatem: szukaj wiatru w polu! Jest jeszcze kwestia pieniędzy ze sprzedaży pałacu na placu Stanów Zjednoczonych. Z uwagi na jego wyjątkowo korzystne usytuowanie i ogromną powierzchnię suma uzyskana z jego sprzedaży osiągnęła, jak poinformował mnie mecenas Champenon de Viry, zawrotną wysokość — prawie cztery miliardy centymów. Większość tych pieniędzy pochłonął zakup posiadłości w Tenelles, która, zgodnie z zastrzeżeniem w testamencie, miała stać się własnością księdza Lorata... Cóż za hojność—nieprawdaż?—w porównaniu ze skromnymi dochodami z parafialnych datków! Muszą bowiem państwo wiedzieć, że jakimś cudem „nasz” ksiądz stał się proboszczem w Tenelles, chociaż zważywszy ciągły brak księży... Notariusz doniósł mi także, że pałac sprzedano z tzw. „gołymi ścianami”, a meble i inne elementy luksusowego wyposażenia paryskiej posiadłości załadowano na ciężarówkę, których cały sznur odjechał w kierunku południowo-zachodnim. I jeszcze jedna uwaga: miesiąc wcześniej przedsiębiorstwo zaangażowane do przeprowadzki przewiozło także rozmontowane organy.

...Znajdują się w kościele w Tenelles. Zręczne palce księdza wydobywają z nich czarowne dźwięki. Wkrótce jednak zostaną opieczetowane przez notariusza, co da nam gwarancję, że instrument nie zniknie, chociaż ksiądz nadal będzie mógł z nich korzystać. Tego dnia zaplombuje się też „posiadłość” księdza-kapitalisty. W ten sposób zabezpieczy się całe mienie przywiezione z Paryża. Z pewnością są tam również przedmioty przewidziane testamentem dla pani baronowej de La Rochejaquet i pana de Vaujours: grające pudełko ofiarowane przez króla Edwarda VII swojej uroczej metresie i naturalnej wielkości portret tejże damy...

Wszystkie poczynione kroki, zmierzające w kierunku zabezpieczenia majątku pani Bardor, wejdą w życie najpóźniej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Dodam jeszcze, że z doniesień mecenasa Champenona de Viry wynika, iż większa część kapitału nieruchomego pozostającego pod zarządem pana Raynauda jest nietknięta. Przez jego ręce przepływały dochody z nieruchomości, zanim dotarły do księdza Lorata, by służyć — miejmy nadzieję! — pani Bardor. Na szczęście budynki to solidny kapitał, chyba że podłoży się pod nie ogień, jak pod dworek w Hautefeuille, albo korzystnie sprzeda, jak w przypadku ziem wokół tegoż dworku, Fundacji Jeana-Marie Bardora i pałacu na placu Stanów Zjednoczonych.

Victor Deliot zamilkł. Patrzyliśmy nań pełni wdzięczności za sprawne działania, jakie podjął nie tracąc czasu na pytanie nas o zdanie. Nasza zgoda była oczywista.

— Czy są jakieś zastrzeżenia? — spytał jednak.

— Żadnych! — odpowiedziała Stéphanie, uprzedzając nas po raz wtóry.

— Jaki przewiduję oddźwięk moich poczyniń?—ciągnął adwokat. — Nie ulega wątpliwości, że prezes sądu najwyższego, człowiek w pełni zasługujący na to stanowisko i dla którego miałem zawsze wiele szacunku, a sądzę, że i on miał odrobinę uznania dla mnie, przychylił się do naszego żądania w możliwie najkrótszym terminie. Możemy też spodziewać się, że, wcześniej czy później, skontaktuje się ze mną adwokat zobowiązany do obrony interesów strony przeciwnej. Oczywiście sprawa byłaby prostsza, gdyby szczęśliwym trafem okazał się nim jeden z moich kolegów z czasów studiów, tak jak to się złożyło w przypadku naszego notariusza, ale liczyć na to nie możemy. Będę w stałym kontakcie z panem de Vaujours, a on przekazywał będzie państwu bieżące informacje. Kontakt z jedną osobą ułatwi mi też porozumienie się w sprawie pokrywania kosztów związanych z pierwszymi zabiegami prawnymi, takimi jak: usługi komornika,

opłaty kancelarii sądowej, itd. Pozwolę sobie uświadomić państwu, że nie ma to nic wspólnego z honorarium. Jak już zaznaczyłem przy pierwszym spotkaniu, o tym porozmawiamy dopiero wtedy, kiedy efekty naszych działań będą już widoczne.

— Zgadzą się z panem całkowicie — po raz trzeci odpowiedziała za nas Stéphanie i zaraz dodała: — Jestem pewna, że Hughes i Bea zgodzą się ze mną, że koszty sądowe podzielimy między nas troje, wyłączając z nich Honorine i Alphonse'a.

— To zrozumiałe — powiedziałem, podczas gdy jak zwykle milcząca Bea przytaknęła skinieniem głowy.

— Doskonale — rzekł Deliot wstając zza biurka.

Wkrótce pożegnaliśmy się. Wychodziłem jako ostatni. Na moment zatrzymał mnie w drzwiach.

— Proszę im powiedzieć — szepnął — żeby uzbroili się w cierpliwość! Domyśla się pan, że strona przeciwna musiała już zwietrzyć niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad ich spadkowymi nadziejami, i z pewnością dużo o tym myślała... Nie tak łatwo dadzą za wygraną!... Będą zasłaniać się autentycznością testamentu, co stawia nas w bardzo niekorzystnej sytuacji. Musimy dociec, w jakim stanie umysłowym i fizycznym znajdowała się pani Bardor w momencie sporządzania testamentu, który zaczyna od podkreślenia „pełni sił i władz umysłowych” oraz „nieprzymuszonej woli”. Za dużo tych wstępnych przezorności! I w ten punkt należy uderzyć...

Zadzwoił do mnie po dwóch tygodniach: — Coś drgnęło... Dostałem list od ich adwokata. To paryski prawnik, którego osobiście nie znam. Nigdy nawet o nim nie słyszałem, co nie oznacza jednak, że jest złym fachowcem. Z informacji, jakie uzyskałem, wynika, że uprawia swój zawód od trzydziestu lat. A zatem żaden debiutant!... To dobrze! Wolę mieć do czynienia ze starym wygą sądowym niż z tymi młodymi „szczekaczami” palestry, którzy stanęliby na uszach, by zwrócić na siebie uwagę prasy i dodać sobie powagi, której im brakuje. Między tymi dwoma pokoleniami adwokatów jest prawie taka sama różnica jak między kanonikiem Vidisem a księdzem Loratem, jak wnioskuje z pańskiego opowiadania. Dobrze też się stało, że przeciwnicy wybrali adwokata paryskiego, a nie kogoś ze swojego regionu. To ułatwi kontakty zawodowe...

... Prawdę mówiąc nie mieli wyboru, skoro testament znajduje się w rękach notariusza z Paryża. Zaledwie zdążyłem zapoznać się z treścią listu pana Larbauta — tak nazywa się mój przeciwnik — kiedy zadzwonił mecenas Champenon de

Viry. Powiedział mi, że nie dalej jak wczoraj po południu, ten Larbaut złożył mi kurtuazyjną wizytę. Notariusz wyznał, że gość nie zrobił na nim złego wrażenia. Oświadczył tylko, że jego klienci nie uznają żadnego z kroków zachowawczych, na które bez trudu uzyskaliśmy zgodę sądu najwyższej instancji, i są zdecydowani utrzymać swoje prawa do sukcesji. Wynika z tego, że będą procesować się aż do skutku. Nie ukrywam, że nie jest to dla nas pomyślna wiadomość. Raczej początek kłopotów, chyba że...

— Chyba że co?...

— Chyba że w trakcie postępowania sądowego znajdzie decydujący argument — w co zresztą nie wątpię — który zmusi tę parę do ugody.

— W testamencie, którego fotokopię panu przekazałem, intryguje mnie pewien szczegół... Zupełnie zapomniałem panu wspomnieć o tym podczas naszych spotkań... Rękopis został opatrzony datą 21 czerwca 1981, a zatem testament powstał na pięć miesięcy przed śmiercią Matyldy, ale nie zaznaczono miejsca, gdzie go sporządzono.

— Z prawnego punktu widzenia nie ma to większego znaczenia, liczy się tylko data. Nie omieszkałem jednak zadać identycznego pytania mojemu przyjacielowi Champenonowi de Viry podczas wizyty w jego biurze. Pokazał mi wtedy starannie przechowywaną w skrytce kopertę listu poleconego z potwierdzeniem odbioru. Nadawczynią była panna Rolande Granjo.

— Jak długo po śmierci Matyldy został wysłany?

— Po czterdziestu ośmiu godzinach! Jak widać, nie tracili czasu. Testament przysłano w dwóch kopertach, które notariusz zachował. Na pierwszej — większej — widniało nazwisko i adres biura. W środku znajdowała się druga — mniejsza i zaklejona koperta — z odręczną notatką pani Bardor:

To jest testament, który po mojej śmierci należy przesłać notariuszowi w Paryżu, panu mecenasowi Champenonowi de Vtry. Do przesyłki panna Rolande Granjo dołączyła własną wizytówkę wraz z informacją tej treści: Zgodnie z wolą pani Bardor przekazuję niezwłocznie ten zaklejony list, prosząc o przyjęcie wyrazów szacunku. Widzi pan, drogi przyjacielu: wszystko zostało szczegółowo opracowane!

— Widzę... Jest pan pewien, że gdzieś w stosach różnych papierów i dokumentów w biurze Champenona de Viry nie zawieruszył się przypadkiem inny, wcześniejszy testament Matyldy? Nie wiem... Może sporządzony na korzyść zakonnicy czy jej ewentualnych spadkobierców, takich jak sławetni siostrzeńcy?

— Champenon de Viry powiedział, że wielokrotnie zachęcał ją do napisania testamentu zarówno po śmierci lady Wandish, jak też po zgonie jej małżonka. Usiłował zwrócić jej uwagę na kuzynów czy innych krewnych jako przyszłych spadkobierców fortuny. Ale pani Bardor mocno obstawała przy swoim postanowieniu, że testamentu nie sporządzi. Za każdym razem, gdy notariusz ponawiał swoje rady, mówiła: „Kuzyn? Kuzynki? Krewni? Cóż mnie oni obchodzą? Im wcale na mnie nie zależy! Czekają tylko na moje pieniądze... A więc poczekają sobie... W dniu, w którym zdecyduję się na napisanie testamentu, przygotuję im piękne niespodzianki!” Tak więc słowa dotrzymała. Ale nawet gdyby istniał testament wcześniejszy, w świetle prawa liczy się tylko ostatni. Niestety!

Minęły trzy miesiące bez żadnych wieści ze strony Victora Deliota. Ja jednak byłem spokojny wiedząc, że skoro milczy, to widać nie ma nic interesującego do przekazania. Denerwowała się natomiast Stéphanie i nie przestawała naga-bywać mnie swoimi telefonami:

— Co się dzieje z tym twoim genialnym adwokatem?

— Słusznie zauważyłaś: on jest genialny! Jest jednym z nielicznych przedstawicieli swojej profesji, którzy nigdy nie spieszą się, jeśli nie trzeba. Przypomnij sobie, co powiedział: „tamci” muszą dojrzeć do dialogu! Wcześniej czy później zapukają do jego drzwi zniecierpliwieni nie kończącym się oczekiwaniem na swoją część spadku, który ze wszystkich stron obwarowany jest naszymi zastrzeżeniami. Trzeba, żeby nabrali przekonania, iż na spodziewaną kopalnię złota przyjdzie im czekać całe lata...

— To może potrwać, jeśli przez ten czas zdołali zgromadzić sobie niezły kapitalik!

— Niewykluczone! Tylko nie zapomnij, że „apetyt rośnie w miarę jedzenia!” Taka fortuna w zasięgu ręki nie będzie dawała im spokoju.

— To dlaczego siedzą spokojnie? Już powinni kontratakować.

— Właśnie to zrobili angażując adwokata, który dał nam do zrozumienia, że absolutnie nie podzielają naszego punktu widzenia. Teraz pozostaje nam tylko czekać na rozpoczęcie przedstawienia, a kurtyna podniesie się dopiero wtedy, kiedy „oni,” odwołają się do swego jedyne go atutu: prawomocności testamentu. Na to właśnie czeka Deliot! Jeśli tego nie robią, to znak, że mają pewne obawy. Zapewniam cię, że to świetny adwokat! Mimo że jest niezwykle skromny, jego zalety są powszechnie znane w palestrze. Zaufaj mu, Stéphanie! Chyba nie zależy ci tak bardzo na grającym pudełku, które, podobnie jak przeznaczony dla mnie

portret ciotki Wandish, stanowi część ruchomości przewiezionych z Paryża do Tenelles? Liczysz na coś więcej dla siebie i córek?

— Ty nie?

— Portret lady Wandish to dla mnie aż nadto hojny dar! Nie oczekuję niczego więcej! Nie mogłem tylko pozwolić na to, by „tamci” mieli nas za półgłówków. A propos, ostatnio, kiedy dzwoniłaś, zapomniałem ci powiedzieć, że zaszły zmiany w obozie przeciwnym.

— Jakie?

— Panna Granjo nie jest już pielęgniarką. Wszak nie ma już kogo pielęgnować. Teraz ona wymaga, by zajmowano się jej osobą.

— Zachorowała?

— Niestety nie! Cieszy się tak doskonałym zdrowiem, że zapragnęła zostać kasztelanką w Tenelles.

— Do czasu, aż w wyniku procesu przejmemy tę budę...

— To żadna buda! O ile wiem, to całkiem porządna posiadłość! I wcale nie jestem pewien, czy ją odzyskamy. Nie jest to własność rodowa, lecz rzecz nabyta za życia i za pieniądze Matyldy. Zresztą, podobnie jak to było z hotelem w Neuchatel, wcale do niej nie należała. W każdym bądź razie, nawet jeśli kasztelaństwo pielęgniarki jest tylko tymczasowe, to póki co, żyje sobie jak prawdziwa kasztelanka. Ma kucharkę, pokojówkę, ogrodnika...

— Coś podobnego! A jej ksiądz?

— Nie jest już księżulem zarabiającym na życie! Wiesz przecież, że na początek objął probostwo parafii Tenelles, a niedługo może zostać kanonikiem i nie będzie miał już czego zazdrościć staremu Vidisowi. Na razie zaś robi wszystko, by swoim parafianom pokazać się od najlepszej strony. Założył trupę teatralną, która wystawia sztuki zaangażowane, i Centrum Kulturalne zajmujące się wszystkim z wyjątkiem kultury. Poświęca wiele energii, by wyzwalać umysły i rozwijać kulturę fizyczną. W kościele

natomiast urządza wieczorki taneczne... Jest rock and roli, gitara elektryczna, perkusja i akompaniament organowy w jego wykonaniu. Biedny Jean- Marie Bardor! Czuję, że włos mu się jeży na głowie, gdy słyszy, jak jest profanowany jego szlachetny instrument! Chyba że jego małżonka szepcze mu do ucha: „Widzisz, Pia-Pia, miałam rację przekazując za radą Rolande twoje organy drogiemu Yvesowi: przynajmniej nie stoją bezużytecznie!... To dobrze, że wyznaczył opłatę za wstęp na te wieczorki taneczne w kościele, przynajmniej będzie miał z czego żyć! Nie masz pojęcia, mój drogi, jak strasznie skąpi stali się ludzie na ziemi od czasu, kiedy ją opuściłeś: odmawiają kościołowi najmniejszej ofiary! Jakże się cieszę, że jestem już przy tobie...” Oto, moja droga, ostatnie wiadomości z południowego zachodu i domniemane rozmowy, jakie wiodą w niebiosach nasi wieczni zakochani. Czyż to nie wzruszające?

— Aż do łez! Czy to twój adwokat dostarcza ci takich informacji?

— Jeśli idzie o wieści z nieba, nie może mieć dokładniejszych danych od moich. A jeśli chodzi o sprawy „stamtąd”, nie ośmieliłbym się obarczać go obowiązkiem dostarczania mi podobnych plotek. Jemu pozostawiam sedno sprawy, czyli odzyskanie resztek fortuny... Intryguje cię jednak, skąd mam takie wiadomości? No cóż, mam do ciebie słabość mimo twoich obrzydliwych przywar, a zatem powiem ci... Domyślasz się chyba, że jako wydawca znam wielu ludzi ze świata literatury i dziennikarstwa. Wśród tych ostatnich jest właśnie ktoś, kto nie należy — tym razem — do „starych” przyjaciół Deliota. Jako korespondent głównego dziennika południowego zachodu w Tarbes jest doskonale zorientowany w tym, co się dzieje w okolicy. Idąc więc w ślady Champenona de Viry, poprosiłem go o to, by przyjrzał się dyskretnie działalności panny Granjo i księdza Lorata. Tenelles znajduje się dokładnie między Tarbes, miastem skoczków spadochronowych i Lourdes, miejscem cudów... ¹Moim zdaniem nie jest to bez znaczenia; mając to na uwadze, trudno się dziwić, że nasi „dobrodzieje” doradzili Matyldzie przeprowadzkę w takie sąsiedztwo. Dzięki niej skoczyli bowiem w okolice świętego miejsca, gdzie mieli nadzieję dokonać „cudu spadkowego”. Czyż nie w Tenelles zredagowano testament?

— Podzieliłeś się już tymi informacjami z mecenasem Deliotem?

— Jeszcze nie, ale nie omieszkać tego zrobić, kiedy tylko się odezwie.

— Twój spokój jest równie denerwujący jak niebiańskie opanowanie twojego adwokata!

— Tylko tym sposobem uda się nam dobrać do skóry naszym drogim przeciwnikom... Całuję!

Upłynęło jeszcze kilka miesięcy, zanim usłyszałem znowu głos Victoia Deliota:

— Sprawa zaczyna ruszać z miejsca — powiedział. — Niecierpliwość daje o sobie znać.

— Nie dziwię się, drogi mecenasie! Życie, jakie wiodą „tamci”, musi wymagać sporych nakładów finansowych, a wskutek pańskich mądrych posunięć od sześciu miesięcy pieniądze nie spadają już „z nieba”... — I powtórzyłem mu dokładnie to, co usłyszałem od znajomego dziennikarza w czasie jego pobytu w Paryżu.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł Deliot — że wystawne życie jak też rozrywki kulturalno-artystyczne, organizowane w tym zakątku przez pannę Granjo i jej konkubina dla zaskarżenia sobie sympatii otoczenia, nie potrważą już długo, chyba że zdarzy się kolejny cud na miarę rozmnożenia chleba... Mecenas Larbaut poinformował mnie, że jego klienci nie wykluczają możliwości dyskusji, zanim wstąpimy na drogę sądową. Krótko mówiąc zdecydowali się na spotkanie ze mną pod warunkiem, że rozmowa odbędzie się na neutralnym gruncie i koniecznie w jego obecności. Co pan o tym sądzi?

— Najlepiej będzie, jeśli pan sam zdecyduje, czy ma dojść do tego spotkania, czy też nie.

— Spodziewałem się tego i pozwoliłem sobie odpowiedzieć mecenasowi Larbautowi, że „my” — mając na myśli wszystkich — nie jesteśmy przeciwni spotkaniu. Zanim jednak do niego dojdzie w miejscu

1 terminie ustalonym wspólnie z panem Larbautem, mam zamiar udać się incognito do Tenelles, by naocznie sprawdzić prawdziwość informacji przekazanych panu' przez znajomego dziennikarza. Wyprawa potrwa cztery lub pięć dni. Na ten czas mecenas Deliot, paryski adwokat, stanie się zwykłym turystą lub nawet — dlaczego nie? skromnym pielgrzymem, który przy okazji odwiedzenia Lourdes obejrzy sobie okoliczne krajobrazy... Rozumie pan? Nie chcę jednak, by ktokolwiek dowiedział się o mojej podróży, a już na pewno nie Champenon de Viry! Nie dlatego, żebym mu nie ufał, ale zatrudnia tak wielu pracowników, że łatwo o przecieki. Przed wyjazdem w tę pouczającą podróż ustalę z moim przeciwnikiem datę, miejsce i godzinę spotkania z panną Granjo i księdzem Yvesem Loratem.

Zadzwoił po trzech dniach.

— Spotkanie odbędzie się w prywatnym salonie pewnego hotelu w Lourdes. Jak widać, miejsce cudów odegra ważną rolę również i w naszych sprawach, a jeśli osiągniemy spodziewany rezultat, będzie to kolejny cud w tym mieście. Proponowałbym wam wówczas pielgrzymkę dziękczynną do cudownej grotty. Ceny dla wycieczek grupowych są bardzo przystępne. Jeśli zaś chodzi o wspomniany „prywatny” salon, wybrany przez pana Larbauta, to przyznam, że szczerze zdziwiło mnie jego istnienie. Mój przeciwnik wyjaśnił, że tego rodzaju salony wykorzystywane są przez kardynałów, biskupów, znaczących prałatów, szefów państwa, a nawet ich reprezentantów w sytuacjach, gdy chcą udzielić prasie informacji na temat swej obecności w Lourdes. My jednak, mimo że nie jesteśmy zainteresowani zwierzeniami dla dziennikarzy, spotkamy się tam w przyszły wtorek o godzinie piętnastej. Dziś po południu jadę więc pociągiem do Tarbes, gdzie wynajmę pokój stosowny dla mojej tajnej misji, a w wyznaczonym dniu udam się do Lourdes.

— Kto weźmie udział w tym spotkaniu?

— Mecenase Larbaut i dwie „gwiazdy” popołudnia: Rolande i ksiądz.

— Nie będzie prawnika?

— Po co? Jego obecność byłaby krępująca, gdybyśmy chcieli załatwić sprawę polubownie. Ci ludzie mają żalosny zwyczaj zapominania, że najgorsze porozumienie jest więcej warte od najlepszego procesu.

— Mam nadzieję, mecenasie, że nie będzie pan miał mi za złe, jeśli powiem, iż od pierwszej chwili, kiedy zdecydował się pan bronić naszych interesów, nie opuszcza mnie wrażenie, że nigdy nie pragnął pan prawdziwego procesu. Czy jestem w błędzie?

— Nie, a wytłumaczenie jest bardzo proste: gdybyśmy dopuścili do „prawdziwego procesu”, jak pan to nazywa, nie mielibyśmy żadnych szans na wygraną, jako że uwierzytelniony przez notariusza manuskrypt testamentu jest praktycznie niepodważalny. Kiedy zaś użyjemy metody, którą zamierzam zastosować za kilka dni, jestem pewien, że sprawy przybiorą pomyślny dla nas obrót.

— Co to za metoda?

— Powiedzmy: coś w rodzaju szantażu...

— Co takiego?!

— Kiedy ma się do czynienia z ludźmi złej woli, nie warto bawić się w ceregiele.

— Ale... co to za szantaż?

— Wyjaśnię panu po powrocie, jeśli przyniesie spodziewane rezultaty. W przeciwnym razie nie wyjawię go panu nawet w imię naszej starej przyjaźni.

— Jeszcze raz proszę o wybaczenie, że ośmielam się zadawać podobne pytania, ale czy adwokat ma prawo tak postępować?

— Z pewnością tak, jeśli chodzi o pomoc klientom w sytuacji bez wyjścia. Prawdę mówiąc, drogi przyjacielu, to nie jest dobry moment na dyskusje o tym, w jaki sposób wykorzystam cię nadziei, jaki błysnął na horyzoncie południowo-zachodnim. Dość długo czekaliśmy, uważam, zanim przeciwnik zgodził się uczynić ten krok.

— Nie będzie więc przy tej rozmowie żadnego notariusza lub jego przedstawiciela ?

— Nie. Rozmawiałem z Champenonem de Viry o swoich zamiarach i jeśli to pana uspokoi, mogę powiedzieć, że podziela mój punkt widzenia. Sam jednak włączy się dopiero po spuszczeniu kurtyny, kiedy pozostanie już tylko podpisanie porozumienia. Do tej chwili mam zamiar, jak zwykłem to robić przez tyle lat we wszystkich sprawach, działać sam. Najtrwalsze zwycięstwa to te, które odnosi się z możliwie najmniejszą liczbą sprzymierzeńców. Ci bowiem stają się największymi nieprzyjaciółmi w momencie dzielenia łupu. Czas kończyć rozmowę, bo muszę się jeszcze spakować. Zadzwońię po powrocie.

— Jak pana znaleźć, gdyby zaszło coś niespodziewanego? Zostawi mi pan przynajmniej adres hotelu w Tarbes?

— Tylko nie to! Specjalnie zarezerwowałem pokój pod przybranym nazwiskiem. Przed spotkaniem w Lourdes nikt nie może usłyszeć o jakimś Victorze Deliocie! Proszę mi tylko powiedzieć, czy nadal ma pan do mnie zaufanie?

— Cóż za pytanie! Oczywiście!

— A więc cierpliwości! I proszę poradzić to samo pańskim kuzynkom przekazując im tylko te dwa słowa: „Jest nadzieja”.

Tydzień później zadzwonił około godziny dziewiętnastej.

— Wsiadłem właśnie z pociągu. Proszę jeszcze nic nie mówić kuzynkom ani Alphonsowi i Honorine. Pana natomiast oczekuję jutro o godzinie szesnastej. Ponieważ rozmowa może przedłużyć się do późnej nocy, każę gosposi przygotować coś do jedzenia na wypadek, gdyby nam głód dokuczył.

— Przyjdę. Jak poszło?

— Sprawa była dość delikatna, ale wszystko ułożyło się, moim zdaniem, dość pomyślnie. Sam pan to oceni na podstawie lektury protokołu ugodowego podpisanego przez pannę Granjo i jej kochanka księdza. Pojutrze w waszej obec-

ności zamierzam oddać go w ręce mecenasa Champenona de Viry, by uczynił zeń właściwy użytek, jeśli oczywiście będzie pan w stanie nakłonić swoje kuzynki do zaakceptowania treści porozumienia. Na to właśnie liczę, prosząc pana kolejny raz o osobne spotkanie.

Nazajutrz o szesnastej znalazłem go w doskonałym nastroju. Natychmiast podał mi dwie kartki maszynopisu.

— Niech to pan potraktuje jako prolog ostatniego aktu; proszę najpierw to przeczytać, a potem porozmawiamy... Proszę czytać bardzo uważnie, gdyż każde słowo ma tutaj swoją wagę!

Zabrałem się więc do czytania...

Parna Rolande Granjo—Lourdes, 21 września 1982 r.

zamieszkała w Tenelles

(Hautes-Pyrenees)

Panie i Panowie,

Chcąc położyć kres postępowaniom zmierzającym do unieważnienia testamentu, na mocy którego pani Bardor ustanowiła mnie główną spadkobierczynią, zgadzam się zrzec zapisu i zawrzeć z Państwem, jako spadkobiercami pani Bardor, układ na następujących warunkach:

1. Po odblokowaniu kapitału znajdującego się w rękach pana Berniera, zostanie mi wypłacona kwota 1 000 000 franków (tj. 100 milionów starych franków) bez potrącania siedmiomiesięcznych wypłat, jakie otrzymałam od pana Berniera, administratora sądowego.

2. Do własnej dyspozycji zatrzymam wszystkie klejnoty zdeponowane w sejfie paryskiej filii National City Bank i spisane przez mecenasa Champenona de Viry w dniach 5 i 6 stycznia 1981 r. oraz wycenione przez mecenasa Arnera, paryskiego rzeczoznawcę.

Uznając te klejnoty za własne, zastrzegam sobie prawo dysponowania nimi według własnego upodobania. Wyjątek stanowi naszyjnik, złożony z pięciu sznurów pereł należący do lady Wandish, który stanie się całkowitą własnością spadkobierców.

3. Zatrzymam również dla siebie wszystkie meble, ruchomości, bieliznę, nakrycia stołowe, samochód marki Peugeot 604 z numerem

rejestracyjnym 385 DNM 75 oraz to, co należało do pani Bardor, a w tej chwili znajduje się w posiadłości Tenelles i figuruje w spisie sporządzonym w dniach 3 i 4 lutego 1981 r. przez mecenasa Moureta, notariusza z Tarbes.

Wylączę jedynie dwa przedmioty wspomniane w testamencie przez panią Bardor, której wolą było, aby po jej śmierci koniecznie zostały przekazane kuzynowi, panu Hughesowi de Vaujourns i kuzynce, pani baronowej de La Rochejaquet: portret lady Wandish pędzla Boldiniego i grające pudełko ofiarowane owej damie przez króla Edwarda VII.

Oba przedmioty znajdują się w Tenelles i są do ich dyspozycji. Na ich żądanie zostaną wysłane na adres, który zechcą podać. Zaznaczam jednak, że koszty przesyłki, transportu i ubezpieczenia poniosą sami.

Wylączę również portret kontradmirała de Ravioux-Luzensac, który pani Bardor, powodowana chęcią uczczenia pamięci swego męża, dożywotniego sekretarza, zdecydowała zapisać Instytutowi Francuskiemu. W tym przypadku także koszty transportu i przesyłki ponosi spadkobierca.

4. Wszyscy spadkobiercy pani Bardor odstąpią od wszelkich procesów i działań sądowych będących w toku zarówno przed Trybunałem Najwyższej Instancji, jak też przed sądem w Paryżu oraz odwołają skargę wniesioną do Dziekana Sędziów Śledczych przy Trybunale Najwyższej Instancji. Tym samym zobowiążą się do jasnego zaznaczenia w swoim odstąpieniu, iż po zapoznaniu się ze wszystkimi szczegółami dokumentu uważają, że dowody jakiegokolwiek przestępstwa nie zostały zgromadzone.

Każda strona pokryje kosztą podjętego na własną rękę postępowania. Nie poczuwam się też do obowiązku partycypowania w kosztach i honorarium pana Berniera, administratora sądowego.

5. Sprawę wyrównania rachunków strony uważają za zamkniętą definitywnie i bez zastrzeżeń.

6. Wobec księdza Lorata spadkobiercy pani Bardor zaniechają raz na zawsze wszelkich procesów i roszczeń dotyczących posiadłości w Tenelles i pełnomocnictw nadanych mu przez panią Bardor. Ten stan rzeczy uznają bez zastrzeżeń i nieodwołalnie, obiecując nie niepokoić więcej księdza Lorata w tej sprawie. Ponadto w sposób jasny i jednoznaczny uchylą skargę wniesioną do pana Vergnioza, sędziego śledczego.

W konsekwencji ksiądz Lorat będzie mógł według własnego uznania dysponować posiadłością w Tenelles, kwotami figurującymi na jego koncie w banku,

które zostanie odblokowane na mocy postanowienia o umorzeniu sprawy, jak również organami tymczasowo udostępnionymi kościołowi w Tenelles, ale będącymi jego własnością.

7. Spadkobiercy pani Bardor rozważą powyższe postanowienia i wyrażą zgodę na ich wprowadzenie w życie.

8. Zrzekam się naturalnie praw do odszkodowania i odsetek, uznając je za nie mające podstaw prawnych, jak również zobowiązuję się, iż nie będę w przyszłości podejmować takich kroków.

9. Zobowiązuję się otrzymać od księdza proboszcza Lorata rozliczenie wszystkich operacji dokonywanych przez niego na koncie pani Bardor i to bez względu na charakter tych operacji

Podpisano: *Rolande Granjo* i kontrasygnowano: *ksiądz Yves Lorat* Ksiądz dorzucił odrębną notkę: „*przeczytałem i wyrażam zgodę*”.

Dokument zwróciłem Deliotowi.

— Co pan o tym sądzi? — spytał.

— Załóżmy, że kuzynki przystaną na to, jaki będzie dalszy ciąg sprawy?

— Zupełnie prosty. Złożę ten dokument na ręce Champenona de Viry, który zrobi dwie kopie. Jedną z nich odeślemy pannie Granjo, drugą księdzu Loratowi. W nagłówkach obu kopii znajdzie się notka: „*Mademoiselle*” lub „*Księżę proboszczu, potwierdzamy odbiór listu z dnia...*”, a na końcu, po dziewiątej klauzuli trzeba będzie dorzucić: „*Całkowicie zgadzamy się z treścią niniejszego listu. Z wyrazami głębokiego szacunku...*”, i tu nastąpią wasze trzy podpisy, a Champenon de Viry zadba już o to, by każdy otrzymał to, co mu się prawnie należy. I sprawa będzie zakończona.

— W czasie lektury tej ugody najbardziej zdumiała mnie precyzja, z jaką pan zadziałał, by zablokować „*ich*” mienie. Byli dosłownie skrepowani.

— Na szczęście! W przeciwnym razie nie oddaliby niczego i panna Granjo nigdy nie zrzekłaby się zapisu. Oczywiście, zgodnie z moimi przewidywaniami, pańska rodzina poniesie ogromne straty. Trzeba będzie pożegnać się z kwotą stu milionów starych franków, klejnotami, z wyjątkiem słynnego naszyjnika z pereł, który sam wart jest tyle, co cała reszta... Nigdy nie zobaczycie posiadłości w Tenelles, gdyż przechodzi w ręce księdza Lorata, podczas gdy jej wyposażenie staje się własnością jego kochanki. Taka sytuacja może kiedyś doprowadzić do konfliktów między nimi, ale to już inna historia... Do strat zaliczyć też trzeba pieniądze, jakie ksiądz zdażył przelać na swoje konto bankowe, oraz organy waszego drogiego kuzyna Jeana-Marie. Zachowacie natomiast wszystkie paryskie nieru-

chomości, które stanowią największą część spadku, jak również papiery wartościowe ulokowane w różnych bankach. Nie ma powodu do narzekania!

— Ależ ja nic nie mówię! Nigdy też nie miałem zamiaru przejmować czegośkolwiek po Matyldzie. Zawsze myślałem o zrzeczeniu się mojej części spadku na rzecz córek Stéphanie i ich dzieci, którym przyda się bardziej niż mnie.

— Ale zachowa pan portret lady Wandish...

— Oczywiście, ponieważ takie było życzenie Matyldy.

— Myśli pan, że kuzynka Stéphanie będzie zadowolona?

— Będzie musiała! Niewiele brakowało, by nie dostała nic — ani dla siebie, ani dla swoich córek i wnuków.

— Sądzi pan, że weźmie z pana przykład i odstąpi im swoją część?

— Nie jestem tego pewien... Ale kto wie? Może rzeczywiście zadowolili się grającym pudełkiem? A teraz proszę mi opowiedzieć, jak udało się panu osiągnąć tak doskonały rezultat!

— Od początku naszej rozmowy wiedziałem, że to jedyna rzecz, jaka pana interesuje, skoro nie dba pan o nieruchomości, pieniądze, papiery wartościowe!... A zatem, tak jak powiedziałem panu przed wyjazdem, użyłem swoistego szantażu i nie żałuję, gdyż okazał się bardzo korzystny dla was wszystkich. Zanim jednak do tego doszło, odbyłem zapowiedzianą wycieczkę do Tenelles. Muszę przyznać, że odkryłem tam rzeczy nader interesujące. Przede wszystkim zaś potwierdziły się słowa pańskiego znajomego dziennikarza na temat trybu życia, jakie eks-pielegniarka prowadziła u boku księdza w „swojej” posiadłości, oraz rozmaitej „działalności społecznej” naszego proboszcza. Wszystko szło pełną parą i, niestety, zasoby finansowe wyczerpały się, a źródło dochodów zostało zablokowane. Dlatego właśnie nasze dwa gołąbki musiały pierwsze wyciągnąć rękę do ugody...

... Na miejscu rozmawiałem z różnymi ludźmi, a zwłaszcza z ogrodnikiem i kucharką panny Granjo, którzy są zresztą małżeństwem i niedawno opuścili swoją chlebobawczynię. Dostarczyli mi niezwykle cennych informacji o Rolande i jej pięknym Wesie. Tak więc jadąc do hotelu w Lourdes w wyznaczonym dniu i o umówionej godzinie, dysponowałem już odpowiednią bronią. W hallu spotkałem pana Larbauta.

— Oczekujemy pana w saloniku — powiedział uprzejmie — Nie muszę chyba dodawać, panie kolego, że liczę na pański takt, o którym już prawie krążą legendy. Tylko tym sposobem dojdziemy do ugody. Cała sprawa jest bardzo przykra i powinniśmy znaleźć płaszczyznę porozumienia.

— Niczego więcej nie pragnę, drogi kolego! Wydaje mi się jednak, że wszystko zależy będzie od dobrej woli panny Rolande Granjo i księdza Lorata... Gdzie jest ten ustronny salonik?

— Proszę za mną!

... I wtedy ich zobaczyłem.—

— Jakie wrażenie zrobili na panu?—

— Dokładnie takie samo jak na panu! Po prostu: miernota! Powiem więcej: wcale nie są tak sprytni, jak można by sądzić! Zakonnica musiała być o wiele bardziej przebiegła, tyle że oni działali w okolicznościach ułatwiających wyłudzenie spadku. Po śmierci Marie-Josée ich ofiara była zbyt osłabiona i przybita, by stawiać opór, kiedy przystąpili do finalizowania swoich planów. Poza tym pozbywszy się starych służących i usunąwszy ich z pola widzenia rodziny zyskali pełną swobodę działania. Mogli więc pozwolić sobie na wszystko; posunęli się nawet do użycia siły, o czym przekona się pan, wysłuchawszy mojego opowiadania. To para bydlaków i zarazem tchórzy, którym strachu napędził taki starzec jak ja...

— Aż tak?

— Tak. Zdałem sobie z tego sprawę już na samym początku naszego spotkania.

* *

*

Larbaut dokonał prezentacji, a zaraz potem ksiądz odezwał się głosem pełnym namaszczenia:

— Nie będę ukrywał, mecenasie, że wydarzenia ostatnich miesięcy sprawiły wiele bólu pannie Granjo i mnie. Przed Bogiem mogę wyznać, że nie mamy sobie nic do zarzucenia, a wypełniając należycie swoje obowiązki względem pani Bardor do ostatniego jej tchnienia, uznaliśmy za naturalne, że pomyślała o nas w swoim testamencie.

— Ściśle mówiąc, pomyślała tylko o was...

— Nie przesadzajmy! Nie zapomniała przecież o rodzinie...

— No tak! Zostali niezwykle hojnie obdarowani... Myślę jednak, że mój kolega po fachu, pan Larbaut, zgodzi się ze mną, jeśli powiem, iż nie spotkaliśmy się tu, by roztrząsać szczegóły konfliktu. Przejdźmy więc do sprawy, której sednem jest kwestia ważności testamentu...

— To nie ma sensu! — uciał Larbaut. — Ważność testamentu, spisane go własnoręcznie przez panią Bardor w obecności dwóch świadków, nie może być

kwestionowana. Sam mecenas Champenon de Viry, którego biuro od stu lat zajmuje się interesami jej rodziny, przyjął testament bez zastrzeżeń.

— Dwóch świadków, powiada pan? Kogo więc zaproszono do Tenelles, by uczestniczył w sporządzaniu testamentu? Cóż za przezorność! Nie sądzi pan, że za dużo tu zapobiegliwości? Na ogół testament sporządza się w sposób bardzo dyskretny; by uniknąć za życia niesnasek z osobami, które czułyby się skrzywdzone. Jakich to świadków ma pan na myśli? Mam nadzieję, że nie głównych spadkobierców. Każdy sąd natychmiast odrzuci takich świadków! A zatem kto? Czy mogę poznać ich nazwiska, gdyż dotąd nigdzie o nich nie wspomniano. Nie uczyniła tego sama pani Bardor w swoim testamencie, mimo że podniosłoby to wagę jej rozporządzenia. Nie wymieniła ich też panna Rolande Granjo w swojej adnotacji dołączonej do listu, w którym przesłała testament na adres biura notarialnego mecenasa Champenona de Viry.

— Jeśli będzie trzeba, przedstawimy nazwiska świadków! Możemy ich nawet powołać przed sąd, gdy dojdzie do sprawy — rzekł Larbaut.

— Nie wątpię! — odparł Deliot. — Pozwolą jednak państwo, że przypomnę okoliczności, w jakich doszło do sporządzenia testamentu... W tym celu cofnijmy się o dziesięć lat i prześledźmy wydarzenia tego okresu. Zaczniemy od momentu, w którym panna Granjo i ksiądz Lorat przejąwszy los pani Bardor w swoje ręce — pierwsza, jako „dama do towarzystwa”, drugi, w charakterze jej arcyświętego spowiednika — zdołali nakłonić ją do opuszczenia paryskiego pałacu na placu Stanów Zjednoczonych i zamieszkania w Tenelles.

... Powiedzmy sobie szczerze, że w ciągu trzech miesięcy po śmierci tej, którą ze względu na szacunek należy zmarłym nazywać będziemy „zakonnica”, obecny tutaj ksiądz Lorat nie tracił czasu. Z „boską” pomocą szybko dostrzegł możliwości, jakie otwarły się przed nim, i nie szukając długo pomyślał o przeprowadzce do Tenelles, z którego okolic zresztą pochodzi. Przyznaję, że posiadłości nie brak ni cesarza, ni elegancji, mimo że zarówno budynek główny, jak i przyległe zabudowania gospodarcze są stosunkowo nowe. Całość pochodzi z roku 1910 bądź 1911. Był to czas, gdy do budowy używano jeszcze dobrego kamienia.

— Zna pan dworek Tenelles? — spytała ostro Rolande Granjo.

To był pierwszy raz, kiedy otworzyła usta.

— Niestety nie od środka, proszę pani! Nie miałem bowiem ani przyjemności znać pani Bardor za życia, ani, po jej śmierci, być zaproszonym przez księdza Lorata, który, jak mi się zdaje, jest jego właścicielem. Nie zaprosiła mnie

też pani, niewątpliwa królowa tego miejsca! Tak więc mogłem jedynie z daleka podziwiać ten piękny budynek, tym bardziej, że położony jest w głębi parku. Na szczęście dla wszystkich ciekawskich mojego pokroju, otacza go tylko siatka, a nie wysoki kamienny mur. Nawet z tej odległości całość zrobiła na mnie imponujące wrażenie. Tenelles jest niewątpliwie udanym nabytkiem i jego wybór świadczy niezbitnie o dobrym guście księdza Lorata.

— Krótko mówiąc, szpiegował nas pan! — powiedział sługa Boży.

— Powiedzmy raczej, że trafiłem do źródła. Czy to nie normalne? Jak inaczej mógłbym skutecznie bronić interesów tych, którzy mi zaufali?

Wróćmy jednak do tematu... A więc za pieniądze pani Bardor kupił ksiądz tę posiadłość i dał jej, za pośrednictwem panny Rolande, do zrozumienia, że dla zbawienia jej duszy konieczne jest, by miała przy sobie spowiednika. W obawie, że jego obecność w najpiękniejszej rezydencji regionu tylko w charakterze spowiednika właścicielki może zrobić złe wrażenie na okolicznej ludności, złożył ksiądz wizytę biskupowi miasta Tarbes i Lourdes, by zadeklarować swoją gotowość objęcia probostwa w Tenelles. Z uwagi na aktualne kłopoty z obsadą kościołów, biskupa niemalże wzruszyła podobna propozycja, zwłaszcza że miasteczko Tenelles od lat pozbawione było proboszcza. Tym sposobem w kilka tygodni później objął ksiądz to stanowisko.

... Miasteczko miało nie lada powód do radości, zyskując proboszcza i organy, które były kiedyś własnością wielkiego, aczkolwiek mało znanego w okolicy człowieka. Pozwoliłem sobie rzucić na nie okiem... Są przepiękne i z pewnością lepiej pasują do wnętrza domu Bożego niż do paryskiego salonu. Niestety, kiedy wszedłem do kościoła, w którym poza mną nie było żywej duszy, organy milczały. Ksiądz był zapewne zajęty duszpasterskimi odwiedzinami, jakie każdy dobry pasterz winien jest swoim owieczkom. Przyznaję jednak, że nie byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nagle organy napełniły kościół wibrującymi dźwiękami „Toccaty”, spływającymi spod palców Jeana-Marie Bardora. Genialny muzyk wcielił się już w postać matki Marie-Josée, dlaczego tym razem nie miałby upodobać sobie ziemskiej powłoki księdza proboszcza?... Byłbym wniebowzięty! Niestety, podobne radości mogły być tylko udziałem szlachetnej wdowy... Muszą państwo przyznać, że jak dotąd moje informacje są nader precyzyjne.

W hotelowym saloniku zaległa kłopotliwa cisza.

— A co o tym myśli mój szanowny kolega Larbaut? — naglił Deliot.

— Wszystko, co ma ścisły związek z przeprowadzką pani Bardor do Tenelles, wydaje mi się zupełnie normalne.

— Za to anormalna była egzystencja pani Bardor w tym miejscu! Żyła tu w większym zamknięciu niż zakonnica pewnego klasztoru karmelitanek w Saint-Ouen, z którego można było jednak uciec...

— Panie kolego, nie pozwolę, by... —przerwał Larbaut.

— Pozwoli pan na wszystko, drogi kolego, gdyż nikt już nie jest w stanie zamknąć mi ust! Proszę nie zapominać, że nie jesteśmy przed sądem, ale w swego rodzaju *no man's land*, wybranym zresztą przez was samych, i wolno nam mówić wszystko! Skoro pańscy klienci prosili o spotkanie w celu wymiany poglądów na pewne sprawy finansowe, zgodziłem się, ale nie po to, by teraz przemilczać istotne sprawy. Dla wspólnego dobra, po to byśmy mogli zakończyć spór i zamknąć tę historię z korzyścią dla każdego z nas, jestem zdecydowany zmienić to spotkanie w prawdziwe wyrównanie rachunków! Pozwolą więc państwo, że wrócę do przerwanej wątku...

... Raz w tygodniu — z wyjątkiem niedziel, kiedy wierni częściej zaglądają do kościoła i tylko wtedy, gdy była bardzo posłuszna wobec swojej guwernantki, panny Rolande — pani Bardor dostawała pozwolenie opuszczenia posiadłości, by udać się do oddalonego o niecały kilometr kościoła. Powiedzmy, że było to coś w rodzaju cotygodniowej rozrywki... Ale i wtedy nie dane jej było rozkoszować się pełną swobodą. „Troskliwi” opiekunowie zapewniali jej dojazd do kościoła nowym samochodem, którego kierowcą był oczywiście ksiądz Lorat. W okolicy mówi się, że buick, jako samochód amerykański, wzbudzał zbyt wiele zainteresowania, a przy tym zajmował za dużo miejsca, więc zamieniono go na peugeota 604. O ile mnie pamięć nie myli, stanowi on część ruchomości przewidywanych „testamentem” dla panny Granjo. A zatem, podobnie jak to było w Paryżu, i tutaj do kościoła jeżdżono samochodem.

W sobotnie, późne popołudnia kościół świecił pustkami. Panna Granjo zapalała dwa kandelabry stojące po obu stronach ołtarza, a potem wraz z panią Bardor zajmowała miejsce w pierwszym rzędzie pustych krzeseł. W półmroku migoczących świateł i w głębokiej ciszy sanktuarium oczekiwano w nabożnym skupieniu na wielką chwilę, która niechybnie miała nastąpić.

... Tymczasem przy organach zasiadał znacznie zdolniejszy następca Marie-Josée i z większym niż ona mistrzostwem uosabiał Jeana-Marie Bardora z czasów jego triumfalnych występów w Saint-Sulpice czy Konserwatorium. Przez prawie godzinę w pustym kościele rozbrzmiewała słynna „Toccata” na przemian z fugami. Istny cud! Rozszalałe organy doprowadzały wdowę do ekstazy... Wierzyła, że Jean-Marie podążył za nią na to wygnanie i towarzyszył jej będzie

wszędzie, dokądkolwiek pójdzie, aż wreszcie ona sama uda się na spotkanie z nim i nikt ich już nigdy nie rozłączy!... Czyż nie to wmawiała jej pani, panno Rolande, gdy podtrzymywała ją pani za ramię, pomagając wyjść z kościoła, kiedy milkły organy, bo milknąć musiały, skoro wcielenie Jeana-Marie miało na powrót zająć miejsce za kierownicą peugeota 604 i odwieźć nieszczęsną do jej więzienia?

TLR

Eks-pielegniarka zbladła, ale nie odezwała się ani słowem.

— Tego wszystkiego — ciągnął nieubłagane Deliot — dowiedziałem się od starych kobiet z miasteczka, które w takich chwilach nie miały odwagi wejść do kościoła. Pomrukiwania organów, dochodzące ze spowitego w wieczornych mrokach wnętrza świątyni, przywodziły na myśl sabat duchów. I może owe kobiety nie były dalekie od prawdy... Kto wie, czy duch Jeana-Marie Bardora nie pozostał w tym instrumencie, z którego za życia wydobywał najpiękniejsze tony.

— Drogi kolego — odezwał się mecenas Larbaut — tylko ktoś obdarzony pańskim talentem mógł równie żywo odmalować nam tę scenę. Czułem się zupełnie tak, jakby rozgrywała się przed moimi oczyma. Czy ksiądz zgodzi się ze mną?

Ksiądz milczał.

— Tylko że między oratorskim liryzmem a rzeczywistością — ciągnął obrońca — jest ogromna przepaść, a dopiero na jej dnie leży prawda.

— Wszystko, co powiedziałem, drogi kolego, jest najprawdziwszą prawdą. A zaraz odsłonię resztę tej prawdy, która zaczyna wzbudzać strach w pańskich klientach. To, co przed chwilą przytoczyłem, to tylko maleńki epizodzik z pełnej halucynacji egzystencji, jaką stworzono pani Bardor w murach domu w Tenelles, gdyż poza cotygodniowymi wieczornymi wyprawami do kościoła na koncert „Jeana-Marie” i sporadycznych spacerków po parku — zawsze w towarzystwie panny Rolande — nie wolno jej było nigdzie wychodzić. Oczywiście, od czasu do czasu, dla utrzymania rytmu demonicznej perswazji wymyślonej przez zakonnicę, organizowano seanse spirytystyczne przy słynnym stoliku, o którym nie zapomniano w czasie przeprowadzki. Nie brał w nich udziału nikt poza Matyldą w charakterze ofiary, panną Granjo i księdzem. Tak było bezpieczniej. Uderzeniami w stół podróżujący duch Jeana-Marie nakazywał swojej małżonce ślepe posłuszeństwo wobec panny Rolande i wdzięczność dla księdza za osobliwe pokuty, jakie zadawał jej przy każdej spowiedzi, a spowiadała się coraz częściej.

... Pokuty nie ograniczały się już do odmówienia różańca, ale przybierały formę biczowania. Na polecenie i w obecności księdza, eks-pielegniarka wymierzała karę chłosty skórzanym pasem. Na ten czas wystawny „gabinet pracy” duszpasterza zamieniał się w celę tortur. Rozebrana pokutnica pokornie wystawiała swoją delikatną skórę na niezbędne dla odkupienia wymaganych grzechów razy. Po dokładnie określonej przez księdza porcji uderzeń na jej krwawiące ciało naciągano coś w rodzaju sukni z grubej tkaniny przypominającej

habit karmelitanki i odprowadzano ją do pokoju. Tam kładziono ją na żelaznym łóżku, wymoszczonym równie twardym siennikiem jak w byle jakim więzieniu. Po starannym zamknięciu drzwi na klucz siepacze wracali do „gabinetu pracy” i zasiadali w wygodnych, angielskich fotelach. Obecna tu panna Granjo sączyła swój ulubiony armagnac, jej kompan delectował się zaś najprzedniejszą hawaną, leniwie wypuszczając w górę kłęby dymu, jak to miała niegdyś w zwyczaju Marie-Josée...

Tymczasem na górze, w pokoju o zupełnie nagich ścianach, którego jedynym wyposażeniem było żelazne łóżko, drewniany stół i krzesło kuchenne, jęczała z bólu pani Bardor z rodu Raviroux-Luzensac. Tak, mecenasie Larbaut! Może trudno panu w to uwierzyć, ale tak właśnie było! „Stara” —jak ją nazywano — musiała mieć niezwykłą odporność fizyczną, by przez całe lata znosić podobne umartwienia ciała i uparcie trwać przy życiu!

... Czy miała prawo skarżyć się na swój los? Codziennie ksiądz powtarzał jej, że zabijając zakonnicę zasłużyła na piekło i tylko za cenę ziemskich cierpień mogła dostąpić łaski przebaczenia Najwyższego. Jakże mogła sprzeciwić się, skoro przebaczenie było warunkiem spotkania Jeana-Marie w Raju dla Wybranych?... Pozwolę sobie podkreślić, że więzienie zgotowane nieszczęsnej miało potrójny wymiar: fizyczny, moralny i mistyczny!

...Jak zdobyłem te informacje? — ciągnął Deliot, zwracając się do Rolande i księdza. — W sposób zupełnie prosty: zapytałem kucharkę i ogrodnika, którzy nie mogąc dłużej znieść tego, co dane im było widzieć i słyszeć, przed kilkoma tygodniami opuścili posiadłość. Nie trzeba im było nawet podwajać pensji, jak Honorine i Alphonse'owi, by zachęcić ich do odejścia... Odeszli sami, przerażeni wyjątkowo wyrafinowanym okrucieństwem.

Kiedy wasza ofiara wyzionęła wreszcie ducha, pospiesznie przenieśliście jej umęczone ciało — opowiedzieli mi o tym — do najpiękniejszego pokoju w całej posiadłości, by lekarz i przedstawiciele zakładu pogrzebowego mogli zobaczyć, w jak godnych swego urodzenia i nazwiska warunkach zeszła z tego świata ostatnia z rodu Raviroux-Luzensac.

Ci poczciwi ludzie, powtarzam, nie mogli tego znieść! Słyszeli jęki nieszczęsnej, domyślali się tortur, jakim ją poddawano, i w ich oczach ten dom stał się przeklęty. Może państwo nawet nie wiedzą, panno Granjo i księżę proboszczu, że wkrótce znaleźli służbę u ludzi uczciwych i spokojnych, w posiadłości oddalonej zaledwie o 30 km od waszej. Tam ich właśnie odnalazłem i stamtąd pochodzą moje informacje. Myślę, że ta wiadomość powinna pogłębić wasz niepokój, bo chyba na nich liczyliście — nieprawdaż? — gdyby trzeba było potwierdzić autentyczność podpisu pani Bardor na testamencie sporządzonym na pięć miesięcy przed jej śmiercią.

Tak więc znęcając się fizycznie i moralnie nad panią Bardor, strasząc ją piekłem, a może także zadenuncjowaniem na policji — czego w gruncie rzeczy nie mogliście zrobić, bo oznaczałoby to koniec snów o spadku! — otrzymaliście to, na co czekaliście od lat, a czego nie udało się osiągnąć zakonnicy i jej siostrzeńcom: podpis na testamencie. Tylko że i wam nie przyszło to tak łatwo! Wiem to od kucharki, która słyszała wasze krzyki i groźby dochodzące z gabinetu, gdzie odbywały się te nowe seanse tortur moralnych. Cały tydzień upłynął, zanim zmusiliście ją do przepisania zdania po zdaniu, słowa po słowie, tekstu dawno już przygotowanego testamentu. Włos mi się jeży na głowie, drogi kolego, kiedy wyobrażę sobie nieszczęsną Matyldę siedzącą za biurkiem niczym terroryzowana uczennica. Z trudem mogła utrzymać w ręku pióro, a wokół niej roztaczano na przemian to okropną wizję płomieni piekielnych, to obietnice niebiańskiego szczęścia u boku męża, jeśli tylko przepisze testament. Musiała wreszcie ustąpić! Pańscy klienci niezwykle zręcznie włączyli kilka klauzul, w których poczynili mało znaczące zapisy na rzecz jej kuzyna i kuzynek, których nigdy nie widzieli, a poznali dopiero w biurze mecenasa Champenona de Viry podczas odczytywania testamentu, który pozwolę sobie nazwać zmyślnym oszustwem. I na podstawie czegoś takiego panna Granjo i ksiądz Lorat chcieli dochodzić swoich rzekomych praw do spadku?! Ależ to jakiś ponury żart! A jakby i tego było jeszcze mało, dodam, że w dniu, w którym pani Bardor przepisała wreszcie podsunięty tekst, do sali tortur wprowadzono dwóch „świadków” — na wypadek, gdyby prawowici spadkobiercy próbowali robić trudności —by „naocznie” stwierdzili, że testatorka składa, ręką prowadzoną ciągle przez księdza, podpis pod dokumentem... Nie zdziwiłbym się, gdyby mi pan nie uwierzył, drogi kolego, ale oto dowód...

Tu wyjął jakąś kartkę papieru, po czym ciągnął dalej:

— Co to jest? Po prostu tekst deklaracji podyktowanej kucharce i ogrodnikowi: *Zaświadczamy, że widzieliśmy, jak pani Bardor składała podpis pod testamentem w dniu 21 czerwca 1981 r. w Tenelles*. Podpisali na prośbę ówczesnej chlebodaczyni, panny Granjo, a ta natychmiast zabrała deklarację. Oryginał znajduje się zapewne w pańskich aktach. Na moją prośbę jednak „świadkowie” odtworzyli z pamięci ów tekst i podpisali. Oto, do czego doszliśmy! Czy pańscy klienci nadal pragną ugody, czy wolą proces?

— Skończył już pan swoją błyskotliwą przemowę, mecenasie? — spytała sucho Rolande.

— Na Boga, droga pani, myślę, że dalsze słowa są zbędne! Czasem lepiej nie powiedzieć za dużo!

— I co chce pan osiągnąć, obrzucając nas tym stekiem oszczerstw? — nie dawała za wygraną.

— Oczekuję zrzeczenia się praw do sukcesji po pani Bardor, która uczyniła panią — z pani polecenia, powtarzam — swoją główną spadkobierczynią. Czyż nie jest to minimalne żądanie po tym, co tu przedstawiłem? Jestem przekonany, że szanowny mecenas Larbaut przychylił się do mojej propozycji, uznając ją za jedyne rozwiązanie. Wystarczy tylko zredagować treść zrzeczenia — można to zrobić nawet tutaj, w tym saloniku — i podpisać. Zdaje się, że oboje macie dużo wprawy w zmuszaniu kogoś do podpisywania dokumentów. Wystarczy tylko, że wykorzystacie te umiejętności i tym razem zmusicie do tego sami siebie...

— To jest wyłącznie pański punkt widzenia — odparł Rolande. — Na nieszczęście dla pana i pańskich klientów jest jeszcze inny — naszym zdaniem — nie mniej ważny. A to, co panu powiem — i co może być powtórzone przed trybunałem lub jakimkolwiek oficerem policji — jest w stanie radykalnie zmienić sytuację.

— Słucham panią, mademoiselle...

— Domyślam się, że wiadome są panu okoliczności śmierci matki Marie-Josée...

— Oczywiście. Czyż nie z tego płynęła większa część pani władzy nad nieboszczką?

— A czy pan wie, że w chwili, gdy zakonnica wydała ostatnie tchnienie w pokoju był świadek?

— Proszę sobie wyobrazić, że nawet znam tego świadka: to poczciwa Honorine. Siedziała w berżerce, kiedy w środku nocy Matylda przyszła udusić Marie-Josée jedwabnym szalem haftowanym przez karmelitanki. Pani usłyszała o tym z ust samej pani Bardor... Jak pani widzi, panno Granjo, nie przesadziłem na początku naszego pasjonującego spotkania mówiąc, że wiem wszystko. Czy to właśnie chciała mi pani powiedzieć?

— Chciałam raczej pana ostrzec! Jak wyglądaliby pańscy klienci, mecenasie, gdyby wyszło na jaw, że ich zmarła kuzynka była zwykłą kryminalistyką?

— Z pewnością nie sprawiłoby im to przyjemności, tym bardziej że dwie osoby o niczym nie wiedzą, gdyż nie uznałem za konieczne wprowadzać je w szczegóły. Nie ulega wątpliwości, że żadnej rodzinie nie byłoby miło dowiedzieć się, iż ktoś z nich jest zabójcą. To bardzo krepujące dla wszystkich, nawet jeśli ci „wszyscy” nie mają nic wspólnego z ową zbrodnią... Właśnie dlatego, że wszystkim nam znany jest ten — nazwijmy to — „przykry szczegół” zgodziłem się, na usilną prośbę waszego obrońcy, odbyć tę podróż, by spotkać się z państwem i wspólnie znaleźć płaszczyznę porozumienia. Ze swej strony jesteśmy gotowi odstąpić wam część spadku pod warunkiem, że nigdy nikomu nie wspomnicie o okolicznościach śmierci zakonnicy. Proszę pamiętać, że gdyby przypadkiem przyszła wam ochota wyjawić ową prawdę, sami wpędzilibyście się w kłopoty... Radzę dobrze zastanowić się nad tym! Oficer policji lub sędzia śledczy nie omieszkałby zainteresować się, dlaczego z ujawnieniem przestępstwa zwlekaliście do momentu sporządzenia testamentu na waszą korzyść. Odpowiedź byłaby niezwykle trudna. Czy nie tak, mecenasie Larbaut?

— Nie mogę zaprzeczyć — rzekł — że tak spóźnione oświadczenie mogłoby mieć przykre konsekwencje dla tych, którzy je składają...

— Konsekwencje — pochwycił Deliot — które mogłyby was zaprowadzić prosto przed sąd przysięgłych jako oskarżonych o zatajenie prawdy, a tym samym współwinnych zbrodni. W kłopotliwej sytuacji znalazłaby się również zacna Honorine. Czy warto jej to robić? Jeśli do tej pory nikomu o tym nie powiedziała i nikomu nie powie, to tylko przez szacunek i szczerą sympatię dla zmarłej pani. Może też przez pamięć dla całej rodziny, w służbie której spędziła pół wieku swojego życia. Nie mówmy zatem o Honorine! Sparaliżowana strachem, poczciwa pokojówka nie była zdolna interweniować. Praktycznie rzecz biorąc, stała przed faktem dokonanym.

Wróćmy raczej do sprawczyni, pani Bardor! Proszę mi jednak powiedzieć szczerze — pani jako pielęgniarzka stykająca się z nieszczęściem ludzkim w róż-

nych szpitalach i ksiądz, który z powołania powinien kierować się miłosierdziem wobec ludzi — czy nie można by jej było wybaczyć tego czynu, który uwalniał ją od Marie-Josée po dziesięciu latach ślepego posłuszeństwa wobec niej? Dobrze jednak wiemy, że nie taki motyw pchnął ją do zabójstwa, ale szczerą chęć skrócenia cierpień zakonnicy, która zresztą kazała jej to zrobić. Uważam, że znosząc cierpienia, jakie jej zadawaliście przez następnych jedenaście lat, w pełni odpokutowała za ten jedyny grzech.

Znowu zaległa cisza. Rolande spuściła wzrok, ksiądz zaś wbił go w sufit, jakby oddał się modlitwie za spokój duszy nieboszczki. Deliot wrócił do tematu nieco łagodniejszym tonem:

— W okolicy dowiedziałem się też o czymś, co zasługuje tym razem na pochwałę. Tego samego dnia i o tej samej godzinie, kiedy w Saint-Servat odbywał się pogrzeb pani Bardot, ksiądz Lorat odprawił także tutaj mszę w jej intencji. Wzięła w niej udział kucharka, jej mąż ogrodnik i kilka starych parafianek. Nie było jednak pochwalnej mowy pogrzebowej, co zresztą byłoby nie na miejscu z uwagi na stosunki łączące was z nieboszczką. Ksiądz wolał poprzestać na zagranu „Toccaty”, ulubionej kompozycji jej własnego męża. Nie było już tylko potrzeby wmawiania biednej wdowie, że jego duch wciela się w postać księdza. Był to jakby hołd oddany pamięci pani Bardor... Pozwoli ksiądz, że w imieniu żyjących członków rodziny złożę mu podziękowanie za ten gest.

Stary adwokat zamilkł. Mecenas Larbaut przyglądał się mu z dyskretnym podziwem, po czym rzekł:

— Co zatem robimy?

— Zawrzemy umowę, która pozwoli pańskim klientom wyjść „z twarzą” z tej nieprzyjemnej historii. Czyż nie jest to najlepsze rozwiązanie?

— Zdecydowanie tak!

— Zabierajmy się więc do pracy! Zobaczymy, co my, krewni zmarłej, zatrzymamy, a co zgodzimy się odstąpić.

* *

*

— Trzy godziny, drogi przyjacielu, trwało sporządzanie protokołu, który pokazałem panu na początku naszej rozmowy. Gdy skończyliśmy, ksiądz Lorat ze

swoją słodką inspiratorką u boku odwiózł mnie i mecenasa Larbauta na dworzec, gdzie natychmiast wsiedliśmy do pociągu jadącego do Paryża... Zjemy coś?

— Przyznam, że opowiadanie o biczowaniu mojej biednej kuzynki odebrało mi apetyt. A co w pociągu powiedział panu pański kolega?

— Absolutnie nic o swoich klientach. To zresztą żelazna zasada obowiązująca w naszym zawodzie: prywatnie nie rozmawiać o sprawie, w czasie której stoi się po przeciwnych stronach. Rozmawialiśmy więc o wszystkim, z wyjątkiem spraw sądowych. Może pan już wrócić do siebie i powiadomić kuzynki, by stały się jutro o piętnastej w biurze Champenona de Viry w celu podpisania obu egzemplarzy umowy.

— Czy warto wzywać też Alp"nonse'a i Honorine?

— Dlaczego nie? Miło im będzie dowiedzieć się, że dla nich nic się nie zmieniło i bez przeszkód mogą żyć sobie w swoim gniazdku. Po pana wyjściu zabiorę się do jedzenia, bo w przeciwieństwie do pana jestem bardzo głodny. A poza tym byłby to afront wobec mojej gosposi, gdybym nie tknął tego, co sam kazałem przygotować. Do jutra!

Wychodząc od notariusza, gdzie wszystko odbyło się zgodnie z planem, Stéphanie powiedziała mi:

— Muszę przyznać, że sprytny jest ten twój adwokat!

— Będzie zachwycony tą uwagą na swój temat... Teraz, kiedy zrzekłem się swojej części spadku z wyjątkiem portretu ciotki Wandish, uczyni mi dwie przyjemności! Po pierwsze: kiedy tylko otrzymasz pierwsze należności, wypłać honorarium mecenasowi Deliotowi, jakie sobie wyznaczy. Nie martw się, nie zrujnuje cię; to bardzo skromny człowiek.

— No dobrze, a ta druga przyjemność?

— Staniesz się bogata, Stéphanie! Nie zapominaj jednak o swoich córkach, zięciach i wnukach!...

— Pomyślę o nich pod warunkiem, że będą mi posłuszni.

— Więc i tobie o to chodzi?! Widać, że kompletnie wrosłaś w tę rodzinę! Chyba nie zaczniesz wymagać posłuszeństwa wzorem wszystkich kobiet, które miały władzę nad biedną Matyldą?

Kobiety... Jedna z nich weszła do mojego domu trzy miesiące później. Zadmowała się i jest w nim po dzień dzisiejszy. To lady Wandish! Jej portret przesłano mi wkrótce z Tenelles. Patrzy na mnie z właściwą sobie zadziornością i

wyniosłością królowej, mimo że była tylko królewską metresą. Jej szyję zdobi pięć słynnych sznurów pereł. Przyznam, że o wiele bardziej wolę je na portrecie niż w rzeczywistości: przynajmniej nie wzbudzają zazdrości!

Kiedy zadzwoniłem do Deliota, by powiadomić go o otrzymaniu swojej części spadku, rzekł:

— Z przyjemnością zobaczyłbym tę słynną lady!

— A zatem zapraszam do siebie! Będzie pan mógł ją podziwiać, popijając whisky, którą jestem panu winien... Czekam!

Godzinę później stał już przed portretem. Ze szklanką whisky w ręku długo przyglądał się portretowi, wreszcie rzekł:

— Psiakość, miał pan rację: to niesamowita kobieta! Szkoda, że jej nie znałem... A Matyllda? Ma pan jakiś jej portret? Może być miniaturka, zdjęcie... Chciałbym zobaczyć jej twarz.

— Ma pan szczęście. Nie dalej jak przedwczoraj wiecznie pobożna kuzynka Bea przysłała mi jej zdjęcie w żałobnej oprawie. Oto ono! Zostało chyba wykonane w dniu jej ślubu, czyli wtedy, gdy miała niespełna czterdzieści lat. Co pan o niej sądzi?

— Dokładnie to samo, co pan sam mówił: ani brzydka, ani ładna... Jest jednak w tej twarzy jakaś wzruszająca naiwność.

— Nazwijmy to dobrocią...

— Jeśli to panu sprawi przyjemność... Nie przestaje jej pan bronić. A propos, muszę panu powiedzieć, że kilka dni temu odebrałem dziwny telefon. Dość nieprzyjemny męski głos mówił: „Mecenas Deliot? Wiem, że bronił pan interesów rodziny pani Bardor... Powiem panu coś, co może pomóc, gdyby panna Granjo próbowała robić jeszcze jakieś trudności... Mam niezbity dowód na to, że otruła panią Bardor, gdyż ta zwlekała z odejściem z tego świata po podpisaniu testamentu! Rozumie pan? Stara mogła jeszcze długo kazać jej czekać na schedę. Gwarantuję panu, że to prawdziwa łajdaczka! Nie zależy mi zbytnio na pańskim zainteresowaniu tą sprawą; wcześniej czy później i tak dojdzie do wyrównania rachunków z pielęgniarką". I odłożono słuchawkę. Co pan o tym myśli?

— Nie lubię anonimów, ale to może być prawda.

— Nie ulega wątpliwości, że w ciągu pięciu miesięcy od podpisania osławionego testamentu kochankowie musieli umierać z niecierpliwości. „Czy ta stara nigdy nie umrze?“, denerwowali się zapewne. Możliwe więc, że pomogli nieco przeznaczeniu... Ale co możemy teraz zrobić, nawet jeśli ta informacja jest prawdziwa? Nic!

— Rodzina mogłaby zażądać ekshumacji i sekcji zwłok, by przekonać się, czy Matylda została otruta, czy nie.

— To na nic! — rzekł Deliot. — Wiele podobnych ekshumacji nie przyniosło żadnych rezultatów. A poza tym dyplomowana pielęgniarka zna na tyle swój zawód, by użyć trucizny nie pozostawiającej śladów. I wreszcie, czemu miałyby to służyć? Nie wskrzesimy przecież pani Bardor!

— Tak, ale może pozwoliliby to odzyskać część spadku, którą zatrzymali dla siebie. Uważam to za oburzające, by bezkarnie z niego korzystali.

— Sądzę, że niedługo będą się nim cieszyć. Widzi pan, drogi przyjacielu, ktoś, kto życie spędził w kuluarach sądów, kto całe życie bronił ludzkich spraw, wierzy w istnienie sprawiedliwości immanentnej w sytuacjach wymykających się wymiarowi sprawiedliwości. Pani Bardor stała się ofiarą, gdyż nie mogła pojąć, że otaczający ją ludzie mogą być albo obojętni jak Jean-Marie, albo niewdzięczni jak Steephane, a nawet źli jak lady Wandish, Marie-Josée, Rolande Granjo czy ksiądz... Oczywiście, nie zabrakło wokół niej ludzi uczciwych i dobrych, do których zaliczylibyśmy lorda Wandisha, admirała Ducaze'a, kanonika Wisa, Alphonse'a czy Honorine, ale ci nie zdołali stworzyć przeciwwagi dla złoczyńców. Zło przeważyło! Lecz pańska kuzynka zostanie pomszczona i, proszę mi wierzyć, z pewnością nastąpi to wcześniej, niż może się pan spodziewać. Dobranoc, przyjacielu!

Minęło kilka miesięcy... Pewnego ranka w gazecie codziennej na trzeciej stronie, zarezerwowanej dla rozmaitości, zaintrygował mnie tytuł: *PODWÓJNE MORDERSTWO W KOŚCIELE I W DWORKU*. Przeczytałem:

Parafianie, którzy przybyli wczoraj na mszę poranną do kościoła w Tenelles, znaleźli w nim zwłoki swego proboszcza, Yvesa Lorata, wsparte o klawiaturę organów. Został on zamordowany strzałem w czoło. Niemalże o tej samej godzinie w przepięknej posiadłości oddalonej o kilometr od miasteczka pokojówka, niosąca śniadanie swojej pani, pannie Rolande Granjo, znalazła ją w łóżku martwą. Obie ofiary wspólnie zamieszkiwały wspomnianą rezydencję. Zabójstwo z miłości? Raczej wątpliwe... Zbrodnia na tle rabunkowym? Też nie, bo ani w kościele, ani w dworku niczego nie skradziono. Zemsta? Wydaje się, że właśnie w tym kierunku idą domysły policji. Ekspertyza kul dokonana w Instytucie Medycyny Sądowej w Lourdes wykazała, że obie zostały wystrzelone z tej samej broni Można zatem przypuszczać, - że zbrodni dokonała jedna osoba.

Natychmiast przypomniałem sobie prorocstwo Victora Deliota o sprawiedliwości immanentnej. Miał rację: księżka dosięgnęła przy ukochanych organach Jean-Marie Bardora, a pielęgniarkę w łóżku lady Wandish...

Zemsta? Nie wiem, dlaczego nagle przysły mi na myśl słowa Charlesa Vauchessera wypowiedziane do niewiernej kochanki: „Zapłacisz mi za to!” A czy głos, który usłyszał Deliot przez telefon, nie należał przypadkiem do Déde? Może to zemsta siostrzeńców? Zemsta, za którą czai się cień zakonnicy...

Kiedyś i oni wpadną w ręce policji. Wtedy dopiero koło się zamknie, a sprawiedliwości stanie się zadość.

To, co teraz piszę, jest może okrutne, ale muszę przyznać, że ta myśl napętnia mnie radością. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko ogromną sympatię dla Matyldy.

KONIEC

TLR